


AGATA
PASSENT



 WIELKA LITERA

KTO TO PANI ZROBIŁ?

AGATA
PASSENT
KTO TO PANI ZROBIŁ?

12 zdań od autorki

Tenisowy wszechmistrz wszechczasów, serbski nacjonalista Novak Djokovic (bekhend po linii szybszy niż prędkość światła) chwalił się w swej książce, że osiągnął w tenisie wiele, pomimo, iż pochodzi z małego miasteczka w górach, a jego rodzice prowadzą pizzerię i nie znają się na sporcie.

Mnie również niestraszne były przeciwności losu.

Marząc o tym, by zostać felietonistką publikującą w „Twoim Stylu”, najpoczytniejszym polskim miesięczniku, przesłałam wiele.

Urodziłam się na przerażająco płaskiej Nizinie Mazowieckiej w prowincjonalnym, szpetnym miasteczku Warszawka.

Wychowali mnie wybitni polscy felietoniści, Daniel Passent i Agnieszka Osiecka, których dowcip, kultura i erudycja kastrowały mnie od wschodu do zachodu.

Młyny historii przeoczyły mnie, urodziłam się za późno na sprawę tatarników, pomarańczową alternatywę i pech chciał, że gdy tylko odebrałam wyniki matury mur berliński wziął i się rozsypał.

Nie osiągnęłabym pełnoletności jako felietonistka, gdyby nie pomoc wielu osób, którym w tym miejscu wyrażam wdzięczność.

Pomimo braku doświadczenia, kompletnej niewiedzy i faktu, że nie publikowałam w „Brulionie” na staż w redakcji przyjęła mnie Krystyna Kaszuba.

W redakcji zechciał zatrzymać mnie Jacek Szmidt, a uporczywymi gestami do wytężonej pracy zachęca mnie od wielu lat niezastąpiona Joanna Miecugow.

Gorąco dziękuję również hejterom, na których opinię wytrwale pracuję oraz Czytelnikom życzliwym, którzy być może mnie z kimś myślą.

Paru genialnych mężczyzn wielkodusznie próbowało zniechęcić mnie do felietonistyki i nakierować mą uwagę na sprawy naprawdę istotne – czyli ich sprawy. Rodzinie i Bliskim dziękuję za wyrozumiałą pobłażliwość.

Gorąco dziękuję Wydawcy i obiecuję chęć poprawy.

Baba w futrze,
czyli z życia Polaka



Nie piszę o szronie Finlandii, cmentarzach Kairu czy handlu wodą w Palestynie, gdyż mieszkam w Polsce. Mam tu dziecko, rodzinę i pracę. Nie mam żadnej żony, której mogę to z wdziękiem podrzucić. Poza tym jestem źle zorganizowana, nie lubię się pakować i mam sklerozę, więc niechętnie podróżuję. Zapominam daty wyjazdów, do Petersburga jechałam bez wizy, na wylot na Dominikanę przybyłam na lotnisko dzień po fakcie. Jak słusznie zauważył wydawca tej książki, nadaję się na kandydatkę do Klubu Dementa. Nie podróżuję koleją przez Meksyk ani deskorolką po Białorusi, gdyż nie szukam dodatkowych wyzwań. Wystarczy mi dzień pracy w Warszawie, czyli dwanaście godzin w roli pracowniczki, matki, przyjaciółki, zawodniczki, córki, prezeski, pacjentki na terapii, kumpelki, partnerki, gospodyni domowej (polowanie na marchew organiczną!) by być wycieńczoną bardziej niż samotny reporter wspinający się konno na śniegi Kilimandżaro.

Jestem Polką i nie wstydę się tego, ale gdyby zaanszłusowali mnie Francuzi, Rosjanie czy Wietnamczycy sądzę, że przyjęłabym to z typowym dla mnie infantylnym entuzjazmem, bo uwielbiam poznawać nowych ludzi. Łatwo uczę się języków obcych, ciekawi mnie każda literatura, przy Prokofiewie wzruszam się tak samo jak przy Karłowiczu, palmy podobają mi się tak samo jak brzoźki, gwara bawarska zachwyca podobnie jak warszawska. Nie jestem patriotką. Wyobrażam sobie, że na emigracji w dziesięciomilionowej Dżakarcie po dwóch tygodniach znalazłabym fajną kawiarenkę i pięćdziesiąt bliskich koleżanek. Pisałabym wtedy o Indonezyjkach. Najtrudniej zrozumieć najbliższych.

Nie jestem patriotką, bo patrioci to ludzie przekonani o swojej racji, a ja nie muszę mieć racji. Panicznie boję się kłócić.

Gdy piszę te słowa eksperci straszą wojną. Jak już przyjdzie po mnie jakiś źle wychowany i mało dżentelmeński wróg, to przeczytam mu pożyczony od Filipa Łobodzińskiego Wstęp do imagineskopii, co rozbawi go na śmierć, albo poczęstuję go domową nalewką z pigwy (przepis mojej macoszki), przy której on się rozklei i opowie o swojej pięknej siostrze o tatarskim spojrzeniu. I jakoś się tę zawieruchę wojenną przebiduje. Raz tylko próbował mnie okupować pewien mężczyzna, ale przekonałam go, że przebywanie na moim terytorium grozi śmiercią lub kalectwem i wycofał się za linię frontu.

Zombie w borowinie

Szłam po pracy na przystanek autobusu 138 i przypomniało mi się, że nieopodal tegoż przystanku stało w moim mieście kino Sawa. Już z nazwy wydedukowali Państwo zapewne, że rzecz działa się w Warszawie. Kino Wars też u nas było, ale po drugiej stronie rzeki. Legendarni kochankowie Wars i Sawa zostali tak rozdzieleni Wisłą. Obu kin już nie ma, bo po co warszawiakom kultura. Tu się i tak pracuje do późnego wieczoru z przerwami na sekslanch. Na miejscu dawnego kina Sawa postawili nam apartamentowce, czyli mówiąc wprost – blokowisko. Z galerią handlową, czyli drogimi sklepami. Galeria wypieków tam jest i galeria serów. Miasto sztuki. Nadjechało 138. Z okna widziałam, jak ochlapujemy kuriera na rowerze opatulonego w torby i gumowe spodnie. Przypomniało mi się, że w kinie Sawa widziałam film grozy *Duch*. Był to klasyczny, upiorny drugorzędny horror. Trupy wstawały z cmentarzysk, a dziewczynkę wessał duch, który grasował w telewizorze.

Lubię chadzać do kina na podłe horrory, lecz Polacy jakoś nigdy ich nie produkują. Dlaczego? Albo komedie romantyczne, albo dramat psychologiczny, albo historyczne rozliczenia. Polskiego *Lśnienia* czy *Piły 6* nie uświadczysz. Może dlatego, że reżyserów i scenarzystów wyręczyliśmy my, dziennikarze. Od paru lat boję się włączyć radio, od ponad piętnastu nie mam telewizora. Straszą nas tak, że nie wiem, czy dożyję wieku emerytalnego. Zawał murowany, jakieś palpacje, psychotropy antylekowe po każdym serwisie informacyjnym czy gazetowym artykule. Do tego 24 godziny na dobę straszy nas sieć. Zastanawiam się, skąd ludzie mają siły i chęć do oglądania komentarzy w Internecie. Dawniej horror oglądało się raz na rok w kinie. Półtorej godzinki śmiesznego straszenia, fajnych efektów, zombie moczących się w wannie niczym pacjentka w borowinie, i po wszystkim. Można było po horrorze skoczyć na zapiekankę z pieczarkami.

Dziennikarze wyspecjalizowali się w trzech „genrach” horrorów: horror cielesny, horror ostatnie starcie, horror finansowy. Cielesne straszą ohydny zatruciem prowadzącym do zgnilizny naszych ciał. W każdym pawilonie, na bazaraku, w spożywczaku, u cioci na imieninach, w stołówce przedszkolnej dziecka grasują mikroby, które doprowadzą twoje nerki i wątrobę do rozkładu. Jedząc mięso zatrute hormonami, marchew pełną toksyn, sałatę szkodliwszą od cyjanku, pieczywo spulchnione, trujesz się sama i swoich bliskich. Ile matek dziennie zabija powoli swe dzieci, podając im pierś kurczaka? Dziennikarz, autor horroru cielesnego, korzystając ze scenariusza podsunętego mu przez bardziej kreatywnego eksperta, przeważnie pana doktora na usługach firmy produkującej „leki” naturalne, straszy nie tylko wyłączoną wątrobą, ale cerą rodem z bulwiastych obrazów Arcimbolda. Toksyny krążą w powietrzu niczym gaz bojowy pod Ypres. Pomyśl o kryjówce w apartamentowcu, zanim niefrasobliwie udasz się do galerii pieczywa.

Lepiej załóż maskę z lnu, bo kremy do ciała też są pełne konserwantów. Żrą cię od zewnątrz. Niektórzy ludzie tak trzęsą się ze strachu przed informacjami o potworach czyhających w jedzeniu, że piją tylko czerwoną herbatę. Pewien hinduski lekarz powiedział mi ostatnio, że najzdrowiej jest w ogóle nic nie jeść. „Ostatni raz jadłem dwa tygodnie temu”, zdradził. Drzewa żyją fotosyntezą, widzowie współczesnych medialnych horrorów cielesnych żyją anoreksją.

Jeśli nie rozłożysz się sama, jedząc na śniadanie bułkę z masłem, to wykończy cię zniecka jakaś pulsująca nieopodal siła. Uważaj, Bractwo Muzułmańskie zapewne obserwuje

właśnie ruch w autobusie o numerze 138. Ten łysiejący portier w twoim biurówcu regularnie robi zakupy w pawilonie chemicznym. Teraz terroryści działają tylko z pozoru w pojedynkę. Są zwykle częścią międzynarodowej sieci. Lubisz czytać książki w kawiarni na modnej ulicy? Strzeż się. Bojówkarze lewaccy w kominiarach mogą cię spałować, nawet jeśli racząc się szarlotką, czytasz Władysława Broniewskiego. Wszak poeta ten dźgał bagnetem bolszewików. Jesteś prężną kobietą biznesu i budujesz willę na krawędzi parku krajobrazowego? Jeśli oglądasz „reportaże”, to wiesz przecież, że twoim bliskim grozi porwanie w tak cichej okolicy. Ostateczne starcie może nastąpić podczas horroru łóżkowego. W imię dżihadu grasują zombie, którzy świadomie wykańczają drogą płciową. Módl się, by był to tryper, a nie śmierć w konwulsjach. Jeśliś dziewicą lub impotentem, to zabije cię meteoryt albo stwór z Marsa, na którym życie hula w najlepsze.

Nie udało się dziennikarzom nastraszyć Państwa truciznami, bronią chemiczną, mafią, militarnym moherem, irańskim ekstremizmem? To doprowadzą was do zawału, strasząc, że jako wypaleni pracą do siedemdziesiątki skończycie, zebrząc na ulicy, a wnuki wasze posiłek szkolny będą miały tylko trzy razy w tygodniu. Codziennie dziennikarze próbują sączyć ci do ucha o licznych bankructwach, kursie franka, spisku finansistów w szklanym wieżowcu, którzy wywindowali cenę karkówki o dwieście procent. Będzie jak u Reymonta. Tylko ziemię obiecaną zabierać nam będą hordy gwardzistów z Chin. Odkąd dziennikarze wzięli się do pisania horrorów, czytelnictwo spada. Część czytelników po prostu zmarła ze strachu po lekturze gazety. Inni łagodzą lęki używkami. Pozostali w otępieniu grzecznie siedzą na obleganych kozetkach terapeutycznych.

Ja wiem, że nastąpiła moda na medycynę holistyczną i narzekanie na polską służbę zdrowia. Tolerancja nakazuje nam szanować metody chińskie i hinduskie, bo rzekomo polscy lekarze to albo kogoś w szpitalu zatrują, albo łąpówki od koncernów wezmą za to, by zupełnie niepotrzebnie nas szczepić, albo zaszyją komuś kawałek szmaty podczas operacji, którą wykonują na bańce. Mam wokół siebie wielu kandydatów do zaszycia, ale to inny temat. Może alkomyaty warto wprowadzić w służbie zdrowia – na wejściu do przychodni pacjenci i pracownicy dmuchają.

Pracownikom szpitalnym dostało się też podczas debaty o związkach partnerskich, pamiętają Państwo? Nie uznają konkubinatów i nie wpuszczają kochanek i kochanków w odwiedzin. Ciekawe, co z byłymi małżonkami? Czy po dwudziestu latach małżeństwa nie można odwiedzić konającej żony, nawet jeśli jest matką wspólnej dźiatwy? Co do odwiedzin szpitalnych, to zawsze miałam szczęście. Podczas porodu wpadły do mnie dwie koleżanki. Nie licząc konkubenta, taty dziecka. Potem jeszcze wpadł syn mojej macoszki – brat kochany. Ja też odwiedzałam przyjaciółkę nieżonę (ona nie chce się ze mną ożenić niestety) tuż po jej porodzie; udało mi się nawet otworzyć butelkę szampana i wychylić symboliczną kropelkę ze szpitalnego szczerbatego kubka. Pielęgniarka zabraniała tylko jedzenia truskawek – bo bobasek może mieć alergię. Innym razem przez zasięki państwowego szpitala przedarli się moi liczni współpracownicy z TVN24, kolega z badmintona, znajoma góralka i całe grono bliskich moich. Wypisując mnie ze szpitala, pielęgniarka powiedziała: „No szkoda, że pani już wychodzi. Przy pani łóżku to zawsze taki plac Zbawiciela był”.

Wracając jednak do porady hinduskiego lekarza: że lepiej po prostu nic nie jeść, by mieć formę. Miał on świętą rację. Znalazłam w książce Mariusza Wilka *Dom włóczęgi* niezbity dowód

na to. Wilk opisał odwiedzin u lamy Itigielowa w Rosji. Otóż w 1927 roku ten zwierzchnik rosyjskich buddystów „zebrał lamów i zwrócił się do nich, by odmówili za niego modlitwę pożegnalną”. Lamowie się śmiali, „no bo jak, jeśli on żyje?”. Zanim skończyli, lama zmarł, siedząc w lotosie. Ja też bym zmarła, gdybym usiadła w lotosie. Lamowie w tej pozycji wsadzili go do sarkofagu, zasypali solą i zakopali pod ziemią. Po 75 latach go odkopali, a on nadal siedział w lotosie, ciało do dziś się nie rozpadło, sprawa ponoć słynna na cały świat. Od 2003 roku siedzi pod szklanym kloszem, który to klosz od czasu do czasu potnieje. Dla mnie morał jest prosty: należy jeść dużo niezdrowej żywności, którą niepotrzebnie straszają nas w mediach. Bo inaczej nawet po śmierci będziemy się pocić, spokoju nie zaznamy. Tylko solniczkę trzeba zlikwidować, bo wynika z tego, że sól jest bardzo zdrowa.

Żucie, ach żucie

Wygląda na to, że najbardziej udane próby w Polsce to próby samobójcze. Słyszę w radiowej wypowiedzi profesor Marii Jarosz, socjolożki, że w Polsce w ostatnich latach gwałtownie wzrosła liczba samobójstw. Rocznie odbiera sobie życie sześć tysięcy moich rodaków. Więcej niż ginie w wypadkach drogowych. Aż trudno uwierzyć, bo co roku po majówce wysokimi statystykami przechwalają się starsi i średni sztabowi, meldując, iż zatrzymali setki nietrzeźwych kierowców. Policjanci oskarżają księży, że nie promują trzeźwości (bezalkoholowe wino mszalne proponują) i przez to Polacy wiodą prym, jeśli idzie o śmiertelne wypadki na drogach. Przynajmniej w czymś wiemy prym w Europie. Dawno nie cieszyłam się tak mocno z nadejścia listopadowych słót. Wreszcie odpoczniemy od wakacyjnych komunikatów o utonięciach. Topielcy i samobójcy – to nie jest kraj dla żywych ludzi.

Z trudem relaksowałam się na urlopie w Uście, albowiem codziennie alarmowano, iż w Bałtyku, a także w jeziorach i rzekach topią się moi rodacy na pęczki. Siedzę sobie na ręczniku, zajadam watę cukrową, a tu przebiega obok mnie rączy młodzian z piłką, obok niego kolega w modnych serferskich slipach kwaciastych. Ku wodzie biegną, lica uśmiechnięte. Czy wrócą? Czy pochłoną ich odmęty, glony owiną? Matki co rok snuć się będą po plaży, licząc, że synusie jednak zostaną odnalezieni w Szwecji. Po co te media informują o topielcach? Nieutoniętych stresują. Człowiek waty spokojnie żuć nie może. Po kilka osób dziennie topiło się w Polsce. Czasem wespół w zespół trzymając się za ręce, a czasem pojedynczo, nie grupkami. Niektórych gubiło łakomstwo. Oto dziewczyna na spływie wypadła z kajaka, karmiąc kolegę, który nieopodal dryfował na materacu. Wychyliła się, by podać mu torebkę z tym pożywnym posiłkiem – na pewno od trzech czy czterech kwadransów rozbitek ten nie jadł i trzeba było mu pomóc. Jak tu przeżyć w kajaku bez czipsów? Bez czipsów jak bez tlenu. Żuć się nie da. Kiedyś jadano trzy posiłki dziennie, a teraz gatunek ludzki zamieszkujący Polskę żyje bez przerwy. Na spływie lepiej stracić wiosło niż drożdżówki, krakersy, czipsy. Wakacje to konsumpcja, pożerać trzeba widoki, zaliczać przełęcz, spływy, piwa, winnice z winami i czipsy. Podobają mi się krowy. Są efektownie umaszczone i całe życie spędzają na żuciu. Aż do śmierci w rzeźni. Wszyscy wkrótce będziemy krowami, bo nie możemy przestać żuć, przeżuwać, konsumować. Zarzynamy się sami. Oto w Płocku wyłowiono dorosłego pana, który postanowił przepłynąć pewien zalew, by zaimponować kolegom. Okazało się, że zalany, owszem, był. Gdy wyłowiono pana z wody, miał we krwi 3 promile alkoholu.

W gazecie mignął mi komentarz mądrego redaktora, który wymyślił, iż utonąć by nie było, gdyby Polacy umieli pływać. Pływania powinna nauczać szkoła. Co prawda w wielu szkołach „chodzi się na basen”, lecz część dzieci tam nie pływa tylko bawi się w wodzie albo objaja po kątach. Każdy głupi nauczy utrzymywać się na wodzie, twierdzi gazetowy Michael Phelps. Eksperci z gazet, szczególnie mężczyźni, znają się jak wiadomo na wszystkim, we wszystkim są świetni, a jak czegoś nie umieją, na przykład nie wiedzą, czym są liczby taksówkowe, to wystarczy im jeden wykładowca z matematyki i już wszystko mają w jednym palcu.

W mojej podstawówce były zajęcia z pływania. Ach, pamiętacie te bawełniane jednoczęściowe kostiumy, który nasiąkały wodą, tak że wszystko wisiało jak mokra szmata do podłogi? Które dziewczę w latach osiemdziesiątych miało czepek w kwiaty, było największą szpanerką. O okularkach nawet nie marzyliśmy. Chadzaliśmy na basen do tak zwanego

elektronika, czyli technikum elektronicznego. Zajęcia były obowiązkowe. Podchodziliśmy do brzegu i część dzieciaków z piskiem radości fikała z rozbiegu na bombę, część fachowo układała ramiona w strzałkę, równiutko stawała na brzegu i lekkim łukiem skakała na główkę. Ach, jaka radość zabrać coś koleżance z szatni i wrzucić na głęboką wodę, a potem nurkować i wyłowić niczym perłę. Srogi nauczyciel pływania, z owłosionymi plecami i w obcisłych kąpielówkach w kratę, chodził wzdłuż basenu z drewnianym kijem, którym pomagał nam w nauce. Lecz była też inna grupa dzieci. Dzieci, które blade, z gęsią skórką podchodziły do basenu i bały się skoczyć. Wołały siedzieć w kącie i patrzeć, a nawet wołałyby uciec do szatni. I trzecia grupa: dzieci, które lubiły wodę, ale tylko w miejscu, w którym miały grunt. Gdy nauczyciel kazał im położyć się na wodzie na plecach, natychmiast paraliżował je dziwny lęk, ruszała czarna wyobraźnia, pewnie wydawało im się, że skończą jak Ofelia. Galopował oddech i nici z przyjemnego dryfowania na powierzchni. Część dzieci nie mogła się przełamać i za nic nie chciała wydychać powietrza do wody. Wiele koleżanek popłakiwało przed wyjściem na basen, symulowały chorobę itp. Nawet jeśli w szkole zatrudniony jest wuefista czy wuefiarka, którzy są świetnymi psychologami, to nie mają czasu na to, by pracować nad przełamaniem takich ciężkich lęków. Na to trzeba pewnie pół roku terapii dla każdego ucznia indywidualnie. Panie redaktorze, znam ludzi, którzy pomimo prób nie nauczyli się... jeździć na rowerze ani nie zdali egzaminu na prawo jazdy. Z rowerem sprawa nie jest niebezpieczna. Kto nie umie jeździć, ten po prostu na rower nie wsiada. Lecz z wodą jest inaczej. Gdy latem upały, prawie każdy chce zamoczyć spuchnięte nogi albo pochłapać się z przyjaciółmi, z piłką, z psem... Tymczasem fale i prądy są bezlitosne. Potrafią porwać nawet silnego młodzieńca. Na spływach kajakowych wynajmuje się kajaki osobom, które nie pływają – przecież założą kapok i spokój. Polacy toną nie tylko przez to, że nie umieją pływać. Polacy toną, bo nie umieją sobie odmawiać, czyli po prostu nie umieją żyć. Polakowi gorąco, to rozepnie kapok. Polakowi niewygodnie, to za drzewem kapok zdejmie. Inny Polak go „nie zadenukuje przecież”. Polak zejdzie ze szlaku w górach, bo z tłumem wspinać się nie lubi. Mamusia mu nigdy niczego nie odmawiała, wszystko, co najlepsze dla dzieci, po co płakać mają? Nie chcą się uczyć pływać – to nie. Nie chcą ćwiczyć na wuefie – po co mają się pocić? Matematyka jest trudna? To trzeba dziecię do humanistycznej klasy przepisać. Większość z tych tragicznych wypadków w wodzie była spowodowana alkoholem. Polacy nie wyobrażają sobie życia bez alkoholu. Każdy powód jest dobry, by się napić. W wakacje w samo południe – bo jest upał, no i kiedyś trzeba się wyluzować. W robocie pić nie wypada. Poza wakacjami to się pije po pracy, przed snem, by stres poluzować. Jedno piwo na plaży dla Polaka nic nie znaczy, przecież to nie jest alkohol. Polak odmawianie sobie czegoś traktuje jak karę, a nie jak dbanie o siebie. Po co oszczędzać na lokacie, lepiej wydać, jeśli ma się ochotę. Raz się żyje. Ludzi, którzy odmawiają sobie wina do kolacji, traktujemy z pobłażaniem. Ludzi, którzy jedzą malutko, posądzamy o anoreksję albo dziwactwa. Rodzice, którzy odmawiają dziecku kolejnego słodkiego jogurtu czy kurczaka z KFC – to tyrani. Jeśli dziecko ma apetyt – niech je. Jeśli w wakacje mamy ochotę na kąpiel – proszę bardzo.

Większość utonięć ma miejsce na plażach niestrzeżonych. Pewnie, na strzeżonych jest często tłok, a Polak kocha dziką przyrodę niczym amerykański pisarz Henry D. Thoreau, który dwa lata mieszkał w szałasie w lesie. Tylko z fleksitarianizmem u Polaków gorzej (Thoreau był właśnie na takiej diecie). Dzika plaża chętnie, a do tego kotleciki cielęce. Polak tonie, bo wstydzi się prosić o pomoc. Nie będzie rosłego górala narciarza pilnował jakiś ratownik młokos z Ustki czy panienka rodem ze *Słonecznego patrolu*.

Toniemy nie tylko w wodzie, toniemy mentalnie. Nauka pływania w szkole nie pomoże.

Zamiast rodzić się, Polacy wolą się sami wyniszczać. Szczególnie mężczyźni. Odbierają sobie życie pięć razy częściej niż kobiety. Lepiej się zagubić niż prosić o wskazówki. Lepiej nikomu o swoich cierpieniach nie opowiadać – kobitki to paplają o wszystkim rodzicom i psiapsiółkom, i terapeutom, a Polak woli babci nie denerwować, a przed kolegą udawać człowieka sukcesu. Polak tonie, bo nie umie żyć. W szkołach i na studiach obok pływania może lepiej zapewnić Polakom pomoc psychologiczną. Po wizycie u psychiatry łatwiej będzie utrzymać się na powierzchni. Co ma wisieć, nie utonie?

Potrójna dziewica

W wielkiej stołówce pracowniczej przesuwamy się z tacami. Pachną środki czystości. W kolejce na każdej tacy pęk kluczy, identyfikatorów, smycz, smartfon. W kantine (dawniej: stołówce) mebelki skandynawskie stoją, bo nasza firma to w kulturę korporacyjną z Finlandii wpatrzona jest. W centrali Nokii to widok na park mają, a u nas za oknem chińskie magazyny i hurtownię skarpet widać, ale przynajmniej ołpenspejsów nie mamy. Stołówkowe gabloty lśnią tak, że pracowniczka w kolejce za mną wpatruje się raz w sałatki, a raz w swym gablocianym odbiciu poprawia fryzurę. My tu w naszej korpo jadamy z tac. Bo to takie zachodnie jest. Przede mną czterdziestolatek z działu ubezpieczeń komunikacyjnych. Dyrektor działu. Wyżej już biedak nie zajdzie, bo jakby mieli go awansować do samej góry, to już by tam był. Albo utknie na tym stanowisku do emerytury, albo zmieni firmę. Firmy nie zmieni, boi się odejść. Spłaca kredyt na mieszkanie w eleganckiej dzielnicy, uwierzył telewizji Bloomberg i twierdzi, że dziś praca jest luksusem. Ale chłopak się stara. Wygląda rewelacyjnie. Zupa dnia to żurek? O nie, ten pan z żurkiem pożegnał się dekadę temu. Raz w roku jada żurek u mamy na Wielkanoc. Na co dzień kiełbasy i mączne glutiny omija. Ziemniaków nie tyka. Dietetyczka w klubie, w którym dyrektor codziennie biega i gra w squasha, zaleca sałatki, ryby i kasze. Na śniadanie sok z cytryny. Zupełnie omija, zerkając z niepokojem na mnie, bo ja sobie żurku nalewam. Dyrektor szczupły niczym Jacek Wszola, cieniutki jak szuwały nad jeziołem. Jest tak chudy po to, by móc wreszcie nosić obcisłe koszule, a w weekendy obcisłe džinsy rurki. Mężczyźni zabrali nam już wszystkie urodowe kobiece tematy. Diety cud, katalogi wysyłkowe, modne dodatki, depilacja, liposukcja, angielskie buty na zamówienie, paryski szyk szaliczków. Samcza sylwetka jeszcze do niedawna miała charakteryzować się wielkimi bułami bicepsów rozrywających koszulki, posturą w trójkąt, czyli na górze duże silne ramiona i karczek, a w dole cienkie łydki. W siłowniach sztanga była najbardziej obleganym przyrzędem, a jeden z moich kolegów, architekt, na wakacjach każdego ranka robił 50 pompek, by mieć szeroką klatę. Dawniej samcza sylwetka mogła odznaczać się dużym brzuszyskiem wylewającym się z nad kąpielówek czy bojówek. Typ „misio”, niczym kanclerz Helmut Kohl, uosabiał ciepło, bezpieczeństwo, swojską rubasność. Teraz mężczyzna misio dozwolony jest tylko w starych kreskówkach. Kumpel Kubusia Puchatka. Gruby prezydent Obama? Niewyobrażalne! Opasły prezenter wiadomości telewizyjnych? Wolne żarty. Grubi nie mogą być już nawet profesorowie, bo studenci nisko ich ocenią w ankietach. Grubi nie mogą być liderzy biznesu, bo Jacek Santorski wyśle ich na coaching, będzie budził o szóstej rano i gnał na jogging do parku. Gruby lider to lider rozlazły, niezmotywowany, a nawet być może uzależniony od golonki. Właściwie gruby to może dziś być tylko zawodnik sumo, szef kuchni i właściciel rosyjskiego przedsiębiorstwa gazowego. W czasach gdy mężczyźni upodabniają się do kobiecej Kate Moss, nie dziwi mnie wcale marketingowy pomysł jednego z kosmetycznych koncernów w Indiach. Krem sprawiający, że możemy czuć się dziewicą.

Czytałam na portalu BBC, że kobiety w Indiach chętnie kupują ten krem, który rzekomo odbudowuje błonę dziewiczą. *Feel like a virgin* – brzmi hasło reklamowe. Jakież nieźle szurnięte te Hinduski, pomyślałam. Która z nas chciałaby ponownie być dziewicą? Albo na przykład trzeci raz być dziewicą. Jola, lat dwadzieścia, dziewica dwukrotna. Madzia, lat trzydzieści, po urodzeniu dwójki dzieci mówi: dosyć, i decyduje się na ponowne dziewictwo. W epoce paleolitu – czy to może była epoka kredy, nie pamiętam już – ja też byłam dziewicą. Pamiętam, że w tych odległych czasach dziewczyny skupione były na tym, by z dziewictwem zerwać. Żadna rozsądna pannica nie miała zamiaru marnieć w dziewictwie aż do ślubu. Ślub to ewentualnie bierze się po trzydziestce, po urodzeniu dzieci albo w ciąży, ale na pewno z partnerem, który się sprawdził.

Niektóre z dziewcząt miały szczęście i ten pierwszy raz odbywały z zakochanym po uszy chłopakiem, który przeczytał potajemnie książkę do anatomii oraz kilka numerów szmuglowanego „Playboya”. A część dziewcząt panicznie bała się „pierwszego razu” i kombinowały, jak by tu ten przykry obowiązek odfajkować szybko i bez bólu. Zawsze znalazł się życzliwy kolega, starszy student, przy którym dziewczyna mogła czuć się jak z *Pigmaliona*. A tu te Hinduski kilkakrotnie błonę dziewiczą chcą sobie montować i na takie przykrości narażać? Byłam w szoku. Pewnie kulturowe różnice wszystko tłumaczą. Że niby my tu wyzwolone bez błony paradujemy, a one muszą dla męża dziewicę udawać. Jednak patrząc na współczesnych mężczyzn, myślę, że może taki krem do odbudowy błony dziewiczej przyjmie się w Polsce. Mężczyźni tak skutecznie papugują nasz styl życia i nasze sylwetki, że niech choć ta troska o błonę dziewiczą nam zostanie. Nasze jądro kobiecości. Coś tylko naszego, babskiego. Taka błona to będzie już jedyna różnica między kolegą z firmy a mną. W ubraniu jesteśmy nie do poznania. Ja w rurkach, on w rurkach. Ja ogolona, on ogolony. On waży 50 kilogramów i ja ważę 50 kilogramów. On je sałatkę z octem jabłkowym i ja też. On nie żłopie piwa, ja nie żłopię. On ma bieliznę od Calvina Kleina i ja też. Tylko pod bielizną różnica. Może pasy cnoty same sobie zaczniemy fundować? Tylko że na pewno znajdzie się projektant, który pasy cnoty wprowadzi również do męskiej kolekcji.

Kto to pani zrobił?

„O Jezu! O rany! Pani Agatko, kto to pani zrobił? Na litość boską, no naprawdę, teraz to już się z tym nie da nic zrobić. Ja nie wiem, ja się nie podejmuję pomóc i co teraz będzie?!!!”. Tu następuje wytrzeszcz oczu, a następnie zafrapowany wzrok pana Pawła pada na podłogę. Głowa i ramiona opadają w dół, przygwożdżone ciężarem tragizmu sytuacji. Ja zaś wpatruję się w niego z nadzieją człowieka w tarapatach. Może jednak coś zaradzi? Nie chodzi o za słoną zupę. Nie zostałam pobita, zuchwa ma trzymać się jeszcze mocno. Nie chodzi o wgniecioną maskę w aucie. Jakimś cudem, mimo że podróżowanie po polskich autostradach to gra w rosyjską ruletkę, auto mam na razie w całości. Sto procent odpowiedzialności władze zwalają od lat na kierowców. Z Krakowa do Ustki mamy jeździć 50 kilometrów na godzinę, zamiast głądzić o autostradach. Najlepiej do naszych toyot, subaru i audi włożymy sobie silniki poloneza, jeśli piątego i szóstego biegu i tak nie jest dane nam używać. „Kto to pani zrobił?”. Nie chodzi o dzieciątko. Poprzestaję na jedynaku, choćby nawet proponowano mi bezstresowe niepokalane rozpoczęcie wychowywania następnego człowieczka. Tym razem chodziło o krzywą ścianę u mnie w pokoju, ale tak jest ze wszystkim. Polski mężczyzna nie czuje się spełniony, zanim do cna nie skrytykuje swego poprzednika. Pan Paweł nie zbuduje mi siedmiu zwykłych półek na książki, bo mam krzywe ściany. Pan Paweł jest oburzony na historię świata, która nie potoczyła się według jego światłych rozkazów. Najpierw powojenni budowniczy postawili krzywe ściany w mojej kamienicy, a potem jacyś partacze budowlańcy w wybranej przeze mnie ekipie remontowej, która to nie była jego ekipą, krzywo zagipsowali. Tak, tak zdarza mi się czasem coś papierowego przeczytać, na przykład całą powieść wydaną na papierze. Na złość producentom e-booków. Książki ustawiane na podłodze w kształt piramidki zaczynają się nam przewracać. „Katuję” syna wydaniem *Ali Baby i czterdziestu rozbójników* z rysunkami Szancera, Biuro Wydawnicze „Ruch” z 1960 roku. Takie skarby muszą stać na półce, panie Pawle. Mężczyzna Poprawiacz ma opanowane ciężkie wzdychanie lepiej niż Zbigniew Zapasiewicz w legendarnej roli Krappa w *Ostatniej taśmie Krappa* Becketta. Wzdychanie uruchomić ma moje poczucie winy. Jak mogłam dopuścić do takiej sytuacji, że w moim życiu cokolwiek zbudował kto inny niż pan Paweł. Masz babo placek. Mam za swoje: „Teraz to ja pani proponuję wziąć gipsowców i gipsować na nowo, a za jakiś miesiąc ja wezmę znów miarę. Albo zrobię tu pani całą zabudowę”. Aluzju poniała. Albo droga zabudowa, albo mam spadać na bambus. Mężczyźni Poprawiacze występują na całej planecie Ziemia w każdym środowisku i nie spoczną, dopóki nas nie zdolują swym defetyzmem. Znam pacjentkę pewnego dentysty, który tak krytykował plombę wstawioną przez poprzednika, że aż zawołał do ich oglądania grupę higienistek i studentów. „No, kto dziś jeszcze tak robi?”. Twierdził, że nic się nie da z tym zrobić, bo jest tak spartaczone. Po wymownej ciszy wpadł na pomysł wstawienia zupełnie nowych zębów za zupełnie okrągłą sumkę. Nasze załamanie nerwowe tylko Poprawiacze są w stanie jakimś niewyobrażalnym wręcz wysiłkiem i talentem danym od sił boskich przekształcić w poczucie wdzięczności. Oto Poprawiacz, po licznych turbulencjach i trudach, zmienia naszą beznadzieję w Nowy Początek. Likwiduje partactwo z przeszłości, a jego złane potem mięśnie i półkule mózgowie wynoszą nas, głupiutkie i poszkodowane, w stronę światła. Kiedyś pojechałam na obóz tenisowy za granicę i tam po krótkim sprawdzianie trener wydał wyrok: „Kto ci ustawił taki wielki zamach do forhendu? Tak się grało sto lat temu. *Really terrible*”. Mając lat siedemnaście, poczułam się jak stara babcia na rehabilitacji korzonków w Konstancinie. Tak się grało w Biskupinie... Cała radość z grania w tenisa w barwach Legii przez ponad dziesięć lat przysła. Mój forhend nadaje się do skansenu. Całe życie robiłam zły zamach. „Z takim zamachem to nie zdążysz odebrać serwisu. Jak ja mam w dwa tygodnie naprawić uderzenie, który jakiś partacz, a nie trener, wpałał ci,

dziecino, przez dziesięć lat? No, chyba że za jakąś dopłatą przeniosę cię do grupy początkujących”. Nie muszę chyba dodawać, że po pierwszym Poprawiaczu niebawem z krzaka pojawi się kolejny mężczyzna Poprawiacz. Ten jegomość zamach skrócony będzie z powrotem podłużać, używając podobnych technik psychologicznych: „No, niemożliwe. Jak pani ma wykorzystać moment uderzenia, jeśli pani porządnego zamachu nie zrobi. Taki krótki zamach jest szybki, ale zupełnie nienaturalny. Pani ma talent, widzę, że nie o głaskanie piłki chodzi, tylko o porządny szot”. Problem w tym, jak odróżnić partacza od poprawiacza? Nie da się. Często to jeden i ten sam mężczyzna.

Twierdza kawalera

Kawaler nie musi wcale mieszkać w kawalerce. Przyznam się bez bicia, że dane mi było w życiu zawrzeć znajomości z kilkoma. Współczesny kawaler (o tych z ery Tyrmandowskiej i przedwojennej nic nie wiem, liczę na listy od Państwa) może mieszkać z psem rasowym nawet w willi, ale to rzadkość. Przeważnie jego gniazdo jest niewielkie. Urządzone eklektycznie, chaotycznie i bez gustu, gdyż kawaler mieszkanie wynajmuje. Uwaga na głowę, bo na ścianie, tuż przy wieszaku na palta zainstalowany jest rower górski, zakurzony i z flakiem, gdyż kawaler nie ma czasu ani motywacji by jeździć, zwłaszcza od kiedy kupił samochód. Nie potknijmy się o imponującą ilość i nieładem kolekcję butów – świat nie słyszał dotąd, by kawaler miał buciastą szafeczkę. Nasze okrycie wierzchnie musimy wnieść do pokoju, gdyż wieszak przedpokojowy jest tak naprawdę swoistym skrzydłem, rozwinięciem szafy głównej, która polega na tym, że składa się z metalowego drąga opartego na dwóch pionowych drągach. Tak dynda, swobodnie, acz ryzykując zakurzenie, cała garderoba kawalera. Jako że nie każdy kawaler miał na koncie swej kariery podrywalskiej związek ze stylistką (to jest taki ktoś pomiędzy fotografem a projektantem), garderoba jest mizerna. Garnitur sztuk jeden w folii, używany ostatnim razem na ślubie kumpla. Jedna marynarka w jodelkę (jeśli w USA, to z łąkami na łokciach), którą zakłada codziennie do pracy oraz na pierwszą randkę. Ewentualnie też na drugą, jeśli dziewczyna na pierwszej randce była twardsza niż Roman Bratny i nie pozwoliła się pocałować. Potem na randki już się nie stroimy, bo kobiecie okiełznanej nie musimy imponować.

Jesteśmy w livingu. W mig odróżniamy estetykę kawalera od dramatycznych prób podejmowanych przez kilka byłych „lokatorek”, które z kawalerem pomieszkiwały. Posepnie zasuszona dracena – pamiątka po Byłej nr 3. Artystyczne zdjęcie wydmy porośniętej plastycznie rozcapierzonymi konarami oprawione w schludną ramkę z Kodaka – pamiątka z wakacji w Łebie z Byłą nr 2. Epicentrum livingu stanowi drewniany stolik, obskurny, byle jaki, ale jego urok we wspomnieniach. Ciało stolika nigdy nie było otulone obrusem, gdyż pył papierosowy, rozgrzane fiki, wymięte skręty – całość lepiej funkcjonuje na gładkiej powierzchni. Obrazy? Nigdy. Zamiast tego plakaty, często na pinezkę, przeważnie jest to mózg z robalem z filmu *Iluminacja*, a jeśli kawaler ma kłopoty z życiem seksualnym, są to wizerunki jego idoli intelektualnych, na przykład brodziasty Hemingway, lokowaty Niccolò Machiavelli lub inny macho. W mieszkaniach samotnych koleżanek widuję bardzo często fotografie ich byłych narzeczonych, u kawalerów jest to rzadkie, gdyż kawaler boi się, że to zmniejszy jego szanse. Lampa stojąca, z poszarpanym abażurem (kolega niechcący podpalił koleżance włosy, a przy okazji zajął się abażur) i składane krzesła, na wypadek gdyby bibka rozwinęła skrzydła. Reszta to półki pełne książek i, bez złośliwości, wiele z nich jest przeczytanych, gdyż to nie ze względu na poziom erudycji kawaler jest samotny. On po prostu jest tak skomplikowany cieleśnie i duchowo, że trudno mu w życiu znaleźć partnerkę godną jego poziomu.

Kuchnia jest używana we wszystkich celach, tylko nie w celu gotowania. Zlew bywa czasem przedłużeniem biblioteki – kupa w nim słowników. Szczytem są kawalerowie, którzy wcale nie z biedy nie posiadają lodówki. W tym szaleństwie jest metoda. Przychodzi się w odwiedziny ze schłodzonym chablis, a tu żadne sączenie, tylko chlupu-chlupu, na szybcika, żeby nie zrobiła się ciepła zupa, i jeszcze przed finałem *Panoramy* jest się w punkcie zwrotnym, czyli albo marsz do domu, albo ząbki, paciorek i do łóżeczka. Otóż to – sypialnia. Materac, a nie łóżko. Pościel gładka albo w kratkę, żadne tam słoneczniki, misie czy kwiatuszki, bo boimy się posądzenia o homoseksualizm. Przy łóżku źle skręcony stolik bez szuflad, na nim piramida

książek, czasem „Zeszyty Literackie”, bo to lekkie i można z tym chodzić w kieszeni (Pewien człowiek, mieszkający ongiś w Krakowie nad Starym Teatrem, miał w sypialni namiot; wypożyczył na wakacje, ale chciał zamortyzować jego uroki już wcześniej). Dywanu brak, bo trzeba odkurzać. Znam pewnych kawalerów, którzy mieszkają we dwóch i od czterech miesięcy nie sprzątają, bo i tak za chwilę kończy im się umowa najmu. Przestali chodzić w kapciach, tylko łążą w buciorach. Kawaler nie zmywa, bo posila się w restauracjach lub budkach wietnamskich, w domu podstawowym daniem są ser żółty i kefir na kaca.

Łazienką kawalera nieraz byłam miło zaskoczona. Otóż jest ona nadzwyczaj bogata w rzeczy w porównaniu z ogólnym minimalizmem. Współczesny kawaler nie jest fleją, jeśli idzie o ciało. Zawsze zamontuje jakąś półeczkę, a na niej kolekcja wód męskich, balsamów, w szufladzie sześć szczotek do zębów, po Byłych, szampon przeciwłupieżowy, jeśli kawaler ma włosy, i bąbelki do wanny, bo kawaler zna uroki tego, gdy ona jeszcze kąpie się dla niego, a najlepiej z nim. Łazienka sprawia, że wychodząc z domu, kawaler lśni, czaruje, zezuje, wabi, feromonuje dopóty, dopóki nie zaciągnie swej nowej kobiety życia do domu. Po fazie pierwszej fascynacji, gdy wydaje się nam, że miłość mu wszystko wybaczy, stwierdzamy, że nie wybaczy braku poczucia estetyki. Pal sześć etykę. Estetyka ponad etykę, zwłaszcza gdy siorbiemy ciepłe wino z plastikowego kubeczka, popijając rozpuszczony ser, siedząc na źle skręconym drewnianym krzeselku i słuchając kolejnej opowieści jego najlepszego kumpla o tym, jak to jego film jest genialnie mroczny, tylko żaden producent tego nie łapie, bo im zależy jedynie na komercji.

Baba w futrze

Na horyzoncie baba w futrze, po chwili kolejna, a z trolejbusu wysiada mężczyzna w futrzanych nausznikach. Oj, co za hucpa, co za arogancja, co za akt odwagi, ot tak paradować w futrze w czasach ekoterroryzmu, politycznej poprawności i ocieplenia klimatu. W Sankt Petersburgu, najdziwniejszym mieście, w jakim zdarzyło mi się być, na ekologów jeszcze nikt nie zwrócił uwagi. Podczas kilkudniowej wizyty w tym miejscu zauważyłam więcej sklepów z futrami niż w Warszawie, Paryżu i Berlinie razem wziętych. Temperatury wcale nie są tam o wiele niższe niż w Polsce. W grudniu padał deszcz. Choć przy Newskim Prospekcie można sobie sprawić ciepłą kurtkę każdej ze światowych (czyli chińskich) marek, a sklepy są czynne 7 dni w tygodniu do późnych godzin wieczornych, to zamożniejsze osoby chętniej kupują futra, bo w końcu Leningrad to *gorod gieroj*, tu nasilniejszy i nasłuszniejszy nawet lobbing zewnętrzny nie ma specjalnych szans. – Gdybym wiedziała, że tu można bezkarnie chodzić w martwych zwierzętach, wzięłabym ze sobą moje futro z lisa, które odziedziczyłam po matce, oraz mufkę, którą odziedziczyłam po babce. W Warszawie trzymam je głęboko schowane, w specjalnej kryjówce pod podłogą na wypadek rewizji szwadronów ekologicznych. Futra wypożyczam sporadycznie do sesji erotycznych, ale w Photoshopie przerabia się je potem na sztuczne – zwierzyłam się rosyjskiemu przyjacielowi. – Agato Daniłowna, naprawdę boicie się, że ktoś was obrzuci jajami, jeśli wyjdziecie z domu w futrze? – zdziwił się. Ostatnio zwrócono mi uwagę, że chodzę w skórzanych drewniakach. Z poczucia winy straciłam potem godzinę, surfując po moim ulubionym sklepie z butami (www.zappos.com) w poszukiwaniu sztucznych i nietrujących drewniaków.

Ze zgrozą stwierdzam, że wszystko, o czym w sferze materialnej marzyłam, gdy poszłam w liceum do pierwszej pracy (jako trenerka tenisa), jest dziś zakazane. Myślałam, że gdy w końcu wypłyniemy na szerokie wody ohydneho kapitalistycznego systemu, będziemy konsumować, co sił w kieszeniach. Wraz z pięcioosobową paczką koleżanek planowałyśmy wspólny rajd wzdłuż Włoch śladami mistrzów renesansu, by wspinać się po zboczach od Dolomitów po Toskanię, a po drodze wdrapać się do Castello San Giorgio z freskami Andrei Mantegni. Brzmi niewinnie, jednak ile bezcennych cyprysów i wiejskich dróg Italii taki rajd by zrujnował? Planowałyśmy też wynajęcie уютnego stateczku wraz z wyposażeniem w postaci przystojnego francuskiego studenta historii sztuki, takiego w fularze, potrząsającego grzywką, aby podczas spływu rzekami Burgundii wprowadzał nas w arkana historii Francji. Ale stateczki zanieczyszczają wodę, a wynajęcie sobie studenta do towarzystwa przez pięć kobiet zakrawa na mobbing. Każda z nas przed maturą choć raz była na Zachodzie i uznałyśmy, że skoro jest tam tyle świeżących towarów, to zjawisko biedy na pewno nie istnieje i nas dotyczyć nie będzie – stąd plany konsumpcyjne były nader luksusowe. Na trzydzieste urodziny miałyśmy sobie kupić wiadro czarnego kawioru, by jeść go łyżkami wraz z blinami. Dziś bliny są zabronione, bo smażenie jest przez kardiologów uznane za przestępstwo pierwszego stopnia. Do niedawna odór smażonej ryby lub kiełbasy miło wiał się po klatce mego bloku. Teraz w kuchniach skopiowanych z katalogów IKEA triumfują piekarniki na parę i nie jestem w stanie ustalić, co który sąsiad serwuje sobie na kolację. Ponieważ okres licealny przypadł nam na czasy siermiężnej gastronomii, która jedzenie ryb sprowadziła do piątkowej kostki z dorsza, obiecałyśmy sobie, że potrawy z ryb znane nam z filmów i literatury francuskiej nadrobimy jako kobiety w wieku balzakowskim. Dotyczyło to również pojawiających się w lekturach, między innymi w Sopliewie, bażantów, pieczeni z dzika, sarniny. Czytam, że podobno w Ameryce są restauracje, gdzie na talerz wjeżdża mięso ubite przed chwilą. Jada się bycze jaja, uszy świni

prosto z dzidy zdjętej z rusztu. A Anglicy upolowane zające wywieszają do góry nogami na balkonie, zanim je przyrządzą w sosie. Dziś nie tylko nie można wyjść z domu w futrze i z torebką ze skóry węża, ale podejrzewam, że gdybym na swym balkonie wywiesiła kilka martwych zającey, wreszcie znudzony paparazzo miałby temat do wanitatywnego portretu w stylu Snydersa.

– Czy wiesz, że William Faulkner napisał *Kiedy umieram* w kilka tygodni – opowiadała mi koleżanka, która wybierała się na amerykanistykę.

– To może pojedziemy na ryby nad Missisipi śladami Faulknera? – zasugerowałam.

Amerikanistyka jest dziś niemodna, bo imperium się rozsypuje, podczas gdy talibowie kręcą kolejne filmiki na DVD. Za to arabistyka jest oblegana. Ryb łowić też nie wypada – to niehumanitarne. Organizacja Greenpeace rozsyła po domach ulotki nawołujące do bojkotu kupowania łososi, dorszy, fląder i generalnie wszystkiego, co smaczne w wodach morskich. Połowy są niehumanitarne, gatunki wkrótce wyginą, lepiej tego nie jeść. Podobno kawa z Kenii jest aromatyczna. Ale zbierają ją ludzie w niehumanitarnych warunkach. Tyle zostało z marzeń o nieokiełznanej kapitalistycznej konsumpcji.

Kończę kawę z moim rosyjskim przyjacielem.

– Jedna z naszych caryc zostawiła po sobie 18 tysięcy sukien. Miała obsesję, że śmierć zastanie ją we śnie, więc nocami codziennie balowała, a w dzień spała. To się nazywa konsumpcja. Dziś kobieta pracująca nie miałaby czasu nawet przymierzyć tylu sukien. Maria Fiodorowna robiła w Pawłowsku codziennie kompozycje ze świeżych kwiatów i rzeźbiła biureczka z tralkami z kości słoniowej. Wycinanie kwiatów? Polowanie na słonie? Dziś surowo wzbronione. Postanawiamy obejrzeć *Powrót syna marnotrawnego* Rembrandta w Ermitażu. – Agato Daniłowna, zwróć uwagę na dłonie ojca, jedna jest kobieca, a druga męska – eksplikuje przyjaciel. – Zwróciłam uwagę, choć większe wrażenie zrobiło na mnie to, że nie zjadłeś do końca swojej drożdżówki, zawiązałeś ją w serwetkę i schowałeś do kieszeni.

– O tak, w Petersburgu jedzenia nie wyrzucamy. Przetrwaliśmy 900 dni oblężenia.

A my? Marzyliśmy o nieokiełznanej konsumpcji, ale nadszedł czas, by pomyśleć o jakiejś alternatywie. Może sama woda źródłana, otręby owsiane i życie przy świecy, by prądu nie marnować. Czy to też jest już zabronione?

Życie z marudą

Hura! Kochane panie i (jeden pan) w wypożyczalni książek nr 70 skończyły inwentaryzację i mogę oddać wreszcie porcję lektur. Trzy tygodnie temu, przed tą nieznośną inwentaryzacją, miałam niecelne trafienie przy wyborze lektur i odliczałam już dni do ponownego otwarcia biblioteki. Lecz tak naprawdę cieszę się na spotkanie z uśmiechniętą panią bibliotekarką, gdyż jest ona jedyną osobą na świecie, która zawsze cieszy się na mój widok. Precz z e-bookami, niech żyją uśmiechnięte pracowniczki w bibliotece! Gdybym była zamożna, zatrudniłabym gosposię, szofera i dwóch ochroniarzy, by witali mnie z uśmiechem. Wchodziłabym do garażu i wychodziłabym z niego w tę i we w tę, że niby zapomniałam czegoś, i za każdym razem mój szofer Filip albo Emil witałby mnie promiennym „Dzień dobry. Jak miło panią widzieć”. A moja gosposia, podając pizzę, mówiłaby: „Jak dobrze, że już pani jest, od śniadania jakże się stęskniłam. Piękna dziś ta rukola na pizzy, prawda?”. Ach, jak brakuje mi w Warszawie ludzi w dobrym nastroju albo choć takich, którzy dobry nastrój udają, trzymając fason. Zauważyli Państwo, że w bajce o smurfach, którą karmiono nas onegdaj w ramach *Dobranocki*, żył sobie tylko jeden, słownie jeden, smurf Maruda? Stanowił on zabawny kontrast dla swych towarzyszy, wśród których byli zmotywowani liderzy, mentor z brodą, nimfetki, waśniak, pracuś, lalusz i wiele innych typów psychologicznych. Ale prócz tego jednego w leśnej osadzie smurfów nie było przecież więcej ponurych, marudzących, zdołowanych typów. Zastanawiam się nad emigracją do lasu smurfów, bo od lat mam wrażenie, że albo wciąż ląduję w złych kręgach towarzyskich i służbowych, albo że może cały nasz kraj to drużyna składająca się z samych dołersów. Marudą jest być łatwiej, wygodniej i bardziej stylowo. Na fotografii osoba z zaciśniętymi wargami, a najlepiej do tego jeszcze ze zmarszczonym czołem, wygląda odpowiedzialniej i bardziej intelektualnie niż osoba uśmiechnięta. Człowiek radosny, uśmiechnięty – wiadomo – udaje albo jest infantylny, no cóż, po prostu głupek, który o sprawach wanitatywnych nie ma pojęcia. Urzędnik, w szczególności, uśmiechnięty być nie może, bo jeszcze ktoś pomyśli, że ma wysoką pensję albo właśnie przyjął podejrzaną kopertę. Ponuro wyglądają też mężczyźni na szosie. Jedzie sobie taki maruda tym swoim lexusem albo rowerem, nie ma po co się uśmiechać, bo czuje, że oto może do roboty jedzie ten ostatni raz. Szefowa na Europę Wschodnią nigdy nie pamięta jego nazwiska, faworyzuje menedżerkę z Niemiec, pewnie go rychło wywalą, nie ma co się cieszyć, że nowe auto, że nowe drogi. Zresztą zjazdów nie ma, radarów nastawiali, wypadków i karamboli przybędzie. Rano maruda się nie uśmiecha, bo źle spał. Opisywana przez Wiktora Osiatyńskiego w genialnej książce *Litacja* Amerykanka, która opowiedziała mu, że każdy ranek rozpoczyna od klaśnięcia w ręce i krzyknięcia na głos: „To będzie najlepszy dzień w moim życiu”, jest według marudy pieprzniętą wariatką. Przecież wiadomo, że nowy dzień to dzień bliżej zgonu. Marudami częściej stają się mężczyźni. Kobiety pragną wyglądać jak modelki z okładek „Twojego STYLU”, więc często uśmiechają się i tak już im na szczęście zostaje. Rzadziej też marudzą, bo są siłaczkami i niepotrzebnie starają się mieć dobry humor za dwie osoby – za siebie i za partnera. Drogie Panie, mężczyźni marudy nie dadzą rady rozpromienić. Co więcej, maruda nie spocznie, dopóki wam humoru nie popsuje. Cieszy cię, że radiowa Dwójka transmituje Brittena z Londynu; odpływasz w niebiosy, słuchając? Z błęgiego letargu wyrwie cię maruda, mówiąc: „Jasne, pozostaje radyjko tranzystorowe, bo od lat na koncerty już nie jeździmy”. Maruda byłby bawidamkiem, dandysem, bywalcem, kto wie, może nawet sam zacząłby grać na harfie, ale cóż, przez ciebie ma rodzinę. Bachory i ty zepsuliście mu życie. Kochanek też maruda? Miesiącami zwleka, niepewny sensu sprawy i sprawności. Rzadko to robi, więc tym bardziej wyszedł z formy. Nic nie robi spontanicznie. Najpierw musi przecież przemyśleć, czy masz dość jędrny tyłek, czy w miejscu, w którym macie to zrobić, jest dość

ciemno, by nie widać było jego brzucha, no i zanim podejmie decyzję, musi pomyśleć o tragicznych wprost konsekwencjach przelecenia ciebie. Niby jeden stosuneczek bez zobowiązań, ale a nuż poczujecie czułość! Albo ty, o zgrozo, zaprosisz go potem na miasto, a maruda, wiadomo, miasta unika. Ludzie są brzydzy, czegoś od niego chcą, po co babrać się w jakieś gadu-gadu do niczego nieprowadzące.

Drodzy Czytelnicy. Jest tylko jeden sposób na marudę. Potwierdzać, potwierdzać, potwierdzać. „Ale syfiasty ten hotel, a miał mieć trzy harpuny”. Potwierdzamy: „Dramat, bez sensu ten wyjazd. Może skoczysz załatwić bilet powrotny, bo ja muszę łyknąć prozac z tego wszystkiego”. Mówić jeszcze tragiczniejsze sentencje, wzdychać, chlipać, siedzieć w milczeniu podczas śniadania, wpatrując się w ścianę. Broń Boże, niczego nie proponować! Wymownie milczeć, deprecjonować swe zasługi. Wtedy nagle maruda poczuje, że ma bratnią duszę. I na fotografii z wyjazdu do Nepalu gapić się na ciebie będzie jakiś uśmiechnięty facet! Kto to jest, pytają znajomi. Ach, to taki młot, którego zaliczyłam w Katmandu, szkoda gadać, pocieszny błazen.

Songwriter

Jestem na koncercie w klubie w śródmieściu mojego miasta. Jest środa wieczór, środa banalna, nieświęteczna, nieurodzinowa, a my czekamy na koncert nieznanego mi jeszcze songwritera. Przyjaciółka, która mnie tu zaciągnęła, jest studentką muzykologii i twierdzi, iż songwriter jest boski, nagrał już trzy płyty. Na dźwięk słowa „songwriter” oczekiwałam bluesmana z Memphis, rosłego Afro-Amerykanina z harmonijką ustną. Albo jakiegoś lewackiego wyznawcy Bruce’a Springsteena w spranej dżinsowej kurtce i z dłońmi poharatanymi ciężką robotą przy sadzeniu ekoziółek. Tymczasem angielszczyzna songwritera brzmiała jakoś tak nadwiślańsko. Po jednym numerze okazało się, że jest to swój chłop, Polak, ale pisze piosenki po angielsku. Nie jest więc on polskim poetą piosenki ani wokalistą, ani autorem, ani tekściarzem. Zwie się go „songwriterem”. Wiadomo, piosenka poetycka kojarzy się z Jonaszem Koftą, Edwardem Stachurą, Markiem Grechutą. Ich następcy albo boją się porównań z tak pomnikowymi kolegami po fachu, albo wstydzą się swojskości, albo nie wiedzą, kim byli poprzednicy. Kofty w MTV nie grają, więc to tak, jakby go nie było. Wolą porównania z Nirvaną, Dylanem, McCartneyem. Chcemy być songwriterami, a nie poetami piosenki. Polszczyzna zapewne ma mniej odsłon na YouTube. Śpiewając po angielsku, liczymy, że może ktoś nas zauważy i zaprosi do Los Angeles, a stamtąd to już droga prosta na Grammy Awards. W klubie zupełnie niepotrzebnie zdjęłam czapkę. Okazuje się, że moherowe berety po zaledwie kilku latach transformacji przeistoczyły się w czapki z dzianiny. „Dlaczego wszyscy są w czapkach?”, spytałam naiwnie koleżankę muzykolożkę. Chodziło mi o publiczność, gdyż to, że gitarzysta i puzonista byli w czapkach, uznałam za oczywiste. Tomasz Stańko nosi czapkę, więc bycie muzykiem obliguje do efektownej kreacji. Nuty nie mogą z głowy wyparować. „Igor jest w czapce, bo dziś źle ułożyły mu się włosy”, uzyskałam odpowiedź. Aha. Repertuar muzyczny mnie nie porwał, a angielszczyzna była niezrozumiała, więc w teksty nie mogłam się wgryźć. Wpatrywałam się w publiczność. Sporo było małych grupiek damskich. Dziewczyny przyszły razem, ale czas spędzały każda ze swoim smartfonem. Nie ma po co słuchać, ważne jest potwierdzać swą obecność na koncercie na fejsie, jednocześnie guglując, czy może ktoś nie jest na fajniejszym songwriterze w ciekawszej czapce. Z życia towarzyskiego znikają domysły, czajenie, węszenie. Tę fazę załatwia za nas brat Google. Pomimo że koncert nie był sponsorowany przez firmę produkującą dżinsy, wszyscy panowie mieli takie same spodnie – luźne w kroku, a wąskie w łydkach. Wróciły z impetem koszule w kratę, co mnie cieszy. Najchudszy z anorektyków w koszuli w kratę zyskuje powab drwała. Osoby bez tatuażu były w mniejszości. Dotyczy to również kobiet, które chętnie powierzchnię reklamową na karku okraszają tatuażami. „Tak jakby po dwudziestu latach zawitał do nas ponownie styl grunge z Seattle”, szepnęłam do znajomego muzykologa stojącego obok mnie i sączącego niepasteryzowaną łomżę. To nie jest produkt plejsment. Pan Michał takową sączył. „Rzeczywiście, mamy new grunge – potwierdził. – Przerabiają sobie na nowo Nirvanę. Lubię Nirvanę, ale oni przez to nic nowego nie piszą”. Czy nie piszemy nic nowego, bo siedzimy w necie? Korzystamy z milionów plików muzycznych, klipów, fotek, które umiejętnie przekładamy, załączamy, dzielimy się, a w efekcie międlimy to wszystko, stojąc w miejscu, uprawiając muzyczny i fotograficzny recykling. Mając dostęp do światowych technologii i producentów, nagrywamy piosenki w Londynie, tracąc oryginalny styl i brzmienie, jakie mieli Niemen, Anawa, Alibabki. Zyskujemy światowość, dołączając do konglomeratu nijakości. Nie powstają takie standardy jak *Taki pejzaż*, bo pejzaż znamy z paska aplikacji w smartfonie. Nie powstają takie szlagiery jak *Na całych jeziorach ty*, bo komu dziś cały świat przesłania jedna „ty”. Następnego dnia po koncercie zupełnie przypadkowy telefon od dziennikarki z radia

w Wilnie. Słuchacze z Wilna uwielbiają słuchać piosenek Marka Grechuty. „Jak to możliwe, że młodszy wokaliści nie śpiewają ciekawych tekstów” – pyta dziennikarka ze śpiewnym akcentem kresowianki. Im bardziej songwriterscy i światowi współcześni autorzy, tym większe sukcesy mają wokaliści śpiewający covery z dawnych lat. Sam Paul McCartney wolał wrócić do starych pięknych melodii! Przed snem czytam sobie korespondencję między Stanisławem Lemem a Sławomirem Mrożkiem. Nie dość, że panowie świetnie piszą, wyprawiają takie rzeczy z polszczyzną, że mózg się gotuje, to jeszcze cytują w każdym prawie liście mistrzów literackich od Sandauera po Frischa. A to wszystko bez używania emotikonów i bez guglania w necie. Jak tu dziś kleić listy bez buziek i serduszek? Cienkie te nasze zbiory korespondencji będą. Pamiętam niedawną batalię o mundurki w szkołach. Jakie były awantury, gdy Giertych je wprowadzał! Niepotrzebnie się silił, bo wygląda na to, że sami z siebie chcemy śpiewać i wyglądać tak samo jak inni. Internet być może uwalnia sztukę, ale ta wolność jest pozorna. Zaczadza i zniewala masowo. Zamiast poezji Stachury mamy songwriterów, których nazwiska i teksty są nie do zapamiętania. I melodie, które do złudzenia przypominają coś, co zostało już kiedyś skomponowane.

Hotel Lambert

Chodzi mi po głowie Krystyna. Krystyna – nie Krysia. Krystyna Dąbrowska. Niestety o mnie często mawiają Agatka. Zmora zdrobnień. Syna mam, kredyt mam, matkę pochowałam, ale i tak Agatka. Pan w banku do mnie Agatka. Pan pisarz do mnie per „dziecko”. Pani reżyser z telewizji: „Daj Agatka, dwa kroczyki w lewo, swoje lewo”. Kroczyki w lewko. Ma takie prawko reżyserka. Trener do mnie też zdrobniale: „Dawaj Agatka, ty pączusiu, te ruchy kluchy podkręć trochę”. Panowie też się zdrobniają. Regres to? Infantylizacja? Każdy Tomasz woli być Tomek, bo od razu dziesięć lat młodziej się wygląda. Młody piernik mocno lśni. No, ale niepotrzebnie od Krystyny dygresję czynię. Zakręciła mi w głowie swym talentem, a i uroda, niestety, też idzie w parze z darem pisania, bo taki to los złośliwy, że niektóre zdolne bestie to piękne bestie jednocześnie. Do tomu poezji *Białe krzesła* Krystyny Dąbrowskiej wracam myślami obsesyjnie. Dziubię z dzieckiem przy stole kotleta i buraczka, a tu bum, wiersz o stole w ogrodzie działkowym przypomina mi się. Słońca brakuje mi, gdy sunę, szczękając zębami do wulkanizatora, ech, te zimówki, może to i bez sensu, taksówkarze odradzają, a tu bum, pod powiekami miga wspomnienie słońca znad morza i już wślizguje się wiersz *Odplyw, przyplyw*. Wracam do domu, w przedpokoju schodzone adidas dzieci, widać, że to ich ostatni sezon, wiele przeszły na boisku. I bum, Krystyna, jej wiersz *Buty* nagle w moim przedsionku, w progu mojej głowy. Proza życia miesza się z poezją, aż trudno je od siebie odsączyć, jaki to durszlak pozwoliłby nam poezję z codzienności usunąć i w sumie po co.

W kwestii prozy życia i przedsionków oraz kuchni od dawna próbuję pomóc przyjaciółce mieszkanie kupić. Świadkową onegdaj byłam na jej ślubie, lekcje razem robiłyśmy w szkole, coś tam się deklinowało, przeklinało; na wakacjach razem jagody się zbierało. Ja mam cierpliwość i nosa do sztuczek agentów, o czym przyjaciółka wie. Agentów nieruchomości. Nie będzie mi pan Andrzej z agencji Twoja Strzecha czy innego Green Plaza wciskał widnego od północy czy cichego na skrzyżowaniu. O blokowisku mówił apartamentowiec, o spacerniku mówił kaskada. Kaskady to proszę pana w Dalmacji są, na rzece Krka, a tutaj to pionowy i niebezpieczny jest tylko zjazd do garażu. Nie będzie mi agentka owinięta w ekopaszminy wciskała kitu, że oto ulica Burakowska to zielony Żoliborz, a Barszczewska to ulubione miejsce spacerów Kaliny Jędrusik. Przyjaciółka moja nie jest wolną jak ptak poetką, która żyje, podróżując po stypendiach, pomieszkując tu i ówdzie i zbierając doświadczenia metafizyczne, by po dwóch latach mieć czterdziestostronicowy tomik. Żadna z niej Krystyna Dąbrowska, ale taka Dąbrowska to wszak jedna jedyna na ten kraj analfabetów w kominiarkach przypada. Przyjaciółka nie pamięta chyba, kiedy ostatni raz w życiu była sama w podróży. Jej jedyna chwila na czytanie poezji to droga do pracy po odwiezieniu dzieci do szkoły. Bo przyjaciółka ma pracę, męża i trójkę dzieci w szkole muzycznej. Harfa, wiolonczela, pianino. Dlatego szukają mieszkania pięciopokojowego. Zdecydowanie z kuchnią i pralnią. Szok, prawda? Dziś w moim mieście rodzina z trójką dzieci, i to mieszkająca razem, a nie na dwa domy, jest czymś tak kuriozalnym, że rynek nieruchomości usunął ją z listy klientów. Muzykowanie w domu? Że niby nuty czytają? Dzieci katują? Sąsiadom plumpląć będą, korkiem wygłuszać sufity jak Stasi czy CIA? A gdybym jeszcze ja wpadła na pomysł i chciała zanocować u koleżanki? Czyli że szósty pokój gościnny? Nie daj Bóg z psem? Nie, no zwariowałam kompletnie, hotelu Lambert w Warszawie mi się zachciało. Pałaców miejskich to już się dawno nie buduje z lęku przed dekapitacją.

Mieszkania pięciopokojowego w rozsądnej, powtarzam, rozsądnej, a nie okazjonalnej cenie, szukamy już dłużej, niż policja szuka zaginionej Iwony, która szła po Monciaku i nie

wróciła. Takich mieszkań nie buduje się w Polsce. Za karę. Osoby tak nierozsądne jak moja przyjaciółka i jej mąż mają za swoje. Należy tak planować rodzinę, aby się mieścić wygodnie na czterdziestu metrach. A jak nie, to won do domu z ogrodem za miasto. I dojeżdżajcie autem grzmotem, co pali szesnaście litrów, bujajcie się na rurach do szamba i zamiast przy harfie pracujcie przy szufli, odśnieżając dojazd do garażu. Mieszkania buduje się dla starych kawalerów. Stary kawaler, który raz pomieszkuje w paryskim lofcie, bo tam go firma wysłała na dwa lata, a potem ląduje w Bukareszcie, bo tam się zakochał w przewodniczkę podczas zwiedzania cerkwi Marmaroszu – taki to zawsze 40 metrów na inwestycję kupi. „O, proszę, niech pani popatrzy, mamy tu piętnaście lokali czterdziestometrowych, ja nie popędzam, no, ale w ciągu pół roku sprzedałem ponad połowę”, zachwala pan agent. Agenci ćwierkają, mają zawsze uśmiech colgate. „Widzi pani ten widok? Park jak Bieszczady”. Otwieram okno. Teren zielony, cztery lipy ledwo zipią. Szum jak w Kairze podczas rewolucji, pan na to zachwala okna: ale jakie szczelne okna, słyszy pani? Na lato w cenie montaż klimy”. No pewnie, w takim Marriocie to w ogóle okna się nie otwierają. „Mamy też spory wybór średnich mieszkań. Takie schodzą najszybciej”, opowiada agentka. Sama mieszka w starej kamienicy. „Starsi ludzie kupują dla córki lub synusia. Jak pociechy podrosną i już w wieku trzydziestu lat zrobią magisterium, to opuszczą gniazdko studenckie. Wyjdą bogato za mąż, to rodzice puste gniazdko wynajmą”.

Sprawa wygląda beznadziejnie. Same dwupokojowe. Przyjaciółka zmęczona domowymi kłótniami. Dzieci nie chcą gnieździć się na łózkach piętrowych. Mąż nie chce mieszkać w buraczanej dzielnicy. Ja, czyli przyjaciółka, radzę: albo rozwiedźcie się, póki się lubicie, i wtedy mężowi kupi się tę kawalerkę. Albo dzieci wyślij do muzycznej z internatem, co? A może kup trzy małe koło siebie i przebij ściany? Że co? Że osiedle się zawali? Remont za drogo? Trzy wanny? To może daj mi jedną córeczkę, zawsze marzyłam o córce.

Idolka

Na parkingu pod Biblioteką Narodową z torebki wyleciały mi okulary słoneczne z optycznymi szklami. Ich brak zauważyłam dopiero po godzinie. Są kobiety, które nawet w bibliotece promenują w okularach słonecznych. To zrozumiałe. Nie widać, że podsypiamy nad książką albo że zamiast w mikrofilmy, wpatrujemy się w tatuaż, który czytelnik siedzący przed nami zafundował sobie na karku. Okulary słoneczne zdejmowane tylko pod prysznicem pozwalają zakompleksiałym paniąkom wyglądać władczo niczym kultowa reżyserka Olga Lipińska bądź tajemniczo niczym afrykański dyktator. Ja lubię moje wory pod oczami prezentować bliźnim i słoneczne wkładam tylko w samochodzie. Wróciłam na parking, leżały rozklapciane gdzieś pod drzewem. Zebrałam wszystkie części „rannych” okularów, pochylając się ze starannością godną archeologa pracującego nad wykopaliskiem. Do pani optyczki dojechałam nieomal na sygnale.

Zastałam u niej dwóch klientów. Jeden z nich miał na wyświetlaczu telefonu fotografię Fernanda Torresa, a na głowie fryzurę stylizowaną na tegoż hiszpańskiego byczka. Doznałam uczucia grozy. Nie mam na wyświetlaczu żadnego idola ani żadnej idolki. Nic nie mam na wyświetlaczu. Czyżbym była kaleką uczuciową, osobą, która nie potrafi nikogo darzyć uwielbieniem? Zadufaną w sobie bufonką? Nie ma żadnego sensu w mojej fryzurze, bo nie jest na nikogo stylizowana. Czuczło bez kierunku.

Przypomniało mi się, że bliski kumpel z liceum miał na drzwiach swojej szafki plakat z Grzegorzem Ciechowskim, z tą słynną czarno-białą fotografią, no tę z lokami w grzywce i czarną koszulą z krawatem w białe pasy. Z tej miłości do Ciechowskiego kolega nawet się uczył grać na gitarze przez trzy miesiące. Miałam własną szafkę w liceum, ale nic na niej nie przykleiłam. „To nie zależy od wieku, proszę pani – plotkowała ze mną optyczka. – Przychodzą starsze panie z wyciętą z gazety fotografią Diane Keaton. Ona nosi takie duże, czarne oprawki. Sporo znudzonych maklerów robi się na Toma Forda. Dziwi się pani? Dobili czterdziestki, kredyt, alimenty, perspektyw na awans nie ma, no to chociaż mogą pomarzyć o palmach w Ameryce. Grzeczni panowie dodają sobie odwagi okularami Johnny’ego Deppa, no i jest cała grupa muzykantów – oni lubią takie metalowe telewizorki jak Pete Wentz”. Aha. Nie wiem, kto to Pete Wentz, ale pomijam to milczeniem. Przecież idolką nie musi być znana wokalistka, Matka Teresa czy piękność dnia na miarę Magdaleny Cieleckiej. Może to być koleżanka z klasy.

Od dziecka byłam zapatrzona w kobiety z podwórka i to do nich aspirowałam. Dotyczyło to również mężczyzn. W przedszkolu idolem był egzotycznie brodaty Rumcajs, ale ja fascynowałam się koleżanką z grupy o imieniu Czikako. Była jedyną Japonką w przedszkolu, miała długie, proste czarne włosy. Była dzielna jak nie wiem co. Razem z polskimi dziećmi szkicowała węglem w brulionie górników z okazji Barbórki.

W podstawówce wielbiłam Renię. Renia pisała równo piórem chińskim. Nigdy nie wychodziła za linię. Była najładniejsza w klasie, miała czarne oczy, śpiewała w chórze dziecięcym w operze, a ja nie potrafiłam trafić w ani jedną nutę. Znała się na polityce, gdyż rodzice pozwalali jej oglądać telewizję. Powiedziała mi w czwartej klasie, że „władzę powinni dostać chłopcy”. Do dziś pamiętam ten moment, bo poczułam się maluczka przy mojej wspaniałej Reni. Do dziś nie rozumiem, co to jest władza. Renia miała renesansowy porządek w uczuciach. Podczas gdy mnie podobał się raz Artur, raz Piotrek, Renia była zasadnicza. W piątej klasie

usiadła w ławce z Adasiem. I pobrali się w kościele położonym kilka ulic od szkoły. Po studiach Renia gdzieś mi mignęła, znajoma mówiła, że ma stanowisko w firmie. Ja oczywiście nigdy nie będę tak renesansowa jak moja idolka i żadnego stanowiska nie wypracowałam. Od początku było widać, że pisząc, wychodzę za linię, a geometrii do dziś nie rozumiem.

Na studiach gawieź studencka szalała za Red Hot Chili Peppers, a moją idolką była Allegra. Wysoka blada Angielka z rodu arystokratycznego, koleżanka z mojego roku. Pasjonowała się fotografią i jeździła konno w Royal Ascot. W pokoju akademickim w kącie trzymała pejczyk, co doprowadzało moją wyobraźnię do masochistycznego wrzenia. Wstawała o świcie i przed wykładami spacerowała wzdłuż rzeki, fotografując kajakarzy we mgle. Pewnego dnia zapytała mnie, czy na Gwiazdkę nie wybrałybyśmy się na Bahamy. Ma tam letni domek. Oczy wyszły mi z orbit. Trudno powiedzieć, czy bawiło ją wprowadzanie koleżanki z komunistycznej Polski w świat brytyjskich salonów; nie zastanawiałam się nad tym, idol powinien pozostać nieosiągalny.

Dziś moją idolką jest sąsiadka z kamienicy. Sama wychowuje trójkę dzieci i pracuje, a od dekady nie była na wakacjach poza działką rodziców. Nigdy nie wypoczywa, lecz nigdy nie jest zmęczona. Żadnego dziecka nie zgubiła, wszystkie dzieci znakomicie się uczą, a syn jest mistrzem Warszawy w hokeju. Sąsiadce zrobię sesję z dziećmi i wrzucę na wyświetlacz telefonu. U optyka fotografia mojej idolki nie przyda się, bo ma ona sokoli wzrok, okularów nie nosi, więc nie mogę „robić się na nią”. Zerówek nie nosi, bo zapewne nie chce z siebie robić idiotki.

Rzut młotem

I co? Jak poszło naszym chłopakom na Euro 2012? Wygrali! A nie mówiłam? Łyso teraz wszystkim malkontentom, co? Okazało się, jak zwykle, że szczęście sprzyja lepszym. Nasi chłopcy w szóstkę pokonali w brawurowym stylu nudnych jak flaki z olejem Niemców. Z nogą w uchu wykiwali nazbyt pewnych siebie Hiszpanów. Francuzi jak zwykle w fanfarońskim nastroju, ale nie wiadomo z jakiego powodu. Kibicom znad Sekwany opadły fulary, gdy przespacerowali się ulicą Francuską po warszawskiej Saskiej Kępie. Kiedyś biednej zaniedbanej dzielnicy zubożałych inteligentów i poetów, a dziś, dzięki Euro, to tu przypada więcej torebek Louisa Vuittona na jeden metr kwadratowy, więcej rasowych psich kup niż na Polach Elizejskich. Po tym, jak rozgromiliśmy Czechów, Portugalczycy byli już formalnością. Szkoda tylko, że jakiś taki tandetny, zwalisty ten puchar Euro, nie? Nie czepiajmy się szczegółów. Liczy się zwycięstwo. Obraz ministry Muchy wymieniającej się koszulką z Wiktoorem Janukowyczem pozostanie dla mnie na zawsze symbolem jednoczącej się Europy. W 1989 zburzyliśmy mur berliński, a teraz nasi piłkarze zjednoczyli ten rejon świata. No i te gadżety na Euro – nasze wnuki będą nimi szpanowały. Pomysł, aby każdy kibic dostał breloczek z kluczykiem do celi Julii Tymoszenko, był zarazem celny i praktyczny. Wiedziałam, że naszym biało-czerwonym orłom się uda. Polskie siatkarki, fajtlapy, nie zakwalifikowały się na olimpiadę w Londynie, ale za to nasze orły poprawiły nam humory, pozwalając zapomnieć o inflacji, kredytach, siejących grozę zderegulowanych taksówkarzach. Wiedziałam, że warto wydać miliony na strefę kibica, zamiast finansować mało dochodowe festiwale muzyczne i teatralne! Warto było noc i dzień zdrapywać rdzę z barierek na moście Poniatowskiego prowadzącym do Stadionu Narodowego, po to, by zasikali ją kibice. Wrażenia estetyczne gości pozostały na dłużej i zwracają się w postaci inwestycji. Szczególnie kibice z Portugalii inwestują miliony w Polsce, kupując tu sobie wakacyjne wille w Łomiankach, nad Biebrzą i w Karpatach – są już zmęczeni plażami nad Atlantykiem i głośnymi rupieciami, czyli tramwajami Lizbony. Warto było dać zdewastować parkującym kibicom trawniki i krawężniki. Jak ktoś lubi zieleń, to polecałam od początku Szlezwik-Holsztyn. Tam, na niemieckiej prowincji, trawa po horyzont i owce się na niej bezmyślnie pasą, wiatr północny hula, bida w tej Rzeszy Niemieckiej, zadupie totalne. Wypiękniała ta moja Warszawa dzięki naszym mistrzostwom niczym wyretuszowany stary negatyw. Niektórych miejsc nie można było poznać. Mosty i budynki, projektowane przecież przez trzecioliigowych inżynierów, spowite zostały w cudnej urody banery sponsorskie. Banery mieniające się bajecznie dowcipnymi hasłami, które to weszły na stałe do polszczyzny. Do dziś reklamy Euro zdobią nasze wsie i miasteczka.

Hi, hi, hi. Łyso teraz wszystkim owłosionym feministkom, które kpiły z tej „kopaniny”! Zamiast populistycznie wytykać PZPN-owi, że spotyka się na konferencje w hotelu Sheraton, należy zadbać o to, aby wielcy stratedzy piłki mieli wreszcie godną siedzibę. Może całe ostatnie piętro Marriotta im kupić? Nie... Tam się okna nie otwierają, brak świeżego powietrza. Lepszy będzie Zamek Ujazdowski – precz z tą burżuazyjną sztuką współczesną. Sztuka ma być za darmo w sieci, więc Zamek będzie godnym gabinetem dla triumfatorów tych rozgrywek.

I co? Jak tam poszło naszym chłopcom podczas Euro 2012? Blamaż totalny. Nawet z grupy nie wyszli. A nie mówiłam? Tak to jest liczyć na naszych panów. Pies z kulawą nogą na Euro nie zarobił – wprost przeciwnie, pijani kibole zdewastowali sklep spożywczy mojej koleżanki, bo skończyło się piwo. Ani kopacze na boisku nie dali rady, ani kopacze autostrad nie dali rady. To wszystko wina mężczyzn. Ech, gdyby kobitki rządziły, to Roman Abramowicz nie

miałby czego tu szukać. Nasze orły biało-czerwone wszystkie razem wzięte to młoty. I Polki przez ostatnią dekadę zaczęły specjalizować się w rzucie młotem. Każdy powód jest dobry, aby mężczyznę wyrzucić. Za gruby, za chudy, zbyt zapracowany, za leniwy, za mało tatusiejący, za bardzo podtatusiały. Nowoczesne kochanki wiedzą, że są tego warte, a żaden z orłów ich nie zaspokoi, więc czas wolny wolą spędzać w SPA. Tam masażyści klepią im plecki i botoks. Nowoczesne mamy wiedzą, że były mąż jest łatwiejszy w pożyciu niż mąż w realu. W wychowaniu dzieci nie przeszkadza, tylko grzecznie płaci za szkołę i wakacje. W domu się nie płacze pod nogami i nie chrapie w łóżku. Poza tym badania dawno wykazały, że mężczyźni są słabsi psychicznie od kobiet. Piją na umór, włóczą się po domu w kapciach pomimo łykania prozaców garściami. Wiadomo było, że takie młoty Euro nie wygrają ani dróg, dworców i biznesów nie zbudują. My jesteśmy księżniczkami i dobrze nam się leży na ziarnku grochu. Nic tak nie cieszy jak wasza przegrana i niedola. A nie mówiłam?!

Wikt i opierunek

Z czego przeciętna dziewczę może zrezygnować w ramach oszczędności i cięć budżetowych? Powiedzmy sobie szczerze: nie wyprowadzi się z przestronnego wynajętego mieszkania do mniejszej dziupli w gorszej dzielnicy. Po prostu byłoby to szkodliwe dla jej bezpieczeństwa i zdrowia. Peryferia są ciemne i kobieta stanie się łatwym łupem, gdy nocą z szumem szampana we włosach będzie wracać z imprezki. Nie może przeprowadzić się do tańszego lokum daleko od stacji metra, gdyż długie spacery na obcasach owocują haluksami bądź obtarciami. Poza tym przeciętna torebka damska waży więcej niż torba tenisowa Rogera Federera, więc ze względu na kręgosłup nie da się taskać takiego bagażu codziennie kilometrami do przystanku komunikacji miejskiej.

Proszę Państwa, zupełnie już wykluczone, aby kobieta kupione na kredyt mieszkanie sprzedała i zamieniła na mniejsze. Przecież musi mieć w domu gabinet z jej własnym, powtarzam własnym, a nie dzielonym z odmóżdżoną grammi dziatwą, stanowiskiem komputerowym. Ze skanerem do skanowania zdjęć z rejsu jachtem (z byłym narzeczonym ze studiów, na zdjęciu widać, jak ją karmi ośmiornicą, którą ukatrupił harpunem) i plikiem wyniesionych dokumentów firmowych, które warto posiadać w razie restrukturyzacji. Kobieta musi mieć własną kanapę do czytania, kruszarkę lodu do drinków, bo przecież piwem żadna z nas się nie tuczy, rowerek do spinningu, osobną umywalkę, plantację domowych ziół, przestrzeń na ścianach na liczne dyplomy, gdyż dziewczęta wciąż kończą kolejne kursy. Ja na przykład właśnie spędziłam kilka dni na szkoleniu w zakresie „bezpieczeństwa informacji dziennikarskich” i przybył mi kolejny dyplom.

Oczywiście, można wyprowadzić się do mniejszego mieszkania, ale wtedy nie da rady wstawić tam mężczyzny i dziecka. Tymczasem socjologowie wieszczą, iż depresja (tak mówią w Anglii), czyli kryzys finansowy (tak mówi się u nas), ma wzmocnić relacje rodzinne. Zamiast konsumować rozrywki na mieście, będziemy siedzieli wspólnie za stołem, trzymając się za ręce i prowadzili analizy wpływu muzyki Podhala na homoseksualizm Szymanowskiego. Ale też nie może być mowy o wstawianiu biżuterii do lombardu bądź na Allegro! Po co? Przecież zarobionej gotówki i tak nie ma co wpłacać do banku czy kupować za nią jednostek funduszy. Poza tym, czyż rodzinne wartości nie są najważniejsze? Pierścień z szafirem od pierwszego narzeczonego, bransoleta złota od drugiego męża, pióro wysadzane diamentami, czyli pamiątka romansu korespondencyjnego z szefem oddziału spółki w Singapurze, bursztynowe korale od teściowej, która chciała wkraść się w nasze serce, w czasach gdy zwlekałyśmy z produkcją wnusiów. To nieludzkie wyprzedawać biżuterię i antyki. No, to może obciąć fundusze na pielęgnację ciała i raczej podkreślać aspekty duchowe? No nie, proszę wybaczyć, ale to myślenie krótkowzroczne.

Zupełnie hipotetycznie przypuśćmy, że kobieta prócz ciała ma duszę. Bóg z nią, ale pracodawcy ta dusza nie interesuje, a ciało – aż nadto. Nie możemy prezentować nowych produktów, same nie prezentując się efektownie. Kobieta niezadbana nazbyt ryzykuje, iż zmije z działu PR, które jeszcze miesiąc temu tańczyły z nią na rurze podczas imprezy integracyjnej, wykluczą ją, gdy tylko zacznie tracić formę. Formą zaciskania pasa mogłoby być wstąpienie do klasztoru. Jednak to myślenie egoistyczne, antypaństwowe. Czyż nie nawołuje się Polek do reprodukcji, czyż nasza ojczyzna, a szczególnie starzejące się społeczeństwo nie są w potrzebie? Kto będzie zarabiał na kolejne pokolenia? Kto będzie produkował polskie pociechy? Chyba nie straszące pustkami po reformie posła Gowina laboratoria *in vitro*. A może książki? Wiadomo, że czytają je głównie kobiety. Jak by tu pomyśleć o oszczędnościach? Zamiast kupować, zacznijmy

masowo korzystać z wypożyczalni publicznych. Tylko z czego będą żyły autorki i autorzy książek? Artyści i pisarze są dobrem narodowym, bezcenną wartością intelektualną, bez której nasz naród zginie. Pozostaje jeszcze obcięcie wydatków na wyjazdy wakacyjne. Tylko że wycieczka do Turcji jest tańsza niż życie codzienne w Warszawie.

Z powyższej analizy wnioski nasuwają się same. Kobieta nie może zrezygnować z własnych wydatków. Jedynym działaniem antykryzysowym jest obcięcie jej wydatków na mężczyznę. Po co mu samochód z taką wielką pojemnością? Możemy wspólnie jeździć kobietą trzydrzwiową dacją. Koniec z prezentami dla ukochanego. Żadnych zegarków, krawatów, nowych garniturów. Skórzane łąty na marynarkach w wyższych sferach Anglii nigdy nie wyszły z mody, niech się panowie nauczą je wszywać. Koniec z gadzciarstwem. Po co dorosłemu facetowi telefon i gry, którymi bawią się zerówkowicze? Po co abonament w klubie tenisowym? Nie widział filmu *Rocky*? Brzuszki można ćwiczyć, wisząc na darmowym drzewie w parku pod domem. Droga kosiarkę benzynową trzeba wymienić na ręczną. Dla zdrowia mężczyzny to tylko lepiej. Stałe kochanki bądź sporadyczne skoki w bok muszą wylecieć z domowego budżetu. No, chyba że zwolni pomoc domową i sam zacznie odkurzać, myć okna, przelatywać podłogę na mokro. Wtedy zaoszczędzone fundusze być może wystarczą mu na jakiś skoczek w boczek. Dotyczy to i nas, drogie Panie. W ramach oszczędności wypadnie nam zaciskać pas cnoty. Koniec ze swingerskimi imprezami i wydatkami na orgie. Dwudziestoletni utrzymanek musi w końcu wrócić do mamusi, bo nastał czas, gdy jego rodzice winni stawić czoło odpowiedzialności za syna. Kilka lat temu moja sąsiadka w prezencie ślubnym kupiła swemu panu młodemu auto, na którym kazała wymalować szlaczek z datą ślubu. Koniec z takimi rozpieszczającymi drobiazgami. Mężczyzna jest jedynym wydatkiem, z którego kobieta może zrezygnować, nie ryzykując choroby czy utraty pracy. Po kilkudziesięciu latach leniuchowania panowie muszą wziąć się do roboty i z pożółkłych lektur spróbować sobie przypomnieć znaczenie słów „ojciec rodziny” albo zrozumieć, że w ramach cięć kosztów reprezentacyjnych musiałyśmy dokonać radykalnych oszczędności.

Tata pomocnik

„Nie mówiliśmy sobie dużo o ciemnych stronach świata i życia, wystarczyły półsłówka w drodze na parking”, pisze Inga Iwasiów w notatniku żałoby po śmierci ojca pod tytułem: *Umarł mi*. Czy to przypadek, że w ostatnim roku sięgnęłam aż po dwie żałobne książki, wszak wcześniej połączyłam zdecydowanie inny w wyrazie *Dziennik żałobny* Rolanda Barthes’a – luźne notatki pisane po stracie mamy. Porównywanie jakości żałoby. Czyja żałoba głębsza, literacko lepsza. Czy skupienie Iwasiów na szczegółach, teoretycznie nieważnych drobiazgach, takich jak pogoda, pusty fotel, stary banan w siatce szpitalnej, to drobiazgowość czy umiejętność syntezy? Czy jej tak zwane radzenie sobie to oznaka dojrzałości, czy wypieranie płaczu. A pogrążenie, wręcz pławienie się w żałobie i depresji Barthes’a to dowód na chorobliwe przywiązanie do mamusi? Luksus, na który może pozwolić sobie samotny mężczyzna, który nie musi zajmować się dziećmi, etatową pracą, pomocą innym szlochającym. Czy osierocona córka i osierocony synek cierpią tak samo, czy może płęć wikła żałobę?

Myślą mi się takie myśli, a tu nagle w klubie tenisowym łypie w barku stare poplamione herbatą wydanie „Gazety Wyborczej”, a w nim wyniki sondażu na temat bliskości. Podczas gdy Iwasiów z taką uwagą pochyla się nad ojcem, przyjaciółkami, całą rodziną, czytam w prasie, że tylko 10 procent Polaków rozmawia z ojcem na ważne tematy. Trzydzieści dziewięć procent Polaków uznaje matkę za bliską osobę, a ojcowie są bliscy tylko dla 16 procent z nas. Smutne wieści nie dziwią, ale jak sobie je Państwo tłumaczą?

Powierzchniowa sonda nie podaje czytelnikom, co to ma być ta nasza bliskość z ojcem, a szkoda, bo brak bliskości łatwiej zdefiniować niż poczucie takowej. Czy wystarczy fizyczna obecność ojca, fakt, że był przy nas od niemowlęctwa, wziął urlop tacierzyński, umie złożyć jednym ruchem wózek parasolkę, sprawniej ten wózek rozkłada, niż ściąga damskie staniki? Czy wystarczy to, że ojciec jest obowiązkowy, trzeźwy, nie bije i pamięta, w której jesteśmy klasie? Nie, to znaczy tylko tyle, że jest to człowiek odpowiedzialny. Wielu polskich ojców przez całe życie nie ma okazji poczuć się spełnionym, silnym mężczyzną, więc trudno się dziwić, że dzieci nie czują w nich odpowiedniego partnera do ważnych rozmów, oparcia psychicznego, empatii i prawdziwej, a nie tylko finansowej, troski.

Tysiące ojców nie potrafi zrobić dziecku byle omleta, bo w kuchni wyręczała ich najpierw mamusia, a potem żona. Przecież w polskim domu rządzi mama. Od początku ustawia tatusia w roli automatu, pantoflarza, a w najlepszej sytuacji „pomagacza”. Mamusie wiecznie synków chwala, więc synkowie wykazywać się nie muszą. A jak ślicznie oddycha, a i ślicznie maluje. Nie zdał do siódmej klasy? A to pewnie pani od matmy wredna. To się synusia przeniesie, po co ma się męczyć. W efekcie rosną z tego przekonani o swym geniuszu panowie, którzy od świata oczekują pochwał i omdleń na ich widok z zachwytu. Będąc taką kaleką emocjonalną, trudno starać się podążać za swym dzieckiem, uczyć się bliskości. Od życia ojciec tylko oczekuje, a dawać i słuchać innych nie umie. Większość dumnych ojców kobiety nauczyły wierzyć w to, że oni świetnie „pomagają” przy dziecku. Nawet mieszkając pod jednym dachem, śpijąc w jednym pokoju z dzieckiem, ojciec ma rolę „pomagacza”. Wszystkowiedząca święta zawsze mająca rację matka wydziela ojcu rolę, na przykład odprowadzającego do szkoły albo codziennie kąpiącego dziecko. Ojciec ma reagować na krótkie komendy, bo sam przecież nie „zaplanuje całości”, bo jest „nieprzytomny, nieodpowiedzialny”. O dentyście nie pamięta, o szczepionce nie pamięta, o zapisach do szkoły nie pamięta. Więc matka zleca mu proste

zadania.

Polski mężczyzna karcony jest od przedszkola. A to się wierci za bardzo. A to pisząc, wychodzi za linie. A to pyskuje. W domu, w szkole, w sypialni – wieczna treserka. W efekcie przyszedł tata już jako uczeń w podstawówce – milknie. Jedno myśli, drugie robi, następuje przepaść między umysłem i ciałem. Nie powiem rodzicom, co zrobiłem, bo mnie opieprzą, nie powiem żonie, co mnie dręczy, bo mnie rzuci, nie powiem kolegom o swoich sprawach, bo wyszydzą.

Jak tylko matka na pięć dni wyjedzie, to dom po powrocie wygląda jak chlew, w pralce mokre pranie kisi się dwa dni, dzieci o kanapkach, a córce to w ogóle ten wariat pozwolił w piątek spać do dziesiątej i nie poszła do szkoły. Polska matka nigdy nie „pomaga przy dzieciach”. Zawsze słyszymy: ależ ty masz cudownie, ten twój mąż jest taki pomocny przy dzieciach. Kobieta jest zrządzającym, surowym menedżerem, a ojciec od początku tresowany jest tylko na pomocnika. Gdy szuka ciepła i poklasku w barze albo u koleżanek w pracy, której często nie ma (dom na utrzymaniu kobiety), to upupiany jest jeszcze bardziej, aż w końcu, no cóż, staje się ojcem weekendowym, który nawet alimentów nie płaci w terminie. Pomocnik nie jest suwerenny, samodzielny. Dziecko to widzi. Bliskość z pantoflarzem? Czy wystarczy do wytworzenia bliskości tak zwane wskazywanie drogi? Czyli ojciec pokazujący nam piękno świata, ojciec machający wędką, o popatrz córeczko, tak się spinning zarzuca, ojciec sternik, co to zabiera nas w wakacje w rejs żaglowcem, dryfując na falach, tłumaczy tajemnice wiązania węzłów, każe szorować pokład, uczy sterowania. To za mało na bliskość. To po prostu ojciec, który ma ciekawe hobby. Ojcowie często myślą tak zwane spędzanie czasu razem i robienie wspólnie fajnych rzeczy, wycieczki nad rzeczkę, granie w squasha za bliski kontakt z dzieckiem. Nie, to po prostu ojciec wymyślacz atrakcji, postać niewiele różniąca się od sprawnego opiekuna na koloniach, co to rano grę w podchody ustawi, a wieczorem w bilard popyka.

Nasi ojcowie to często mężczyźni, którzy latami pozbawiani byli skrzydeł. Napisałabym „jaj”, ale to pewnie niezgodne z genderową filozofią. Z takimi cierpiącymi, samotnymi, niepewnymi siebie (a mamusia tyle dla nich poświęciła...) mężczyznami trudno nawiązać pełną wzajemnej troski, zdrową relację. Trudno się dziwić zatem, że ojciec, zanim stanie się, jak pisze Iwasiów, „ciałem do wyniesienia”, jest dla wielu z nas tylko bankomatem, zrzedliwym starym albo milczącą mumią siedzącą na kanapie z tabletem i papieroskiem.

Bitka śmietanka

Nigdy nie zdarzyło mi się zajrzeć do czyjejs prywatnej korespondencji. Nawet przez przypadek nie zerknęłam do pachnącego liściku czy migającego esemesa w komórce „mojego” lubego. Nie dlatego, że nie zżera mnie ciekawość. Wprost przeciwnie, czyjeś pamiętniki zawsze wydają się ciekawsze niż własne zwierzenia, czyjaś kolekcja sztuki piękniejsza, czyjaś kobieta zgrabniejsza – niedosyt i niedostępność zawsze budzą moje łakomstwo. Po prostu zostałam wychowana w domu, gdzie powtarzano, że tajemnica korespondencji to rzecz święta i nie należy czytać czyichś listów, choćby dlatego, żeby... nie dowiedzieć się czegoś naprawdę nieprzyjemnego na swój temat.

Wyjątkiem od tej reguły była moja babcia Maria, która z lubością podsłuchiwała rozmowy telefoniczne. Prawie zawsze słyszałam dochodzący z pokoju obok gruchot ebonitowej słuchawki odkładanej nerwowo na widelki. Podsłuchiwała oczywiście z troski o wnuczkę i dlatego, że inaczej nie potrafiła się ze światem porozumieć. Zamiast zagadać wprost, na przykład: „Czy zamiast gry w piłkę nie powinnaś uczyć się francuskiego?”, podsłuchiwała. Nie umiała zdobyć się na szczerą rozmowę. To znaczy umiała, ale była to jazda po ulicy jednokierunkowej. Gdy ja ją pytałam, odpowiadała szczerze. Ale sama z siebie nie werbalizowała zastrzeżeń, krytyki, żalu. Coś tam ciągle w tej swej głowie spiskowała, ale nie sposób było do niej się przebić. Chętnie natomiast głośno ferowała wyroki i opinie na temat osób trzecich. Syna sąsiadów, któremu odkłaniała się z uśmiechem na klatce, posądzała o przeróżne kradzieże. Od osób trzecich dowiadywałam się, że coś się jej we mnie nie podoba. Wprost nigdy nie powiedziała mi: „Twoje wypracowania są słabe”. Albo: „Jesteś egoistką, nie myślisz o tym, żeby częściej przynosić mi nowe książki z biblioteki”. Zamiast mówić wprost, intrygowała, w tajemnicy obrabiała wszystkim tyłeczki.

Z biegiem czasu widzę, że charakter mojej kochanej babci nie jest niczym wyjątkowym. To nasz charakter narodowy. Paranoja, kompleks wyższości, plotkarstwo, niemożność cieszenia się sukcesem sąsiada – w tym przebijamy bohaterów Szekspira.

Byłam na urodzinach znajomej. Urządziła je w pięknym warszawskim klubie. Taka teraz moda. Domowe prywatki z kanapkami z pastą jajeczną i tańcami minęły. Nastął czas „finger food” i „open bar”, bo na gotowanie nikt nie ma czasu. Wnętrze klubu było eleganckie, jedzenie wyśmienite, jubilatka wyglądała kwitnąco, pomimo że maturę zrobiła jeszcze w zeszłym stuleciu. Partner jubilatki godnie wykonywał obowiązki współgospodarza – był widoczny, ale w tle, jako podpora i biżuteria dla bohaterki wieczoru. W pewnym momencie narzeczony uciszył towarzystwo, wznosił toast i rozpoczął recytację panegiryku wysławiającego jego muzę. I zaczęło się. Jedna pani stojąca obok szepcze do mnie: „Smoking to chyba wypożyczył”. Druga pani: „Co ty, on ma tyle forsy, że co dzień inny frak może nosić”. Z kóleczka psiapsiółek gospodarzy dochodziła lawina innych ciepłych komplementów: „Racja, z takimi układami to każdy by miał posadkę”. „Zobacz, jak ona niebywale wygląda. To pewnie botoks”. „A tam botoks, jak byś nic nie robiła, tylko spędzała dni na masażach, na siłowni i u kosmetyczki, też byś tak wyglądała”. Chcąc przerwać tę lawinę złośliwości i usłyszeć, co gospodarz ma do powiedzenia, szepnęłam: „Ciszej, teraz gospodarz mówi, spójrzcie, jak pięknie patrzy na żonę”. „Tak, tak, na początku zawsze tak jest, zobaczymy, ile czasu to potrwa”. „A w ogóle to może ta żona dla przykrywki, bo przecież to gej”. „No coś ty?”. „No nie widzisz po krawacie? Jaki normalny facet założyłby taki odlotowy krawat?”. „Geje? Tego wieczoru widać raczej mariaż

blondynek ze sponsorami. Dyrektorzy i ich utrzymanki”. „Bez przesady – nie wytrzymałam – jubilatka ma dużą firmę od wielu lat”. „Z takim nazwiskiem trudno, żeby nie miała firmy”. Co za zołzy, pomyślałam sobie. Przyszły na przyjęcie, brylują, jedzą i piją na koszt gospodarzy, a jedyne, co robią, to obrabiają im tyłki. Czy człowiek widuje się z innym po to, by samemu utwierdzić się w swej nad nim wyższości? Usiadłam pod ścianą z kieliszkiem wina. Natychmiast dosiadła się do mnie jakaś elegancka dama z torebką wartą trzy moje pensje miesięczne. „Pani Agato, niech pani nie pije tego wina, jest okropne”. „Nie jestem enolożką, na moje chamskie podniebienie wystarczy”. Na szczęście pani już się do mnie nie odezwała, uznając mnie za buca (jaka jest żeńska forma od „buc”?). Przed północą podano tort. Uwielbiam słodczy, więc młaśnieciem powitałam sunącego do mnie z tacą kelnera. „Ja robię dużo lepszy tort”, pochwaliła mi się daleka znajoma, mówiąc z ustami jeszcze pełnymi bakalii. „Widzę, że ten kawałek jakoś zmogłaś”, palnęłam, ale niski iloraz inteligencji kuchareczki, równy poziomowi jej manier, szczelnie chronił ją przed ironią. Resztę wieczoru spędziłam krążąc od jednej grupki obgadywaczy do drugiej i wtrącając raz po raz: „Ach, jaki cudowny wieczór. Jaka piękna jubilatka, jakie szykowne przyjęcie, prawda?”. „Mówisz poważnie?” – pytali ludzie szczerze zdumieni moim zadowoleniem.

Jak trudno cieszyć się urodą innych. Jak trudno cieszyć się sukcesem znajomego. Najłatwiej nazreć się i napić na czyjś koszt, obrobić mu tyłek i być zadowolonym z siebie. Jak trudno dopatrzeć się w bliźnim zalet, a jak łatwo wyliczyć jego wady. Ale wprost mu nic nie powiedzieć. Czy lepiej żyć, znając prawdę? Zajrzeć do korespondencji? Czy może grać w tę grę wstrętnej obłudy przykrytej garni z bitej śmietanki? Pielęgnować w sobie życzliwość – to grozi zrobieniem z siebie barana. Wolę być baranem niż świnią.

Pasożytką,
czyli z życia warszawki



Moje miasto jest moją najwierniejszą muzą. Mocno szpetną, zagubioną, bez tożsamości, po nieudanych przeróbkach i liftingach, mocno pokiereszowaną, niewierną, bo wpuszcza tu każdego i każdą, wykańczającą mnie chorym tempem i wciąż rosnącymi oczekiwaniami wobec kręcących się w obłędzie mieszkańców. A jednak trudno nam się rozstać. Widzę jej wady, lecz jej wszystko wybaczam. Nawet to, że z roku na rok ja jestem coraz mniej młoda a Warszawa pięknieje, bo przybywają tu najzdolniejsze, najambitniejsze i najpiękniejsze kobiety (owszem, owszem i chłopcy) z całej Polski i Ukrainy rozpychając się swymi łokciami, zaludniając miasteczko Wilanów i szarżując wyprzedaże limitowanej kolekcji czegoś tam podczas happy hour sponsorowanej przez xanax i aperol. Nie chcę, by Warszawie ktoś podtykał lustro pod nos, wolę by ją mitologizowano.

Znam każdą żyłkę tego miasta, lubię czytać varsavianę, np. opracowania typu „Więzienia mokotowskie”, albo felietony Wiecha. Patrzyć na „kosmiczny” sufit projektu Bohdana Pniewskiego w operze, gdy orkiestra stroi instrumenty, pamiętać domową biblioteczkę Jerzego Lisowskiego przy ulicy Wiejskiej, kręcone lody w lodziarni Igloo, pierwszy smak wygranej w turniejach na męczyce kortów Legii, zwalony pomnik Dzierżyńskiego, koleżanki w upolowanych na ciuchach w Radzyminie tureckich marmurkach. Lubię pamiętać pierwsze budki wietnamskie pachnące kolendrą wśród pirackich płyt CD i rajstop sprzedawanych z polowych łóżek, budy z hamburgerami na placu Konstytucji z napisem „cheeseburger z serem”, rzucanie butelkami po kefirze w ciężarówce zomo zaparkowane na Cytadeli, ciepłe piwo z kija w Źródółku przed meczem piłkarskim, śliedziki w Między Nami, tańce w Filtrach, pogrzeb Łucji Prus w drewnianym kościółku na Bródnie. Pamiętam każdy niechcący podejrzany przeze mnie spacer mistrza Tadeusza Konwickiego. Pisarz sunie w puchówce niezależnie od pogody, zatrzymując się zawsze przy placu Trzech Krzyży, by popatrzeć w górę: wpatrywać się w kopułę kościoła św. Aleksandra, albo niebo, albo może plakaty z ładnymi dziewczynami? Lubię pamiętać kupowanie uszczerek do kranu na bazarze Europa, lubię, gdy rano opadająca warszawska mgła nadziana na szpikulec Pekinu wygląda jak wata na patyku; nie wygumkuję wizyt u umierających bliskich w naszych szpitalach – na onkologii odmalowali hol i dają dobry barszcz, na Lindleya palacze kryją się w prysznicach, bo stare ławki przy klombie są oblegane. Będę pamiętać jak wczoraj minęła mnie piękność dnia na wściekle zielonej deskorolce, jej włosy zaplątane w kabel słuchawek musnęły kaptur mojej bluzy. Pamiętam wszystkie klótnie i imprezy na moim balkonie i twoje bełkotliwe: „nie wierzę w miłość heteroseksualną”.

Wkurza mnie STRASZNE NOWE w Warszawie: wykluczenie i gettoizacja, stawki czynszu, osiedla zamknięte i ludność osuwająca się ze skarpy w sztuczną rzeczywistość wirtualu. Wczoraj podeszła do mnie w parku jakaś zwawa niemoherowa staruszka i powiedziała: „Ojej, ja panią znam, ja panią często lajkuję”. Tuż przed śmiercią na pewno migną mi po kolei nazwy przystanków linii 116, którą dojeżdżałam z domu do liceum.

To za mało

Pełna nadziei, z dyplomem licencjackim w podróżnej torbie, zmierzasz na podbój warszawki. Na razie musisz opuścić swe kochane rodzinne Jasło, ale wrócisz tu pochwalić się dyplomem magisterskim i pierwszą premią, którą nowoczesny lider, twój pierwszy szef, wypłaci ci przed Bożym Narodzeniem. Szef na pewno nie będzie jakimś drętwym krawaciarzem, tylko kosmopolitycznym wyluzowanym menedżerem w efektownie rozwianym fularze. Premię oddasz triumfalnie rodzicom – przecież złożyli się na twój pierwszy tablet i hojny abonament telefoniczny. Babcia dała ci megakieszonkowe. Na czym babunia kochana oszczędza? Światło włącza już tylko w kuchni, bo prąd za drogi.

Codziennie po dwudziestej drugiej będziesz mogła dzwonić do tatusia i babci i opowiadać, jak wygląda życie w szklanym city, jak do pracy można przychodzić tylko w manikiurze typu „french”, bo obowiązuje dreskod. Jak musiałaś sama farbę na włosy nałożyć, bo tutaj balejaż jest wyśmiewany. W autobusie po raz dziesiąty googlujesz na mapie miejsce, w którym wynajęłaś pokój. Ależ to ułatwienie taka nawigacja, super. Na razie tylko pokój, ale jak zarobisz parę pierwszych pensji, wynajmiesz własne gniazdo. W melinie z jakimiś podejrzanymi miastowymi blokiersami mieszkać nie zamierzasz. Pochodzisz z dobrej rodziny; żadne hipisowskie numery w komunie nie wchodzą w grę. W końcu masz już licencjat, znasz angielski, miałaś dobre stopnie na maturze. Masz nadzieję, że zamieszkasz jak serialowa Magda M. Nie za duży przytulny kącik z widokiem na banki, kafejki, tętniące modną muzą kluby. Bez ogrodu, ale z balkonem, na którym posadzisz tuję. Na pewno pierwsze miesiące będą trudne, ale przecież Warszawa pełna jest ludzi takich jak ty, przyjezdnych, i oni się wspierają. Nie masz teraz głowy do chłopaków, ale gdzieś tam masz taką pewność, że znajdzie się poważny facet, opiekuńczy, wierny i hojny.

A kuku! Na miejscu okazuje się, że sytuacja jest jakaś... nie halo. W serialach nie pokazali okolic dworca autobusowego. Wykopy, rozkopy, tory tramwajowe nie istnieją? Nikt nie wie, jak dotrzeć do twojego pokoiku. Znają tylko własne trasy, a poza tym każdy mówi, że nie jest stąd. Potem jest już tylko gorzej. Szef nie daje premii. Szefa w ogóle nie ma. Pracy w szklanym biurze nie ma. Okazuje się, że licencjat to za mało. Magisterkę robisz, ale już wiesz, że to też będzie nie dość. Okazuje się, że dyplom to ma każdy, ale co z tego. Praktykę trzeba mieć. Angielski znasz i tabelki w Excelu? Kochaniutka, to za mało. Chociaż hiszpański albo francuski by się przydał. A najlepiej chiński. Jeden miesiąc, drugi miesiąc nie ma pracy w szklanym city. Może staż? Marzysz przecież o karierze w mediach. Udało się, dali staż. Staż bezpłatny? Już piąty miesiąc biegasz po konferencjach, zgrywasz wypowiedzi od znanych warszawiaków, ła!, poznałaś dzięki temu Korę i jej pieska! Taka ambitna stażystka, każde zadanie wykonane, a etatu nie ma? Nawet umowy śmieciowej? Mają innych chętnych stażystów za darmo na twoje miejsce. Jest praca w cukierni. Na siódmą rano trzeba być, a wieczorem można dorobić jako bejbisiterka w Miasteczku Wilanów. Jednak wylądowałaś w czymś, co nazywałaś komuną. Jedna stara lodówka, a w niej jedna własna półka. Lepsze rzeczy do jedzenia wolisz zjeść po drodze ze sklepu, bo inaczej koledzy współlokatorzy po piwku mają taki zwyczaj, że czyszczą lodówkę z twoich przysmaków. Do klubów bramkarze ich nie wpuszczają, bo albo są za mało gejami, albo za mało hipsterami, więc co wieczór trwa impreza u was w komunie. Zasnąć nie dajesz rady. Koleżanka współlokatorka jest aktorką z Sieradza. Na razie zagrała w jednej radiowej reklamie auta marki Škoda. Kolega z drugiego pokoju wrócił z Irlandii i pracuje jako kelner w nocnym barze. Dnie spędza na podrywaniu zamożnych mężatek, które

stawiają mu kawy smakowe. Na studiach harujesz ile wlezie, ale angielski jednak oblałaś, literaturę też. Stopnie masz słabe, nie ma czym się chwalić rodzicom. Na wydziale dobrze wiedzie się tylko tym, którzy już wszystko umieli wcześniej. Nadziani rodzice kupowali im korepetycje. Magda ma superrobotę jako menedżerka w siłowni. No tak, ale ona od dziecka trenowała bieganie. Ciebie rodzice nie zmuszali do sportu, tylko do chodzenia co niedziela do kościoła. Ale tu, w Warszawie, w kościele jeszcze nikt pracy ci nie zaproponował. Sadystyczny profesor oczekuje, że czytałaś już chociaż jedną książkę Thomasa Bernharda. W liceum czytałaś tylko lektury, żadnego Bernharda tam nie było, i to wystarczało przecież. Teraz trafiasz u tegoż pisarza na taki fragment: „Młodzi ludzie wyruszają do stolicy i w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu giną w miejscu, z którym łączyli wszelkie nadzieje, giną z powodu obmierzłości społeczeństwa, jego bezwzględności, własnej natury, która najczęściej nie dorosła do ludożerczej metropolii Wiednia”. Czy to kwestia twojej natury rzeczywiście? Przecież jesteś pracowita, pilna. Nie, ty nie masz narzędzi do walki z ludożerką. Koleżanka dostała pracę w firmie spedycyjnej, bo znała francuski, a ty? Gdzie twoja maczuga? Rodzice uwierzyli, że szkoła i matura wystarczą, by córka dała sobie radę. Uganiaś się za Warszawą, a ona ucieka. Czy złamiesz się i wrócisz do domu, czy w końcu znajdzie się ktoś, kto stwierdzi, że młoda, uczciwa, ambitna dziewczyna z dyplomem ma prawo dostać szansę. Że jej potencjał to nie jest za mało.

Pasożytki

Parę dni temu siedziałam w jednej z warszawskich kawiarni, oczekując na pewną wydawczynię, i napawałam się dymem z papierosów osób siedzących po sąsiedzku. Nie palę, ale w odróżnieniu od prezydenta Billa Clintona lubię się pozaciągać. W ciągu miesiąca, jak sobie tak poodycham dymem z papierosów, fajek, cygar znajomych i obcych, to oszczędzam na akcyzie, pod paznokciami nie gromadzi mi się nieświeży zapach, a czuję to sympatyczne zamroczenie nikotynowe. No więc siedzę sobie w kawiarni, a po sąsiedzku dwie pary hetero w wieku mniej więcej dwudziestu lat. Ubrane od stóp do głów w Pradę, Miu Miu, Dolce & Gabbana – nic oryginalnego, zwariowanego, ani pół kierpca góralskiego, kamizelki na drutach czy busoli po dziadku. Ciuchy nowe, jakby rodem od stylisty serialu amerykańskiego. Doszła do nich piąta przyjaciółka, oazówka w wersji New Age – wszystko hindusko-afrykańskie łącznie z koralikami i chustą z India shopu. Konwersacja dotyczyła marcowych wyjazdów na deskę. „Do Szwajcarii nie, będzie gorsze jedzenie, pojedźcie z nami do Włoch, tam jest pyszne żarełko i więcej słońca”, jedna para przekonywała drugą, na oazówkę nie bacząc. Jest pewien typ rozmówców, którzy siedząc w dużym gronie, konsekwentnie zwracają się tylko do jednej czy góra dwóch osób. Ci „świecni” dwudziestoletni studenci prócz omawiania wyjazdu do Włoch palili marlboro i pili szampana. Naprawdę, szampana w knajpie o trzynastej. Cudownie jest być dorosłym japiszonem na koszt rodziców.

Zastanawiałam się, czy oazówce uda się wkręcić na ten wyjazd. Jeżeli była pasożytką – na pewno. Kim jest osoba, która chętnie będzie na utrzymaniu, ale sama nie da ani grosza i nigdy się nie odwdzięczy, a zdemaskowana po prostu się zmyje, przeskakując na inny organizm? Prawie zawsze singielką – panienką, rozwódką, ukrytą w szafie lesbijką. Nigdy nie zaprasza do siebie do domu na imprezę, kolację, drinki, a nawet herbatkę. Zwykle mieszka z dala od centrum, dzięki czemu unika niezapowiedzianych nalotów imprezowych, które przeżywamy my wszyscy – mieszkańcy centrum. Przyjaciele po kinie, teatrze, pierwszym barowym kielonku, podczas spaceru do metra, autobusu lub taksówki nagle przypominają sobie, że mieszkamy tuż za rogiem. I bum. Domofon. Za drzwiami znajomi z winem z lokalnej stacji benzynowej, ale za to w iPodzie moc nowych propozycji muzycznych. Dawaj kompa, porobię ci zrzuty. I wieczór toczy się wesoło, bo gospodarze znajdują w lodówce parę piw, na szybko miksują humus, podają pyszne serki. Pasożytki mieszka na ciemnym osiedlu, na które dojeżdża tylko jedna linia autobusu. Na koszty imprezy nigdy się nie narazi i w ogóle nie trzyma nic w lodówce poza pomidorem i pumpernikiem. Nie musi. Ona jada na mieście. Rano pod pretekstem braku drobnych kawę z automatu na korytarzu stawia jej kolega z roku. Jeśli pasożytki gdzieś pracuje (najwyżej na 1/16 etatu), podpija kawę i mleko innych pracowników. Pasożytki wcale nie jest wychudzoną szczapą. Wprost przeciwnie, lubi sobie dogodzić i jest znawczynią kuchni *gourmet*, choć w życiu nic nie ugotowała. Podczepia się pod ludzi zaradnych, znanych, zamożnych. Ich hojność kupuje nieposkromionym podziwem, lawiną egzaltowanych komplementów i baranym zapatrzaniem. „To ty powinnaś szkolić tych menedżerów z Francji, a nie jeździć na szkolenia. Czy oni widzieli twoją fabrykę w Pszczynie?”. Ponieważ pasożytki nie marnuje czasu na pracę, wychowanie bachorków czy sport, ma dużo czasu na rozwój własny. Czyta potwornie ambitne książki, z których czerpie bogate słownictwo, by czynić swe komplementy kwiecistymi oraz by zadziwić przyjaciół artystów nieoczekiwanie zaskakującą paralelę, na przykład „Wczesne prace Cindy Sherman wpisują się właściwie w działalność Łodzi Kaliskiej”. Pasożytki zaproszona na czyjeś urodziny albo przynosi gadżety służbowe, ja na przykład dostałam ostatnio od takiej osoby firmowy ręcznik, albo odkleja i przepakowuje w inny papier dodatki do gazet, na przykład

plastikowe korale z „Pani Wnętrza” czy innego „Pana Domu”. Sama takich nie włoży. Ma zegarek marki Cartier, pierścion z rubinem z Desy i prawie nową torebunię Furli z e-baya. Do tego trzy czarne stroje, które nosi w kółko, ale nikt się nie orientuje, że w kółko, gdyż czarny ogólnie zlewa się w coś szykownego. Trzy drogie dodatki powodują, iż na salonach towarzystwo ma ją za bratnią duszę i nikt nie podejrzewa, że jest wyzyskiwany.

Pasożytki przeważnie nie ma stałego partnera, bo ten szybko by ją zdemaskował, poza tym musiałaby przestać kochać tylko siebie i swe wygodne życie. Jak długo trwa żywot pasożytki? Otóż okaz taki może dożyć wieku emerytalnego. Wtedy uda jej się zapaść na jakąś mało straszną chorobę, która gwarantuje rentę, bądź pozna właścicielkę domu spokojnej starości na Florydzie czy w Konstancinie i za wikt i opierunek urządzać tam będzie spotkania autorskie ze znanymi osobami.

Tym parom z kawiarni nie zdążyłam przekazać mego ostrzeżenia przed oazówką, którą w mig rozszyfrowałam jako pasożytkę. Ale może czytają teraz w samolocie do Włoch mój felieton i będą się mieli przez resztę pobytu na baczności.

Kompleks osiedli

Marilyn Monroe była bliska prawdy, gdy owinięta po uszy diamentowymi obrożami wartymi więcej niż dług niejednej polskiej stoczni śpiewała piosenkę *Diamonds Are a Girl's Best Friends*. Ale od czasów Marilyn zmieniło się sporo – diamenty, chętnie, ale najpierw własne mieszkanie. A najlepiej dwa. Skończyły się czasy zalegania u teściowej na piecu, a nastały czasy, gdy pary mieszkają razem, ale oddzielnie. Agencje nieruchomości skorzystały na emancypacji kobiet najbardziej. Za czasów Virginii Woolf trudno było paniom o własny pokój, a teraz komfortowo poczuć się dopiero w co najmniej dwóch mieszkankach. Jedno z nich kobiecie potrzebne jest na wspólne gniazdko, a jak dobrze pójdzie, wygospodarujemy w tym gniazdku jakiś pokój dla partnera, a drugie jako azyl bezpieczeństwa.

Ponieważ mężczyźni chętniej kupują kobietom diamenty, zamiast wychodzić naprzeciw naszym potrzebom i kupować nam mieszkania, musimy dawać sobie radę same. Strasznie nad tym ubolewam, albowiem kupowanie mieszkania jest dużo mniej przyjemną formą zakupów niż wizyty u jubilera. Przede wszystkim jubilerzy mówią po polsku, podczas gdy ogłoszenia z działu „Nieruchomości” pisane są kompletnie niezrozumiałym językiem. Sortując ogłoszenia, uważajmy, dziewczęta, na podróby! Autorzy reklam uznali, iż klientki są kompletnymi idiotkami bujającymi w obłokach. Wystarczy uśpić ich czujność, pokazując wyssaną z palca wizualizację, a następnie umaić ten kiczowaty obrazek opisem w niezrozumiałym narzeczu będącym fuzją języka polskiego, angielskiego i bełkotu budowlano-architektonicznego.

Wiele ogłoszeń zachęca nas, abyśmy weszły na stronę internetową inwestora i sami „wybrali sobie mieszkanie”. Spoglądam na jedno z takich ogłoszeń. Zachęca się nas do wybrania mieszkania na Woli w bloku mieszczącym się przy ulicy Skierniewickiej. To brzmi nieapetycznie. Londyńska, Ateńska – okej, ale Skierniewicka? Aby uczynić ulicę Skierniewicką bardziej *glamour*, autor ogłoszenia narysował mapkę Skierniewickiej i czerwoną grubą linię metra z zaznaczoną stacją. Hm... Jeżdżę stołecznym metrem, ale trasa nigdy nie wiodła przez Wolę. Wczytuję się w nazwę tej enigmatycznej stacji z reklamy, brzmi ona „Planowana linia metra”. Hm... Warszawa swojej pierwszej linii nie była w stanie dokończyć od 50 lat, więc lokatorzy wspaniałego apartamentowca przy Skierniewickiej mogą się rozczarować, wychodząc przez całe życie na stację, której nie ma.

Nowe osiedla mają oryginalne nazwy. Zamiast Chomiczówka, Batalionów Chłopskich czy Kopernika dziś królują nazwy kapitalistyczne. Kopernik jest niehandlowy. Liczą się nazwy, które brzmią aspiracyjnie, a więc koniecznie kojarzące się z kulturą zachodnią i historią sztuki. Osiedle budynków przy wielkiej przelotowej alei Wilanowskiej nazwano „La Lumière”. Apartamenty w świetle zamiast apartamentów po ciemku, gdy tu kupisz mieszkanie, zamieszkaś wśród ludzi genialnych jak słynni francuscy bracia Lumière. Od takich nazw to ja ciemność widzę, ciemność. Reklamodawcy nie znają słów „budynek”, „blok” czy „plomba”. Wielorodzinny budynek mieszkalny to dziś „villa” pisana koniecznie przez „v”. Na Saskiej Kępie reklamuje się „Villa Dalia”. Co z tego, że zamieszka w niej kilkaset osób. Nie wolno używać słowa „kawalerka”. Dziś nawet dziupla nazywana jest „apartamentem”, a każdy budynek jest „rezydencją”. Dzięki temu zadłużona po pachy kupująca może poczuć się tu jak ambasador. Reklamodawca tak zwanego Atelier Residence proponuje nam „powierzchnie apartamentów od 35 m²”. W przestronnym 35-metrowym atelier można udziergać serwetkę na szydełku, ale sztalugę to już na korytarzu trzeba będzie zostawić. Dla ludzi, którzy boją się sztuki,

reklamodawcy przewidzieli nazwy ekologiczne.

Po przejrzeniu stron o nieruchomościach można odnieść wrażenie, że Warszawa to zielone płuca Polski. Osiedle segmentów w Magdalence nazwano „Sosnową Doliną”. O Dolinie Pięciu Stawów słyszałam, ale o Dolinie Magdaleńskiej leżącej u stóp ośnieżonych warszawskich szczytów na geografii nie uczono. Warszawie znudziły się normalne parki. Park do spacerów z psami to strata ziemi dla dewelopera, dlatego reklamodawcy wymyślili „Park Mieszkaniowy”. Ponieważ Ursynów trąci myszką, przechrzczono go na „Ursynów Park Mieszkaniowy”. Czyżby król Poniatowski bywał w Łazienki Park Mieszkaniowy? Gdy już deweloper nie ma żadnego pomysłu na nęcącą nazwę, decyduje się na nazwę niezrozumiałą. Ktoś, kto bredzi, zawsze przez chwilę brzmi intrygująco. Moja ulubiona to osiedle „Restaura Kameralna”. Siedząc w Restaurze Kameralnej, nie zamówicie zmrożonej setki, tak jak niegdyś siedząc w restauracji Kameralnej. Osiedle Restaura Kameralna reklamuje się hasłem „tworzymy architekturę z duszą, wnosimy domy, nie budynki”. Zatem zamieszkaż w domu, który nie jest budynkiem. Strach się bać.

W logice agencji nieruchomości nie ma miejsca na sprzeczności. Gdyby deweloper zaproponował mi do picia zimny wrzątek, nie zdziwiłabym się. Czytamy, że mieszkania przy Metrze Wilanowska są „5 min do centrum”! Z Wilanowskiej do kolumny Zygmunta w pięć minut można dotrzeć chyba tylko za pomocą teleportacji. Nie ma blokowisk. Są „kompleksy osiedli”. Znamy z historii psychoanalizy kompleks Edypa. A my, warszawiacy, znamy z autopsji kompleks prowincji. Marzy nam się mansarda w Paryżu, loft w Londynie, willa w Tivoli. Kochani deweloperzy, przestańcie nam, dziewczętom, opowiadać bajki. Bo się pogniewamy i będziecie musieli wyprowadzić się z naszej rezydencji i wrócić do waszych kompleksów osiedli na Tarchominie.

Kto ma gorzej?

Podczas gdy na aukcjach urządzanych w Londynie przez Sotheby's licytuje się dzieła sztuki, my tu w Warszawie lubujemy się w licytacji cierpienia. Oni krzyczą „Kto da więcej!”, my krzyczymy „Kto ma gorzej!”. Warszawiacy, zarówno w życiu zawodowym, jak i w prywatnym epatują cierpieniem. Każdy z nas uważa się za bohatera męczennika i twierdzi, że wszyscy wokół mają lepiej niż on. Warszawiak uważa, że pracuje najdłużej, najciężej, że jest niedoceniony, choć jest najlepszym ekspertem. Płaci najwyższe podatki, wstaje najwcześniej rano, a jest otoczony młodszymi, mniej kompetentnymi szczyłami. Jego genialne pomysły kradną przełożeni i sprzedają jako swoje, a gdyby tylko chciał, to w Genewie zarabiałby trzy razy lepiej, ale trzyma go tu chyba szalony słowiański patriotyzm. Na wydziale matematyki profesorowie powinni prezentować nowe zagadnienie: arytmetykę cierpienia. Jaką skalę należy w tej dziedzinie stosować? Podkreślanie swej fatalnej sytuacji jest cechą wszystkich pokoleń.

Na ostatnim zebraniu w radiu byłam świadkiem następującej licytacji. Pewien znakomity autor wzdychał, potrząsając głową, aż siwe włosy mu wypadały: „Kto teraz pracuje w tych firmach? Najpierw zamawiają u mnie scenariusz, akceptują go, po czym nikt nie odpisuje na mejle. Czy mam zamawiać wykonawców? Czy ludzie nie rozumieją, że dobrzy aktorzy mają terminy? Przecież jestem tylko scenarzystą, a nie organizatorem? Kiedyś nie było takiego zwyczaju nieodpisywania, niedomawiania terminów...”. Do licytacji startuje młody cierpiętnik: „Kiedyś nie było tylu spraw. Młody człowiek z agencji producenckiej często pracuje na dwa etaty. Musi odpisywać nie tylko na mejle, ale i listy pocztowe, odpowiadać na telefony stacjonarne, komórkowe. Dziś człowiek jest bardziej dostępny, więc ma więcej spraw. Kiedyś siedziało się w biurze do 16 i już”. Na to starszy podbija stawkę: „Jak nie może się zobowiązać, to niech się nie zobowiązuje. I dlaczego zajmują się sprawami, o których nie mają pojęcia. Za moich czasów, żeby na przykład pracować w radiu, trzeba było iść na kursy do szkoły radiowej”. „Bo jest bezrobocie wśród młodych, więc idą gdzie się da, bo są kredyty. Nie wiesz, co to gilotyna kredytowa nad głową, młodzi są zestresowani, nie wyrabiają się. A media nie szkoła, bo nie mają budżetu i tną koszty. Dziś jest konkurencja, a nie jedna stacja radiowa”. „Żyją w stresie i walczą? Stres to był po wojnie i za komuny. Myślisz, że my nie mieliśmy stresu, na przykład musieliśmy tłumaczyć się przed cenzorem. Ja codziennie o szóstej rano przed pracą węgiel nosiłem, a ty mówisz, że wy macie więcej na głowie!”. Kto ma gorzej? Młodzi ze starymi czy starzy z młodymi w pracy? Gorzej ma pracownik ciemiężony przez kapitalistę czy przez komunistę?

To samo słyhać na froncie wojny damsko-męskiej. Cierpi ona: „Przecież on nawet nie wie, w jakich bankach ma jakie lokaty, nawet przelewów przez Internet nie nauczył się robić. Czy ty wiesz, że on z własnym synem w ciągu dwóch lat był trzy razy na spacerze? A wypomina mi każdy grosz, ostatnio się dziwił, że 50 złotych w warzywniaku wydałam. Zaczęłam pracować, bo słyszałam co chwila, że jestem darmozjadem, jestem na skraju wyczerpania, nie mam czasu i pieniędzy, by o siebie zadbać, faceci są niezadowoleni z siebie, nie mają sukcesów, to mszczą się na kobietach, karzą nas za swoje grzechy”. „To po co robisz jego przelewy? Po co zajmujesz się jego sprawami, prócz tego dzieckiem i pracą? Masz teraz trzy etaty: opieka nad facetem, nad dzieckiem i praca. Sama wpędziłaś się w ten dołek”. Cierpi on: „Nie chce mi się wracać z pracy do domu, bo zaraz mam awanturę. Że z dzieckiem na basen nie chodzę, że nagle nic mi nie smakuje, że nie jestem ogierem seksu, że złą Neostradę kupiłem. Wszędzie brudno, a żona jest o 10 kilo grubsza niż trzy lata temu. Nikt mnie nie uprzedzał, że tak będzie. No i na co ona

wydaje moje pieniądze?” „Twoje pieniądze? Przecież sam chciałeś, by żona rzuciła pracę. Ty też jesteś 10 kilo grubszy. Uprawiajcie razem jogging”. „Nie mogę, bo mam kontuzję kolana, na siłownię mnie nie stać...”. I tak dalej w koło Macieju. Pomagam znajomej gimnazjalistce przygotować się do matury. „Opowiedz mi coś o Janie Kochanowskim”, proszę. „O kurczę, nie zdążyłam z tą Urszulką, po co mi te renesansy, w razie czego sprawdzę sobie w necie. Ty wiesz, ile tego jest na ten semestr? Mamy zadania z ekonomii, bezwzrokowe pisanie na kompie, do wkucia sto słówek z anglika, dwa razy w tygodniu lekcje pianina, dwa razy basen, normalnie w depresję wpadnę, a jak słabo zdam, to się nie dostanę na międzywydziałowe, a jak tam się nie dostanę, to stypendium Erasmusa odpada, a bez zagranicznego wyjazdu w życiu roboty nie znajdę i skończę w obozie pracy we Włoszech na zbieraniu kukurydzy”. „No to właśnie, żeby tak nie skończyć, czekam na prezentację na temat metafor barokowych w poezji Morsztyna”. „Moi starzy nie mieli informatyki i trzech języków nie wkuwali”. „Informatyki nie mieli, ale za to ty łącinę znasz, kochana? Anglika nie mieli, ale rosyjski wkuwali. I kaligrafię, i rysunek techniczny. Na basen nie chodzą, ale są szczupli, a ty od tych czipsów już masz bioderka. A czy ty wiesz, że na przykład Rembrandt nie dość, że musiał się dzielić wszystkim z trzema braćmi i dwiema siostrami, to jeszcze wkuwał Biblię na pamięć, znał grekę, łącinę, podstawy prawa, Tacyta, Plutarcha, Eurypidesa, moja droga, w oryginale czytał i w całości, a nie jakieś bryki. Jako zaś kobieta w XVII wieku w ogóle nie mogłabyś się relaksować w szkole, tylko jako analfabetka od razu harowałabyś przy młynie. Więc recytuj mi tu tego Kochanowskiego i nie narzekaj, że masz gorzej niż siostra Rembrandta”. Czy Polacy mieli gorzej niż Indianie? Czy Indianie mieli gorzej niż Żydzi? Czy Żydzi mieli gorzej niż niewolnicy z Brazylii? Czy powstańcy z Poznania nie mieli łatwiej niż ci ze Śląska, czy pięć ofiar to „wydarzenie”, czy już „masakra”, czy w Bagdadzie jest gorzej niż w Sarajewie, czy za komuny było gorzej niż dzisiaj? Arytmetyka cierpienia. A każdy z nas chciałby być kombatantem, mieć wcześniejszą emeryturę, odznaczenia i nagrody.

Szeherezada z mokrą szmatą,
czyli z życia kosmopolitki



„Świat to szaleństwo i to bez żadnej metody” napisał w piosence Wojciech Młynarski. I to jest dobra wiadomość dla felietonistów, bo zawsze możemy się dziwić. Nie jestem kosmopolitką, najchętniej uprawiam turystykę we własnym mieście. Każdy spacer z dzieckiem do przedszkola albo z mężczyzną życia alejką megalopolitki pełną kolorowych detergentów jest podróżą. Nie czuję się obywatelką świata. Brak mi erudycji „niespiesznego wędrowca” jakim był Jerzy Stempowski czy nienagannej znajomości francuskiego jaką miał Andrzej Bobkowski, fauna nie darzy mnie miłością jaką darzyła państwa Gucwińskich. Wszędzie czuję się gorsza, bo na niczym się nie znam i pochodzę z kraju piątego świata, ale to nie jest powód, by psuć sobie humor. Wszystko mnie zachwyca: kwaśne deszcze na łąkach Śląska, spacerujący po Kairze faceci z giwerami, ogródki działkowe w dawnym DDR i taksówkarze w Dżakarcie, którzy sami nie wiedzą, gdzie jadą. Najlepiej czuję się w banalności. Małe miasteczko na południu Europy, rynek, platan, espresso i gra w bule. Może jako nieustraszona dziennikarka przebiorę się za kosmopolitkę i napiszę z takowego miejsca reportaż wcieleniowy.

Nie mam kasy

Wąska szafa wnękowa w kuchni nie miała drzwiczek. Gottfrieda von Einzweidrei uważała, że uszyta przez nią zasłonka z surowego jedwabiu w zupełności wystarczy. Kawalek materiału w zgniłozielone liście kupiła w 1969 roku na pchlim targu w dzielnicy Tiergarten. Uchyliwszy zasłonkę wnęki, Frau Gottfrieda informuje mnie o wszystkich ważnych obiektach, które zostawia mi w mieszkaniu. Sprzedaje mi lokal z bólem serca, gdyż mieszkała tu pięćdziesiąt lat, a dziś wnuk potrzebuje jej w Norymberdze. Po spojrzeniu, które rzuca za okno, widzę, że Gottfrieda przeczuwa, iż nadszedł czas pożegnania nie tylko z mieszkaniem, ale i z bezami z kawiarenek na Wilmersdorfie i tureckim targiem nad kanałkiem Szprewy. „Frau Passent, ma pani tutaj rachunki za prąd”. Wskazuje na dwadzieścia segregatorów, w których znajdują się rachunki z ubiegłych dwudziestu lat. Następnie pokazuje mi kuchenną szufladę: „Zostawiam pani znakomitą ostrzałkę do noży, maszynkę do mielenia mięsa, kufle, szkło”. Całe wyposażenie mieszkania wygląda, jakby Frau Gottfrieda przez ostatnie pięć lat godzinami serfowała na Allegro i w dziale „dizajn” nałogowo kupowała obiekty z lat 60. Ale nie, nie ma tu w domu Wi-Fi. Gottfrieda po prostu nie kupowała przez ostatnie czterdzieści lat nic nowego. Po co? Przecież prawie nic jej się nie zepsuło. W szufladzie za zasłonką w ścianę wbito kilka gwoździ. Na każdym gwoździu wisi para kluczy z breloczkiem. Tu są klucze do piwnicy, tu wisi żeton do pralki. „Ma pani pralkę na żeton? Jak pani to wykombinowała?”, zadaję bezdennie głupie pytanie niczym bohaterka dowcipów o Polakach. Stopień organizacji panujący w domostwie starszej pani skutecznie pozbawił mnie resztek inteligencji. „Ja i państwo Rohr; pani Reuther i sąsiad z piętra mamy jedną pralkę i suszarnię na spółkę”. Oczywiście. Po co każdy ma kupować własną? Schodzimy do piwnicy. Pralka ma dwadzieścia lat. Na sznurze dyndają cerowane skarpety państwa Rohrów.

Po kilku tygodniach sprzątam wraz z rodziną nasze nowe berlińskie mieszkanie. Obiecałam Gottfriedzie, iż po umeblowaniu i małym remoncie wyślemy jej do Norymbergi fotografię. Z balkonu odkręciliśmy stary powyginany blat, który zardzewiałymi śrubami przykręcony był do ścianki. Zapewne w latach 70. goście pijali przy nim piwo, zajadali słone orzeszki i inne canapé dostępne w imperialistycznym Berlinie Zachodnim. Odkręcony blat taszczyć do śmietnika pod blokiem. Niemiecki kosz na śmieci pod blokiem to nie lada wyzwanie dla miłośników recyklingu i planety. Czy blat mam wrzucić do pojemnika ze szkłem, z ciemnym szkłem, papierem, puszkami? Hm? Wywózka dużych gabarytów ma miejsce tylko raz na pół roku. W końcu zostawiam blat oparty o jeden ze śmietników i wracam do mieszkania. Po pięciu minutach puka do mnie przemiła staruszka z piątego piętra. „Frau Passent, czy to pani wyrzuciła ten blat?”, pyta cichutkim głosem. U mnie w brzuchu moc truchleje. A to cholera, Niemka, przeprowadza na mnie taką sondę... Boże, wiedziałam, że pewnie gdzieś za rogiem jest specjalny pojemnik na blaty pilśniowe. Kłamać nie ma co. I tak na pewno jestem pod obserwacją jako ta nowa sąsiadka kręcąca się po osiedlu. „Tak – przyznaję – to ja wyrzuciłam blat”. Czy mnie za to gdzieś wywożą? „Przepraszam, mogę go wywieźć samochodem na wysypisko”, zapewniam. „Ależ Frau Passent, na wysypisko? Ja chciałam spytać, czy mogłabym sobie ten blat zatrzymać?”, pyta niemiecka staruszka. Ma dwa króliki i w sumie szkoda taki blat wyrzucać, przyda jej się jako daszek w „króliczym domku”. „Może ma pani jeszcze coś do wyrzucenia? Mnie się przyda, a jak nie, to pojedę i sprzedam na pchlim targu”, szczerze pyta mieszkanka Berlina Zachodniego.

Tak wita mnie imperialistyczny Berlin, który śnił nam się w latach dzieciństwa jako

stolica konsumpcji. Starsze panie nie jeżdżą tu najnowszymi audi, nie tańczą w perlach do muzyki Louisa Armstronga w kawiarenkach, gdzie ściany wyłożone są jedwabiem, tylko oszczędzają na praniu i cerują rajstopy. Z licznych reporterskich ujęć zachowanych z Berlina w 1989 roku utkwiła mi fotografia, na której widzimy otwartą ciężarówkę pełną bananów. Banany wyrzucane przez dwóch mężczyzn lecą w stronę tłumu. Nędzarze zza wschodniej granicy łapią darmowy towar. Teraz przybysze ze Wschodu są tak bogaci, że wyrzucają nadającą się jeszcze do użycia płytę pilśniową. Banany to dla Polaków chleb powszedni. Ja też ceruję rajstopy. Tylko w Warszawie z roku na rok trudniej znaleźć taki zakład. Ja też reperuję buty u szewca. Ja też nie wymienię zegarka na nowy, dopóki ten mi się nie zepsuje. W Berlinie oszczędzanie to standard. W metrze widzę ludzi w powycieranych na kolanach sztruksach, marynarkach z łatami, w tenisówkach z dziurami. Niemcy oszczędzają na mieszkaniu, wodzie, ogrzewaniu. Nikt nie wstydzi się tego, że zimą jeden z pokoi w mieszkaniu jest w ogóle nieogrzewany. To postawa ekologiczna. Berlińczycy nie wstydzą się tego, że mają jedną pralkę na cztery rodziny. Bieda nie jest tu tematem tabu. Mój stary, ciężki i porysowany laptop, który w Warszawie jest źródłem kpín, tutaj nie przyciąga niczyjej uwagi. W Warszawie przysłałam z okularami do optyka; pękła mi oprawka. Proszę o reperację. „Mam je dopiero od dwóch lat, liczę, że da się je uratować. – Dwa lata? To długo, trzeba coś nowego sobie wybrać”. W Polsce do braku forsy jeszcze trudniej się przyznać niż do braku seksu.

Instytut Zadłużonych

Najstarzej zachowują się współcześni trzydziestolatkowie i najszybciej nadają się do gruntownego serwisowania. Od klepania maski, czyli ciała, naprawy silnika, czyli serca, do wtrysku paliwa, czyli diety. Jestem pewna, że krótkotrwałą modę na instytuty SPA, czyli miejsca, gdzie biuściaste panienki wklepują w nas te same kremy, które wklepać mogliby nam w domu kochanek lub siostra, zastąpią instytuty zdrowia psychicznego. Piękne wille położone za miastem, w pachnących ogrodach, z głośników sęczy się uspokajająca muzyka, po korytarzach biegają uśmiechnięci psychiatrzy i pielęgniarki z Ukrainy (Polki wszystkie już w Irlandii). W barku Libido podawane są soki z marchwi. Starutki jamnik Prozac ledwie schodzi po schodach. Leczenie farmakologiczne wyszło z mody, teraz leczymy rozmową, terapią grupową. Sześciu chorych przypomina sobie sztukę rozmowy i uczucie, że mają czas się wygadać. I że ktoś rzeczywiście ich słucha. Przez pierwsze trzy sesje nikt nie wie, jak zacząć. Nerwowo sięgają po komórki, ale te odebrano im przy wejściu. W bibliotece fińskie lampy ogrzewające i ekologiczne pledy pozwalają siwym trzydziestolatkom po dziesięciu latach przerwy wreszcie cieszyć się lekturą książek. Telewizory i Internet zabronione. Czasem jakiś pacjent budzi się w nocy, a jego palce klikają w pościel – napad głodu laptopowego. Kiedy indziej na spacerze aleją Wierzby Płaczącej pacjentka rzuci się ogrodnikowi do gardła z wraskiem: „Inflacja w Szwajcarii, frank szaleje, dlaczego, dlaczego!”. Po dziewięciu latach spłacania coraz wyżej oprocentowanych rat kredytu biedaczka nie wytrzymała. Gdy w końcu zasłała z głodu, bo oszczędzała na jedzeniu i odpoczynku, babcia przywiozła ją tu, do Instytutu Zadłużonych. Pacjent X, który w wieku 37 lat zdążył kupić, wyremontować i sprzedać 15 mieszkań w starych kamienicach, ale przy 16 zaciągniętym kredycie wyleciał z pracy (rada nadzorcza wymieniła go na młodszego i mniej pijącego pracownika), śpi już piątą dobę. Biedak wynajmował kilka mieszkań, kilka sprzedał, a sam przeprowadzał się co rok. Połowa dobytku zatrzaśnięta w kartonach w ciągłej gotowości do tułaczki. Trzydzieści siedem lat to dziś rozklekotany, wymęczony, wypalony wrak, a nie mężczyzna w kwiecie wieku. Rada nadzorcza znalazła powiew świeżości w 25-letniej imigrantce z Wietnamu, absolwentce Princeton. Poniżony i zadłużony X budzi się tylko na *Dobranockę*. Przyjmuje jeden posiłek składający się z ambrozji i bezy (wspomnienie dzieciństwa horteksowego). Mówi, że resztę życia chce spędzić tu, na kanapie. Rodziny nie ma. Siostra wyjechała do Hiszpanii, rodzice na Florydzie w luksusowym domu starców noszą fioletowe bermudy. Dzieci nie ma, bo jest od lat impotentem. Instytut Zadłużonych mieści się w dawnym lazarecie, w którym dwieście lat temu leczono zadżumionych. Na bramie znak: zakaz wjazdu dla doradców finansowych i pracowników sektora bankowego. Wszystkie lekarki i pielęgniarki mają nadwagę (tym szczupłym wpycha się poduszki) po to, by nie stresować pacjentek, które po ośmiu latach diety Cambridge mogą wreszcie zjeść pieczonego kurczaka wyhodowanego na ekologicznej farmie. Uroczne poletko na tyłach instytutu. Rankiem można tu pomacać żywą kozę i poćwiczyć pilates. Wieczorami grupy terapeutyczne oglądają w świetlicy arcydzieła filmowe ostatniej dekady, których chorzy nie mieli okazji obejrzeć, nie udawało im się bowiem zdążyć z pracy na ostatni seans.

Z roku na rok coraz więcej Polaków bierze kredyty. Wszak nie opłaca się wydawać własnych pieniędzy. Opłaca się żyć za pieniądze banku, a oszczędności ładować w akcje i fundusze. Kredyt bierzemy nie tylko na pierwsze mieszkanie, najchętniej duże i z granitową kuchnią. Po co płacić za nowe auto, lepiej wziąć je w leasing. Po co mieszkać w nowym mieszkaniu, wszak można je sprzedać drożej i kupić następne pod kolejny kredyt. Zawsze można posiedzieć dłużej w robocie. I tak z domu wychodzi się po ciemku i wraca po 19, to można

posiedzieć i do 21. Najlepszy pracownik to ten, który ma kilka kredytów i rodzinę. Tego można wycisnąć do ostatniej kropli krwi. Dać mu do domu kilka zleceń; w końcu firma kupiła mu laptop. Może pracować nawet w samochodzie. Na światłach sprawdzać mejle i indeks giełdowy. Czy pracujemy dłużej i ciężiej niż nasze babcie, które wstawały o piątej rano, by przygotować dziadkowi śniadanie przed wyjściem do pracy? Które taskały węgiel, prały w lodowatej rzece albo na tarze? Nie jadły na mieście czy w firmowej stołówce, tylko każdy posiłek, łącznie z chlebem, przygotowywały od podstaw? Które prasowały ubrania wszystkich domowników żelazkami z duszą ważącymi tyle co sztanga Pudzianowskiego? My zaś kręcimy się na obrotowych ergonomicznych krzesłach w klimatyzowanych salach, a lanczowe przerwy spędzamy przy kawusiach i sushi. Czy jesteśmy mniej odporni na stres i dlatego szybciej łysiejemy, salwujemy się dragami, a młodzi lądują z zawałami serca na oddziale kardiologicznym? A może ktoś nam wmówił, że można dużo osiągnąć małym kosztem i że w życiu będzie lekko jak w reklamie? Dlatego ładujemy się w kolejne kredyty, nie umiając wyrwać się z tej samonapędzającej się maszyny i powiedzieć sobie: „Wolę mieć mniej i być wolnym niż mieć więcej, ale być wrakiem”. Ostatni moment na przebudzenie. Wróćmy do *Fausta* i *Śmierci komiwojażera*. Uśmiechnięty doradca finansowy proponuje nam pewien sympatyczny pakt. Lepiej mu się przyjrzeć, zanim czarny pudel doprowadzi nas do wrót Instytutu Zadłużonych.

Słodka Francja

Pewna Kobieta zaprosiła mnie do Francji. Mój wyjazd był wynikiem burzy hormonalnej, która niczym tornado porwała nas oboje w siną dal. Pierwsze dwa tygodnie nie wychodziliśmy z domu. Świat zewnętrzny wpełzał do nas jedynie wąskimi szczelinami okiennic chroniących nasz dom przed południowymi upałami. Pewna Kobieta mieszkała na południu słodkiej Francji wśród pinii, jaszczurek i romańskich klasztorów cysterskich. Nasza znajomość zacieśniała się w rytm koncertujących świerszczy i sporadycznie mijających nasz dom aut, których cienie przesuwały się po suficie. Według psychologów po miesiącu związku mija hormonalne zaczązadzenie, co potwierdzam niniejszym. Wypadało wyjść na miasto, na pocztę, do pracy. Na razie za wcześnie na poznawanie rodziny. Na poczcie przede mną w kolejce mężczyzna z wózkiem wypełnionym dwojaczkami. W piekarni, prócz codziennego *bonjour monsieur*, codziennie podłogę froteruje raczkujący następca klanu piekarskiego. Za moją pierwszą francuską pensję zapraszam Pewną Kobietę do restauracji na zupę rybną, królika, sorbety. Przy stoliku obok siedzi młode małżeństwo z dwójką dzieci, które biegając, wciąż walą w moje krzesło. Przy drugim stoliku dziatwa nie chce jeść jagnięciny, dostają *jambon et frites*, ale tym też plują. Czy może być coś mniej romantycznego dla cudnej pary, jaką wszak stanowimy, niż patrzenie na młode małżeństwa obwieszane pieluchami, słoikami i wrzeszczącymi bachorami? „Dziś twoja kolej na usypianie, ja jeszcze zostanę na kawę”, rozkazuje mężowi francuska mamusia. – Czy mi się wydaje, czy tu we Francji jest sporo dzieci? – Och tak, kochany, nie wiedziałeś, Francja to babyland. Właśnie dzwoniła moja przyjaciółka Margot, zaprosiłam ją do nas na niedzielę, mam nadzieję, że nie masz planów. Cóż, przyszedł czas na poznawanie przyjaciół. – Ach, to ty, słyszałam, że twój francuski na razie pozostawia wiele do życzenia – wita mnie Margot z papierosem w ustach. W brzuchu zaś z dzieciątkiem. Za Margot paraduje mąż w czerwonych szortach. Za mężem biegnie dziecko. Za dzieckiem dziecko. Zaraz, chwileczkę. Państwo Znajomostwo mają trójkę dzieci i czwarte w drodze? – Nie mogę odróżnić tych dzieci – szepczę w kuchni do Pewnej Kobiety. Czuję, że popełnię jakieś *faux pas*. Margot ubiera je tak samo, to dlatego. Nie chce robić im przykrości, woli, żeby nie było kłótni o ubranka. Za tydzień Pewna Kobieta zabiera mnie do znajomych. To para mężczyzn, mieszkają w pięknym domu wśród winnic, ale tylko latem i w weekendy. Prawie co piątek przyjeżdżają tu porannym TGV z Paryża, wrywają się z banku. Zapraszają nas na basen, kochanie, cudownie, bo upały męczą mnie, wiesz przecież. – Po drodze zatrzymamy się przed sklepem kupić im jakiś drobiazg, dobrze? – prosi Pewna Kobieta. – Co robisz? – pytam, gdyż zatrzymujemy się przed sklepem z zabawkami. – Kupuję coś dla Amelii. – A kto to? – To ich córeczka. O Boże, jakim jestem konserwatystą i homofobem, no tak, nie pomyślałem nawet, że gej nie musi wszak rezygnować z cudu ojcostwa. – Oni obaj zawsze pragnęli realizować się nie tylko w pracy, ale w życiu rodzinnym – tłumaczy mi Pewna Kobieta, wybierając najfajniejsze kolorowanki z piratami i Hello Kitty. – Za kilka dni jedziemy z Pascalem na trzy tygodnie do Chin. Naszą małą zajmie się jej mama – mówi Albert, wyjmując plastikowy talerzyk na kolację dla córeczki. – Amelia zje wcześniej, a potem, wybaczenie, położę ją i usiądziemy sobie do stołu już tylko w gronie dorosłych. Korzystajcie z basenu! Ręczniki leżą pod bambusami. Podczas kolacji nie mogłem wytrzymać i spytałem, kim jest mama Amelii. – To moja ukochana przyjaciółka Michelle! Znamy się sto lat, tańczyliśmy razem w szkole w balecie. Mieszka ze swą partnerką w Paryżu, ale wiesz, jej ukochana jest dużo starsza, poza tym nie chciała mieć dzieci, więc umówiliśmy się z Michelle, że urodzimy Amelię i będziemy wychowywać ją wspólnie. – Jak to wspólnie? – Dwa tygodnie Amelia jest u nas, a dwa tygodnie u mamusi. „Jasne”, pomyślałem. To nawet niegłupi system. Rodzice mają czas odpocząć od dziecka, nacieszyć się sobą. A dziecko ma nie dwójkę,

ale od razu czwórkę rodziców. Podobno dzieci uwielbiają duże rodzinki. – Amelia w wieku pięciu lat pływa lepiej niż ja – powiedziałem, dolewając sobie rose. – O tak, ma dryg do sportu, ale ma kłopoty ze skupianiem się. Dlatego zapisaliśmy ją na naukę fortepianu – tłumaczy jeden z tatusiów. – Ma prześliczną sukienkę, do tego ten kapeluszek! Jak robicie z ubraniami? Kto ją ubiera? – pyta Pewna Kobieta, głaszcząc Amelię po włosach. – Amelia ma dwie szafy. Wszak nie będzie przemieszczać się z jednego domu do drugiego z walizką! Jedna szafa u nas, druga u mamy. Mamy różne gusty. Ja zawsze wybieram sukienki, a jej mama spodnie. Do domu wracamy późną nocą. Świerszcze koncertują. Słodka Francja. Tradycja jest tu najważniejsza. – Ile chcesz mieć dzieci? – pyta mnie Pewna Kobieta przed zaśnięciem. – O Boże, nie zastanawiałem się nad tym. Jeszcze nie nacieszyłem się tobą, może jestem już za stary i nie mogę, wiesz, że płodność spada. – Ach, to nic nie szkodzi. Mogę umówić się jakoś z Pascalem i coś zaaranżować. – Zaaranżować? Przed oczami stają mi setki obrazów renesansowych ze sceną Zwiastowania. Oglądaliśmy je z Pewną Kobieta wspólnie na wystawie. Klękające anioły z białymi liliami. Matka Boska z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach. – Francuzi kochają dzieci, to babyland. Są tacy przywiązani do wartości rodzinnych. Tu nikt nie romansuje, Francja to kraj seryjnych monogamistów – tłumaczy mi Pewna Kobieta, zasypiając.

Szofer czy szoferka

Żałuję, że dawno temu, w czasach gdy uczyłam się prowadzić samochód na kursie prawa jazdy, nie zrobiłam też prawka na autobus. Gdy po zdanym egzaminie mój nauczyciel, pan Ryszard, zaproponował z całą powagą: „No, pani Agatko, to może by pani od razu na autobus i na ciągnik zrobiła?”, roześmiałam się szczerze niczym polski poseł z dowcipu o gejach. Do rozpuku rozbawiła mnie wizja studentki wydziału neofilologii w roli farmerki na traktorze lub w roli kierowczyni przegubowca na trasie, dajmy na to, spod huty na Młocinach do elektrociepłowni na Żeraniu. Zanim ukończyłam trzydzieści lat, imponował mi typ intelektualisty, wiadomo, na studiach mamy takie fanaberie. Znałam kilku mężczyzn erudytów, którzy cytowali z pamięci (!!!) fragmenty prozy W.G. Sebald, mieli mieszkania dosłownie tonące w stosach książek, skaleczywszy się, cytowali Hipokratesa, a mijając trawnik pod blokiem, opowiadali o ogrodzie Salomona. Żaden z nich nie miał prawa jazdy – gardzili motoryzacją. Oni byli stworzeni do rzeczy Ważnych. Genialni opowiadacze anegdot, kolekcjonerzy literatury południowohiszpańskiej mieli doktoryzować się z filozofii bądź pisać eseje na miarę Brodskiego. Ja więc też nie myślałam o karierze kierowczyni autobusu – wyśmialiby mnie za nieudaną próbę bycia Hłaską w spódnicy. Dziś ani jeden z dawnych erudytów nie pisuje esejów. Nie cytują nic z pamięci, tylko guglują w telefonie. Pamięć nieużywana im się zresetowała. Dwóch wyszło za bogate żony, paru haruje w korporacjach, jeden popełnił samobójstwo, drugi pisuje teksty, ale dla firm pijarowych. Twórczość ich kwitnie. Na fejsie. Niedawno wybrałam się na wycieczkę autokarową w Hiszpanii i tam przypomniał mi się pan Ryszard! Raz na kilka lat uwielbiam zakosztować turystyki masowej. Zwykle poznaję parę ciekawych osób i napawam się byciem w masie. Na południu Hiszpanii przez pierwszą część trasy wiózł nas pan, a potem nastąpiła zmiana kierowców. Pan wysiadł, a do autokaru dziarsko podeszła atrakcyjna brunetka w słonecznych okularach marki Ray Ban, pod pachą trzymająca teczkę z dokumentami podróży, za uchem zaś miała bezprzewodową słuchaweczkę telefoniczną. W autokarze rozległy się szmery i po raz pierwszy w życiu (naprawdę!) usłyszałam szowinistyczne komentarze. Jeden Polak turysta powiedział: „O kurde, lepiej zapnę pasy”, a drugi pan rzekł: „Przynajmniej nie jest blondynką”. Na szczęście znalazł się dżentelmen, który co prawda uśmieł się z dowcipów kolegów, ale skarcił ich opinią: „Jesteśmy strasznymi szowinistami. Moja żona jeździ dużo lepiej ode mnie”. Panie milczały. Ja sama byłam zaskoczona tym, jak sparaliżowana jestem tą sytuacją. Dlaczego nie reaguję na chamskie odzywki? Dlatego że nie chcę wyjść na policjantkę ruchu politycznej poprawności? Sama byłam zdziwiona, że autokarem przez następne osiem godzin kierować będzie kobieta. Taka wielka maszyna. Co prawda ma wspomaganie i boczne lusterka są wielkości trzech tabliczek czekolady. W sumie, skąd to zdziwienie, przecież w Warszawie jeździ sporo tramwajarek, zdarzało mi się latać samolotami z kobietami u sterów. Gdy ruszyliśmy, dżentelmen z fotela obok mnie rzucił: „Ciężką nóżkę ma babeczka”. Czułam, że pani szoferka doskonale rozumie te męskie reakcje, choć nie zna polskiego. Była do nich przyzwyczajona, odczuwała dumę, a nie złość. Hiszpańska pani szofer o imieniu Petra jechała znakomicie, widać było, szczególnie nocą, że trasy zna tu idealnie, każdy zakręt, wzniesienie, rondo. Nie jechała brawurowo, ale za to z biglem, nie wlokła się, nie szarpała. Bywały trudne mijanki na wąskich serpentynach, bywały zakręty z przepaściami, niektórzy pasażerowie woleli nie patrzeć w dół. Gdy po wycieczce wracaliśmy do hotelu, wszyscy dziękowaliśmy pani szofer oklaskami i sowitymi napiwkami wrzucanymi do wiklinowego koszyczka ozdobionego breloczkiem z podobizną Madonny z Dzieciątkiem. Czy Petra jest szoferką, bo lubi tę pracę? To fajna robota. Piękne krajobrazy, poznawanie co do milimetra własnej krainy... Oj, może romantyzuję sprawę? Czy ja dałabym radę wozić Niemców

i Japończyków po Mazowszu? Kilka razy w tygodniu do Żelazowej Woli lub kursy do kopalni w Wieliczce? Setki razy ta sama droga na Sochaczew? W mundurku, który uszyło dla mnie moje biuro turystyczne? Nie wytrzymałam i po wyjściu z autokaru spytałam Petrę, dlaczego pracuje jako szofer autokaru. – Tutaj wiele kobiet pracuje w taksówkach czy w autokarach. Podobnie na Wyspach Kanaryjskich. Żyjemy z turystyki, mężczyznom nie chce się pracować, z czegoś musimy żyć. – Aha, a co oni robią, gdy wy pracujecie? – Niech pani się rozejrzy. Siedzą w domach i oglądają telewizję. W polu jest za gorąco, na pola wychodzą tylko w sobotę. Okna mają pozamykane, okiennice również, więc pani ich nie widzi. – I panie to tolerują? – Och, wie pani, Hiszpania to taki rodzinny kraj. Pomagamy tym bez pracy... – Czy to pomaganie, czy hodowanie pasożytów? – spytałam, starając się nie popełnić kulturowej gafy. – Ale w większych miastach coraz więcej kobiet żyje samotnie – dodała po chwili Petra. Poleciała mi objazdową wycieczkę po wyspie Lanzarote. Tam ponoć setki wulkanów. Mam nadzieję, że również wśród kobiet za kółkiem. Może faktycznie zrobię jeszcze prawko na autobus? W końcu faceci w Polsce też nie lubią się przepracowywać.

W hordzie

Mam smartfona, jestem trendy – oznajmia Bruneteczka z uśmiechem, rozpakowując kupione przed chwilą narzędzie komunikacji. Inteligentny telefon stara się błyszczeć efektywnym wyglądem niczym Jeremi Przybora. Tylko z poezją słabo. Uśmiech Bruneteczki ma być autoironiczny. Przecież wiemy wszyscy, że ona jest ponad to. Nie ma zamiaru również przywiązać się do tego cacka. Jak jakaś maniaczka na Twitterze raportować o swym życiu. Nie każda codzienność jest warta publikacji. Słuchaweczki do smartfona to w ogóle zostawi w pudełku nieodpakowane. Przecież nie będzie okradać kompozytorów, chomikując ich piosenki ani siedzieć w Blipe. Chociaż... Można by sobie kilku audiobooków posłuchać. Zamiast patrzeć w metrze w czarność za szybą. Chowając się za smartfonem, uniknie spojrzeń niepodłączonych do sieci pasażerów. Będzie mogła odseparować się od nas wszystkich słuchawkami. Po co marnować pół godziny dziennie w metrze na nudę? „A tak w ogóle to smartfon był w promocji”, niepotrzebnie tłumaczy mi się Bruneteczka. No i naprawdę przyda jej się jako pamiętnik. Bruneteczka rysuje. Będzie mogła uwiecznić swoje rysunki w sposób uporządkowany i wysłać przyjaciołom. Wspaniale. Grupa stu „wybrańców” będzie mogła dostawać ten sam rysunek. Nikt nie będzie poszkodowany. Nikt nie będzie wyróżniony. Nie, zaraz, zaraz. Będzie wyróżniony, gdyż załapie się do grupy. W grupie łatwiej ruszyć bryłę świata. E-marketing sztuki. Tylko użyj odpowiedniego programu, śląc nam te e-rysunki, Bruneteczko. Koniecznie przesyłka imienna. Będziemy mogli je przysyłać dalej? Mam kilka twoich rysunczków na papierze, Bruneteczko. Wysłałaś mi je kiedyś, gdy mieszkałam daleko. Mam je teraz sfotografować telefonem i rozesłać do pozostałych osób w gronie przyjaciół? Będą wtedy bezwartościowe, bo powielone w stu odbitkach, ale liczą się płynna komunikacja i dobre nastroje w grupie. Po co za sobą tęsknić, pisać listy miłosne i wyczekiwać spotkań, podczas których trwać będą długie Polek rozmowy, jeżeli można po prostu zawsze być w hordzie? Smartfon gwarancją, że w naszym życiu już nigdy nie doznamy bolesnych rozstań. Bruneteczka jednak przede wszystkim boi się wylądować za burtą. Gdy wszyscy coś mają, to strach tego nie mieć.

Kilka dni po spotkaniu z nią lecę do Paryża obejrzeć wielką retrospektywę fotografii André Kertésza w Jeu de Paume. Fenomenalna wystawa. Widziałam wcześniej w albumach i na pocztówkach kilka jego najbardziej znanych czarno-białych fotografii, które zawsze mam przed oczyma. Zwiędnięty tulipan w wazoniku. Oparty o talerz widelec rzucający cień na stół. Węgry sprzed pierwszej wojny światowej – pochylone drewniane płoty, wiejskie dzieci bez butów, skaczący niczym satyr wokół jeziora piękny i wesoły brat artysty. Nie ma tych dzieci, Austro-Węgier, z trudem ogląda mi się takie zdjęcia. Dokumentalna strona fotografii, od której to medium od wielu lat odchodzi w stronę kreacji, jest tą, która porusza mnie najgłębiej. Niektórych twarzy na fotografiach czasem nie mogę znieść, wydaje mi się, że te dzieci ze zdjęć sprzed stu lat próbują coś do mnie powiedzieć, a ja nie mogę się do nich dostać. Modni dziś fotografowie nie myślą światłem ani uczuciami. Interesują ich wyłącznie obiekty. Najlepiej porzucone obiekty przemysłowe albo śmietnik miejskiego krajobrazu. To jest *cool*. Czekam, aż ta moda minie. Nie mam i ze sobą w Paryżu smartfona, w dodatku w samolocie czytam powieść Coetzego, którą noblista napisał dwoma palcami na maszynie. Sąsiad obok czyta w gazecie tekst o procesie pewnego mężczyzny – ofiary portalu społecznościowego. Ktoś utworzył fikcyjny profil tego pana. Ofiara domagała się danych oprawcy, ale portal się wywinął od odpowiedzialności. Jestem za burtą, nie wiem, czy ktoś utworzył mój fałszywy profil. Smutna historia Kertésza każe mi patrzeć na osoby przyklejone do smartfonów bez ironii. Kertész wyemigrował z Paryża do USA. W Stanach dość szybko stracił pracę jako reportażysta, został zmuszony zarabiać na życie,

fotografując dla pisemka o ogrodach. Amerykanie nie poznali się wówczas na jego geniuszu. Najgorszy był dla niego nieznośny los emigranta. Tam w Paryżu zostali jego przyjaciele, jego grono. Wśród nich wielu artyści epoki dadaizmu. Jego eksperymentalne zdjęcia albo te, w których fotografuje swój podły nastrój, nie sprzedawały się w Nowym Jorku. Oglądam fotografie, które robił z balkonu, patrząc na kominy na dachach kamienic i gołębie. Izolacja, samotność. Po śmierci żony sięga po nowinkę techniczną, jaką są polaroidy, ale fotografuje szklane figurki. W parach. Człowiek tak inteligentny jak Kertész pewnie zawsze jest samotny, ale może gdyby miał po wojnie stały dostęp do sieci znajomych, czułby się lepiej? Amerykanie się w końcu na nim poznali. Pod koniec jego życia. Może gdyby jego zdjęcia wzbudzały zachwyt choć w grupie jego kolegów, którym by je wysyłał z komórki, to może częściej sięgałby po aparat, może nauczyłby się nawet angielskiego, a izolację emigranta zniósł łatwiej? Jak wrócę do Warszawy, to może kupię sobie taki gadżet. W hordzie raźniej. Przynajmniej doraźnie. W domu sprawdzam mejla. Bruneteczka wysłała ich aż trzy. Wysłane z ajfona. „Teraz, jadąc autem, na światłach nie tylko odpisuję na esemesy, ale i na mejle”, przyznaje Bruneteczka. Obyś tej towarzyskości nie przypłaciła wypadkiem! Prędzej spalą mnie na stosie życzliwe opinie przodowników stada dotąd wyszeptywane za moimi plecami, a teraz publikowane w sieci. W hordzie raźniej. Można komentarzy nie czytać. Tylko po co nam wtedy ten smartfon?

Szeherezada z mokrą szmatą

Planujemy wyjazdy wakacyjne. Moja przyjaciółka Hania z rozbijającą złośliwością zauważa, że ludzie wybierają na wakacje miejsca, gdzie jest im gorzej niż w domu. Nie mówimy tu o grotolazach, którzy pełzają w ciemnościach po jaskiniach. To masochiści lub geniusze na miarę francuskiego speleologa Jeana-Marie Chauveta. W Dolinie Rodanu odkrył jaskinię z zachowanymi rysunkami i odciskami dłoni ludzkich sprzed 32 tysięcy lat! Hani chodziło o to, że podczas gdy w życiu codziennym ludzie mają miłe mieszkanie z balkonem, to na wakacjach lądują z koleżanką i jej chrapiącym psem w pokoiku nad lodowatym morzem. Morza nie widać, no chyba że stanie się na drabinie w rogu pokoju, ale tuż pod oknem za to jest kemping z ryczącymi młodzieńcami. Moje plany wakacyjne są mniej ambitne niż plany Jeana-Marie Chauveta. Nie sądzę, że w drodze powrotnej taszczyć będę kły mamuta. Postąpię zgodnie ze stereotypem Hani. Wybiorę się do domku kempingowego na Pojezierze Kaszubskie z najbliższą przyjaciółką. Ma trójkę dzieci, każde w podstawówce muzycznej, więc już sobie wyobrażam, jak wypoczną w ciszy. Najważniejsze jest jednak, że nie jadę do Istambułu z niedawno wydanym przewodnikiem *IN Stambul* z serii Biblioteka „Gazety Wyborczej”. Ten wakacyjny niewypał mam już za sobą. Zwiedzanie z tymże przewodnikiem sprawi, że nie dowiedzą się Państwo prawie nic o tureckiej sztuce, muzyce i architekturze, za to umęczą się, trafiając do polecanych przez niego świątyń konsumeryzmu. Współczesny podróżnik według „Gazety Wyborczej” na wakacjach tylko wcina, drinkuje, jara trawę na tarasie i kupuje designerskie cacka, a na porządne zwiedzanie zabytków nie ma czasu. Najważniejsze jest jednak to, że polecane przez *IN Stambul* miejsca niekoniecznie są „in”, a wręcz nie istnieją w ogóle. Planując wakacje, najpierw w sieci serfujemy wśród hałd śmieci – wiszą w niej miliony stron o knajpach, które już dawno splajtowały, wywiady z ludźmi, którzy już nie żyją, czy nieświeże blogi o jedzeniu. To, że sieć jest źródłem niewiarygodnym, wiemy wszyscy – prace magisterskie pisane metodą *copy and paste* nadają się tylko na śmietnik ery cyfryzacji. Tym większa odpowiedzialność spoczywa na przewodnikach wydanych na papierze. Przewodnik drukowany ma być tak pewny jak nowoczesna prezerwatywa – dajemy mu góra 1 procent marginesu na wpadkę. W Istambule postanowiłam wybrać się do polecanego w przewodniku *IN Stambul* hammamu (łaźni, prototypu zachodnich SPA) zaintrygowana tekstem: „Hammam to nie tylko miejsce, w którym oczyścić możemy ciało i duszę, to również centrum życia towarzyskiego i rozrywkowego”. Z listy adresów polecanych hammamów wybrałyśmy z koleżanką ten opisywany jako wielkiej klasy zabytek z XVII wieku, czyli Üsküdar Hamami. Jestem pewna, że autorzy nigdy tu nie byli! Real bowiem wygląda tak: dziś budynek ten jest obdrapanym, pomalowanym wewnątrz na seledynowo lokalem położonym w okrutnie biednej dzielnicy. Przed wejściem wita nas śmietnik z górą śmieci, które są rozszarpywane przez koty. W środku, zamiast luksusowej mozaiki w przebieralni, wita nas pracująca tu salowa, wręczając nam szare mydło w kostce, plastikową miskę – taką, jakiej w domu używamy do sprzątania podłogi – i sfatygowane męskie klapki. Zachwalane „centrum życia towarzyskiego” ograniczyło się do jednej Turczynki, która na migi pokierowała nas do zwykłej, ponurej sauny. Następnie każdą z nas zajęły się obsługujące panie. Usadziły na rozgrzanym kamieniu i oblały wodą kranówką. Panie były w bawełnianych majtasach, ale bez stanika, spocone jak Lance Armstrong jadący pod górę. Za pomocą szorstkich jak skrobaczka do tłustych garów myjek zrobiły nam peeling, potem namydliły pianą z szarego mydła, po czym pomyje z miski wylały nam na głowy. Ten hammam nie jest orientálną wersją luksusowego SPA, tylko służy ubogim Turkom i Turczynkom jak łaźienka. Nie ma w tym nic złego, tylko lepiej polskie turystki o tym w przewodniku uczulić, pisząc: „Jeśli trafił wam się hotel bez łaźienki albo chcecie zobaczyć, jak myją się zwykli mieszkańcy Turcji, proponujemy

wycieczkę do łaźni dzielnicowej”. Do tego fotografia obsługujących tu pań i detal z męskim kłapkami. To jest rzetelny przewodnik. Szkoda, że autorzy *IN Stambułu* nie wytłumaczyli turystom, że po arabsku „hammam” znaczy „łazienka”. Gdy wdychałam woń stęchlizny z mokrych ręczników, przypomniały mi się cytaty z *IN Stambuł*: „Nie będzie chyba przesady w twierdzeniu, że hammamy są bardzo ważnym elementem spuścizny imperium osmańskiego, w którym obowiązywała bliska nam filozofia streszczająca się w hasło: «Wszystko dla ciebie, ponieważ jesteś tego warta»”. Drodzy autorzy, może filozofia taka obowiązywała, ale nie w tej dzielnicy i nie w tej łaźni. W tym hammamie nie było żadnego życia rozrywkowego prócz salowej oglądającej kanał sprzedający odkurzacze, więc aby poprawić sobie nastrój, poszliśmy do polecanej przez *IN Stambuł* restauracji Abracadabra. Enigmatyczny narrator przewodnika zachwala: „Z baru wchodzimy na pierwsze piętro, gdzie kilka stolików otacza otwartą kuchnię, królestwo szefa kuchni nieustannie zaskakującego potrawami będącymi fuzją kuchni tureckiej z tajlandzką”. Otóż otwarte w Abracadabrze nie jest nic. Restauracji nie ma, jest zlikwidowana, wewnątrz pokrywa kurz. Cieszę się, że Jean Marie-Chauvet nie podróżował po Dolinie Rodanu z przewodnikiem z serii Biblioteka „Gazety”, gdyż na pewno nie trafiłby do skarbu, który odkrył...

Jenny

Ściany naszej sali od historii zdobiła wystawa „Nigdy więcej wojny”. To było w podstawówce im. 176. Pułku Piechoty. Dziś szkoła ma inną nazwę – zmienioną ze słusznej politycznie na bardziej słuszną politycznie. Jako dziesięciolatka wpatrywałam się w czarno-białe fotografie gruzów i zgliszcz Warszawy. Jednym uchem słyszałam monotony głos nauczycielki czytającej z podręcznika coś o Bolesławie Śmiałym, a drugim piski koleżanek skaczących przez gumę na podwórku. Szczęściarzy były już po lekcjach. Wystawa nie ograniczała się do ściany z fotografiami i plakatami głoszącymi modne wtedy hasło: „Nigdy więcej wojny”. W sali stała też gablotka z kopiami dokumentów mówiących o medycznych eksperymentach, które Niemcy przeprowadzali na więźniach. Kurator wystawy pragnął, by zwiedzającym wryła się w podświadomość i pamięć – nie zmieniono jej do czasu ukończenia przez nas szkoły. Dziś już wystawy tam nie ma, sprawdzałam. Dzieci mają wnętrza przyjazne, pastelowe, z rysunkami zwierzątek i instrukcjami, jak dbać o planetę. Wymienia się stare drewniane okna na takie z PCW, a tablice z kredą na laptopy – Szwecja po prostu. Kto by się bawił w gazetki ścienne z reportażem wojennym – dzieci mają prawo do dzieciństwa, gier na ajfonie, lansiarstwa, Hanny Montany i automatów z colą oraz prezerwatywami. Dziś wszyscy rodzice to pacyfiści. „Nie kupuję synowi ubrań w moro”, z wyższością skomentowała jakaś pani bojówkowe szorty mojego syna.

Hasło „Nigdy więcej wojny” okazało się utopijną propagandą, dziś wojny jest wokół tyle, że przestaliśmy ją zauważać. Na razie nie dzieje się w naszej piwnicy, tylko bulgocze w oddaleniu. Przesuwa się na pasku wiadomości, jedna z setek wojen. Afganistan to czy Irak, czy Libia? Rwanę od Sarajewa jakoś da radę odróżnić, ale Sudanu od Rwandy to już nie idzie. Ormianie, Kurdowie, Asyryjczycy – taki kociokwik konfliktów nam serwują między reklamami seriali. Wojnę sprzedaje się w centymetrach tak zwanego materiału przygotowanego dla nas przez producentów kontentu, kiedyś zwanych dziennikarzami. Rok temu spytałam reportera pewnej poważnej, a nie tam kobiecej gazety, gdzie można poczytać coś o współczesnych weteranach. „No wiesz. Amerykanie książki i filmy o nich robili. Na przykład *Lot nad kukułczym gniazdem* albo *Łowca jeleni*”. Co z naszymi bohaterami, tymi, którzy wrócili przedwczoraj, w jakiś piątek albo sobotę, anonimowym lotem, nie ci z orderami z Muzeum Powstania? „Och, już tyle o tym pisaliśmy, to nuda. Ile można o tym, że jeden nie ma nogi, a drugi od sześciu lat leczy się u psychologa i że pomaga im państwo”. Temat niechodliwy jak weteran.

Z letargu budzą nas czasem artyści współcześni, pozamykani w małych galeriach hermetycznego światka historii sztuki. Ich prace nie trafią na kubki ani podkładki pod myszkę komputerową. Po co komu wojna na desce do serów? Ile osób dotrze na wystawę Jenny Holzer w galerii Art Stations w Starym Browarze w Poznaniu?

Jenny jest jedną z najbardziej znanych współczesnych artystek na świecie – maluje, pisze, tworzy instalacje w różnych technikach. Urodziła się w latach 50. w Ameryce, a ostatnio wiele swych prac poświęciła wojnie w Iraku. „Gdy zaczęła się wojna w Iraku, byłam wstrząśnięta. Pomyślałam sobie: co mogę zrobić w tej sprawie?”, mówiła podczas wernisazu skromna długowłosa, siwa pani. Patrząc na nią, myślałam: ja zadaję sobie to pytanie codziennie i nic nie robię. Pomimo że wychowałam się na utopijnym hasle „Nigdy więcej wojny”, a Muzeum Powstania zwiedzałam kilkakrotnie. Holzer natomiast postanowiła przeczytać wszystkie odtajnione przez rząd USA dokumenty dotyczące sytuacji na Bliskim Wschodzie i z kopii tych

dokumentów zaczęła tworzyć obrazy. Przetwarza je na sitodruki, powiększa, umieszcza na pomalowanym białym płótnie. Robią przerażające wrażenie: nagle dokument, który był karteczką papieru, na której ważyły się czyjeś losy, dostajemy w formacie metr na dwa metry, zawieszony na białej ścianie. U Jenny Holzer minimalizm formy – biel, czerń, żadnych malowanych scen wojennych – sam dokument na płótnie kontrastuje z tym, co niedopowiedziane. Patrzymy na estetyczny obraz, a wyobrażamy sobie machinę wojenną, panów w garniturach, urzędy, komputery, bazy wojskowe. Na wernisażu Jenny Holzer najbardziej poruszyły ludzi te oleje na płótnie, które przedstawiały odciski rąk żołnierzy. Pięć palców, linie papilarne – jeśli patrzemy na te obrazy z daleka i nie znamy kontekstu, w jakim powstały, wyglądają jak czarne liście na śniegu. Ponad każdym odciskiem amerykański cenzor usiłował wymazać znaki umożliwiające identyfikację, zamalowując je flamastrem na czarno. Jedną z tych dłoni odcisnięto już po śmierci żołnierza. Kim był? Mężczyzną kochanym, niekochanym? Dobrym uczniem w szkole? Jeśli jeszcze prace Jenny Holzer wiszą w Poznaniu w Starym Browarze, to warto interesy, wizytę u kosmetyczki, partyjkę golfa, bilet na koncert fajnej kapeli garażowej odłożyć na później i te prace obejrzeć. Po co? Po co dzieciom pokazywać takie okropności, babcię denerwować i siebie? Czy nie dość nerwów mamy z niespłaconym kredytem, nadwagą, brakiem kochanek i drogą benzyną? Nie dość. Jenny Holzer nie jest szaloną hipiską, którą można zepchnąć do hermetycznego światka kolekcjonerów i kuratorów. Ona powinna nas masowo wybudzać z otępienia.

Bzykanie

Modne są oryginalne wakacje. Poszukiwanie ropy w Azerbejdżanie, szlakiem starych cerkwi w Rumunii, spanie na arafatce w Palestynie, integracyjny wyjazd grupy pod kierunkiem newage'owo wyszkolonego magistra, autora książki *Jak łączyć firmę, męża, kochanka i mieć czas dla siebie*. Mnie tymczasem podchodzą banalne adresy i skorzystałam z tandetnej oferty *last minute*, by znaleźć się „u nieba bram”, czyli w boeingu mknącym do ośrodka *all inclusive*. Sztuczna plaża oczyszczona z glonów, palmy wymuskane, odchwaszczone – podejrzewam, że kokosy, które ścięto z gałęzi na drinka, uzupełniano nowymi kokosami, by mieszczuch miał ładny widok. Wykorzystywani przez kapitalistycznych inwestorów biedni tubylcy 16 godzin na dobę (wiem, bo pytałam) biegali za gośćmi z drinkami. Pokoje bez ani jednej mrówki, węża czy insekta – zaaplikowano tu pewnie tajemnicze metody chemiczne. Za pomocą lupy i noktowizora wreszcie udało mi się spostrzec jedną samotną jaszczurkę, którą zapewne przegoniła armia sprzątaczek, bo nazajutrz już jej nie było. Ochroniarze w wykrochmalonych koszulkach co sto metrów – na rowerach, na skuterach, ukryci za rododendronem, patrolujący moje bikini z helikoptera. Wszystko, by tylko oferta *all inclusive* nie poszerzyła się o bombową eksplozję. Ośrodek *all inclusive*, czyli więzienie przyjemności i iluzji. Za murami ośrodka miejscowi głodują w domkach z blachy, a susza zabija ich pola. Tymczasem u nas w luksusowym więzieniu o świcie i zmierzchu zieleni się golfowa trawka nawadniana przyskiwaczem.

Aby gość się nie przemęczał, owoce podaje się pokrojone i obrane. Rozwydrzoną dziatwą przyjezdnych opiekują się wiecznie pełni energii i uśmiechów Murzyni mówiący pięknie po francusku. Przyuczeni przez kolonialistów, którym teraz nad basenem podają owoce i drinki na bazie trzciny cukrowej. W całym ośrodku najbardziej zafrapowała mnie przepastna recepcja pełna puszystych kanap. Bez przerwy było tu tłoczno. Czyżby ciągle ktoś wyjeżdżał i przyjeżdżał? Dlaczego ludność siedzi w recepcji, a nie na plaży? Po dwóch dniach zorientowałam się, że było to jedyne pomieszczenie, w którym działał bezprzewodowy Internet. My, wczasowicze, wsiedliśmy do boeinga, aby uciec dziesięć godzin od naszych firm i codziennych spraw, ale nawet pod palmą nie możemy się powstrzymać od wypadnięcia poza sieć. Doprowadziliśmy się do takiego stanu, że musimy być wiecznie z kimś lub czymś w kontakcie. Wśród karaibskich palm nagle przypomniał mi się mój warszawski sąsiad z bloku naprzeciwko. Mieszkając okno w okno z tym starszym panem, zauważyłam, że ma „szyby niebieskie od telewizorów” cały wieczór i całą noc! Przy czym ogląda telewizję pasywnie, ekran jedynie mu towarzyszy jak komin, jak źródło światła, jako kołysanka może? Dlaczego niektórzy z nas oglądają kanały niusowe przez cały dzień? Przecież znamy już główne wiadomości – po co nam taki kołowrotek bez końca? Czy to życie z ekranu jest, prócz kompensacji przyjaciela czy rodziny, formą ukojenia – spokojnie, wszystko w porządku, tam na zewnątrz sprawy się toczą, ludzie walczą, ziemia istnieje, biznes się kręci. Już nie wystarczy nam, że sami to wiemy – potrzebujemy, aby różne urządzenia potwierdzały to przecucie. Zalogowani w sieci ośrodka *all inclusive* wysiadali nie tylko ludzie biznesu podłączeni do swych ajfonów i blackberrys. Każdą menedżerkę dręczy zrozumiała lęk przed lataniem: a nuż po moim odlocie centrala podejmie jakieś decyzje? Coś mnie ominie. Zrobią jakieś głupstwo. A może dostałam mejlem niesamowitą propozycję zawodową od konkurencji, podczas gdy marnowałam czas pod kokosem? Wczasowa strefa Wi-Fi roiała się też od nastolatków. Część z nich za pośrednictwem laptopów z kamerami flirtowała z chłopakami, którzy tęsknili w domu. Część oglądała teledyski, łowiła świeże kąski z YouTube, gaworzyła przez komunikatory. Przypomniało mi się gniazdo os, które załęgło się u moich znajomych na działce pod

Radzyminem. Osy żyją i poruszają się w rojach, ich życie nie zna ciszy – osy, trochę podobnie jak rekiny, nie znają bezruchu. Osy bzyczą bezustannie. Jacek Kaczmarski we wstrząsającej piosence *Nasza klasa* śpiewał o ludziach rozproszonych, o Wojtkach w Telawiwach i fizykach z Moskwy, których przyjmują prezydenci. Dzisiejsza Nasza klasa trwa w ciągłym bzyczeniu stanowiącym złudne wrażenie bycia w kontakcie. Jeszcze tak niedawno, będąc w liceum, miało się dwie, trzy bliskie psiapsiółki i dwóch, trzech bliskich kolegów. Wpadało się razem odrobić lekcje, a gdy kumpeli nie było w domu, zostawiało się kartkę pod wycieraczką, godzinami gadało się po kinie. Dzisiaj przyjaźnimy się z tysiącami osób stanowiących naszą społeczność, a o każdym ruchu bzyczymy przez urządzenia. Obserwując rój bzyczących turystów w recepcji, zaczepiłam młodziutką pracowniczkę ośrodka, pytając o to, gdzie są korty, bo chcę wziąć udział w organizowanym treningu, a nie wiem, o której i gdzie jest rozgrzewka. – Korty są tuż za rogiem. – Dobrze, to pójde sprawdzic, dziękuje. – Już się dowiaduję, trener już odpisał – powiedziała dziewczyna, pokazując mi ekran komórki. Po co fatygować się te 300 metrów, jeśli trener też jest zalogowany? Przy kolacji pewna Kanadyjka spytała mnie, kim jestem z zawodu. – O, dziennikarka, *fantastic!* Czy wygoogluję pani teksty w YouTubie? Nie? To szkoda, nie będziemy w kontakcie – zabzyczała na pożegnanie. Nie ma lekko w *all inclusive*. Ani chwili wytchnienia, trzeba bzyceć, bo cię coś ominie.

Komu, bo idę do domu

Przeleciałam się niedawno z panem ministrem Radosławem Sikorskim do Afryki. Między nami nic nie było prócz służbowych obowiązków – nasz minister spraw zagranicznych zabrał ze sobą do Rwandy grupkę dziennikarzy – Polska wydała trzy miliony euro na budowę szkoły we wsi Kibeho. Minister miał w imieniu naszej ojczyzny pomagać dzieciom, a ja miałam podziwiać tę pomoc i informować Państwa o niej, co niniejszym czynię. Rwanda to ten kraj, w którym w połowie lat 90. podczas wojny domowej zamordowano, między innymi maczetami, prawie milion osób. Dla piszącej te słowa białej Europejki o aszkenazyjskich rysach kobieta Hutu jest nie do odróżnienia od kobiety Tutsi. Rwanda to jakiś mały kraj, chyba tak pośrodku kontynentu, kombinuję. Spójrzmy prawdzie w oczy. Nic prawie nie wiem o Rwandzie. Wyciągam więc z szafy ukochany atlas świata i sprawdzam. Gdy byłam nastolatką i interesowałam się głównie specyfikami na przyszcze i tanimi wejściówkami do teatru, ojciec próbował wymusić na mnie, żebym nauczyła się na pamięć wszystkich stolic świata. Co za nonsens, buntowałam się. Nie wymógł na mnie nawet połowy materiału i masz babo placek, nie wiedziałam, że stolicą Rwandy jest Kigali. Przy palcowaniu zastanawiam się, jak w podróży do Afryki odnaleźć odpowiedni ton. Jak nie być protekcyjną ani nie zrazić gospodarzy ignorancją białąską. Przypominam sobie moje pierwsze dni w amerykańskiej szkole. W robionym na drutach góralskim swetrze stoję w kolejce w stołówce. Matka kupiła mi go kiedyś na Krupówkach, zanim górale zaczęli sprzedawać chińszczyznę. W stołówce mleko w kartoniku, przy każdym daniu podany skład i liczba kalorii. Limetki mniej kaloryczne od cytryn. Przede mną dwóch Murzynów, których do tej elitarnej szkoły dowożono z gorszej dzielnicy Bostonu. Żeby nie było, że szkoła nie toleruje mniejszości. Jeden z czarnych kolegów, chcąc być miły dla „nowej”, pyta: „Agatha, czy wy w tej Polsce jecie nożem i widelcem?”. Czy ja palnę coś równie przykrego w Rwandzie? Rządowy radziecki samolot, pomimo sędziwego wieku, wzbudza zaufanie. Spoglądam na ministra Sikorskiego, jak wsiada. Jaki ma prężny krok, ale oczy podkrążone, widać zmęczenie. Służba nie druźba. Ile takich podróży w roku wykonuje? Czy taka podróż do Rwandy coś zmieni? Czy minister ją zapamięta? Ja na pewno. Rwanda, w odróżnieniu od Egiptu, to nie sucha piaskownica. To lekko górzysty, zielony kraj. Przez okno naszego jeepa widzę dzieci bez butów i kobiety niosące na głowach straszne ciężary. Często taskają wielkie drewniane bale. W aucie doskwiera mi poczucie winy. Mam wodę, wiezie mnie kierowca, na głowie, prócz steku problemów, nie niosę jednak drewnianych bali, a mój syn w przedszkolu dostaje aż trzy posiłki dziennie. Jak to możliwe, że są ludzie, którzy w ramach wakacji podróżują sobie autobusami i samolotami po Afryce z plecakiem? Jak można patrzeć na taką biedę i nie popełnić samobójstwa? Jak to dobrze, że sytuacja „co z oczu, to z serca” na co dzień pomaga mi żyć. Mechanizm hipokryzji jest pysznie wymyślony. Dojeżdżamy do Kibeho. Na ministra czekają już siostry, wysocy rangą duchowni i ustawione w szpaler niewidome dzieciaczki ubrane w mundurki w kratkę. Dzieci opierają się o siostry w sensie fizycznym i psychicznym. Bez sióstr one tu zginą, pojmują natychmiast. W Rwandzie być niewidomym, to być skazanym przez los na zagładę, tu nikt nie ma narzędzi ani chęci do opieki nad ludźmi niepełnosprawnymi. Podczas oficjalnego otwarcia minister Sikorski wręcza szkole prezent od Polaków – drukarkę brajlowską. Genialnie, myślę, choć czuję, że podstawową zasługą szkoły jest to, że dzieci mają w niej schronienie i posiłki. Przynajmniej w Rwandzie nasze podatki poszły na dobry cel. Co stanie się z dziećmi, które tę szkołę skończą? Oby nigdy nie zdały matury, bo dokąd stąd pójda? Te siostry z Lasek to są święte kobiety. Z czego trzeba być ulepioną, by żyć w środku Afryki, kochać obce dzieci, a jednocześnie nie przywiązać się do nich zbytnio, dać im odejść? Pytam siostry, czy sprawdza się program adopcji na odległość. O tak, jak najbardziej, czytamy sobie listy od rodzin z Polski.

Wracam do Warszawy, a w skrzynce informacja o akcji różowej wstążki oraz akcji ratowania koni. Dziesiątki fundacji zasypuje nas prośbami o wsparcie. Czytam w raporcie MSZ, że ponad 80 procent Polaków deklaruje, że Polska powinna pomagać biednym krajom. Tylko komu, bo idę do domu. Algebra cierpienia, kto zasłużył bardziej? A może te deklaracje są nieprawdziwe, może większość ludzi myśli jak pewien mój rozmówca, który opowieść o polskiej pomocy dla niewidomych dzieci z Rwandy skwitował pytaniem: „Ciekawe, ile nas kosztowała ta wycieczka ministra do Afryki?”. Przypomina mi się fragment książki Tiziana Terzaniego: „Patrzyłem na siedzibę Narodów Zjednoczonych i myślałem o tych wszystkich słowach i kłamstwach, o tym, ile spermy i łez wylewano w daremnych próbach zapanowania nad ludzkością, czego nie da się zrobić, ponieważ jedyną rządzącą nią zasadą jest chciwość. I każda jednostka, rodzina, miasteczko czy naród myśli tylko o swoim, nigdy o naszym”. Po „wycieczce” do Rwandy nie jestem gotowa na taki nihilizm.

Doświadczona dziewczyna,
czyli z życia matki,
żony i kochanki



Nie wierzę w życie pozagrobowe ani życie płciowe. Nie wierzę w płć. Mężczyźni są tak skomplikowani i różni... Niczym płatki śniegu... Ja jestem przedstawicielką trzeciej płci, jakiejś takiej jeszcze nienazwanej. W dzieciństwie do mojego ojca podchodzili ludzie i mówili: „Jakiego pan ma ślicznego synka”. Płć jest płynna, zgina się i przechyla jak leszczyna na wietrze. Role też się mieszają. Żona bywa równocześnie córką, była żoną i kumpelką. Matka bywa kochanką; czasem exżona staje się kochanką, a skuteczna w negocjacjach prezeska bywa szalenie infantylną dziewczynką i skypową babcią. Statystyki mnie fascynują, ale jeszcze bardziej inspirujące są marginesy błędu oraz ludzka niekonsekwencja. Czy zwierzęta i rośliny też tak często zmieniają zdanie i same sobie zaprzeczają?

Buntownik bez portfela

Narzeczone Buntownika wstaje bezszelestnie, gdyż Buntownik musi się doszczętnie wyspać. Jak sobie nie pośpi, nie wygrzeje pod kołdrą umięśnionych nóg zmęczonych jazdą na rowerze i erotycznymi piruetami, jest po prostu nieprzytomny. Tłuczenie talerzami, walenie drzwiami lodówki czy burczenie zmywarki to dźwięki, których kobieta Buntownika nauczyła się podczas śniadania nie uruchamiać. Precyzyjniej sprawę ujmując, narzeczonej wydaje się, że nią jest, lecz Buntownik nigdy jeszcze tak jej nie nazwał. Uważa się za odrębny byt niezwiązany żadnymi pętami. Singiel z kilkoma mniej lub bardziej stałymi partnerkami. Jest pięknym ciałem poruszającym się po elipsie między dzielnicami miasta. Gdy akurat porusza się pieszo, to wpada do Natalki, znajomej rozwódki. Ona zamawia aromatyczne jedzenie, które dowozi jej młody Nepalczyk na skuterze – odkąd mąż się wyprowadził, nie chce się Natalce gotować, ale chętnie karmi głodnego Buntownika. W dni, w które Buntownik nie pije, potrafi na rowerze dojechać aż za rzekę do Asi z pięknym ogrodem warzywnym i grillem. Po co jej plantacja ma się marnować? Buntownik chętnie wykorzysta swe mięśnie, by powrywać z Asią rękę. Niestety dość często zdarza mu się, że znajomy właściciel pubu postawi mu dużego specjalnego i wtedy Buntownik dotelepie się rowerem najwyżej do studentki medycyny, która nie gotuje, ale za to tatuś kupił jej superkomputer z wielkim monitorem. Sporadyczne wizyty oznaczają tak naprawdę widzenie się z każdą ze znajomych co drugi, trzeci dzień, ale Buntownik czasu nie liczy. Narzeczone sponsorują mu również śniadania, lecz on o pieniądzach w towarzystwie nie rozmawia. Śniadaniowe menu Buntownika różni się od tego, którym pasie się motłoch. Rano jada grejpfruty i nasiona słonecznika. To dieta mężczyzny uduchowionego, a nie jakiegoś zwierza pożerającego mięso, które trawi się całą noc. Buntownik gardzi pośpiechem. Poranki są po to, by je celebrować – to jego filozofia. Bieganie do pracy na dziewiątą rano „przeraża” – zresztą, po co tracić czas na stanie w korkach lub robić z siebie sardynkę w konserwie ściśniętą w tramwaju? Słyszał o ludziach, którzy chodzą na wykłady lub do biur na ósmą rano, i współczuje im, że dali się wpędzić w taki poniżający kierat. Dwaj jego koledzy, z którymi robił maturę, mają nawet dzieci, ale Buntownik nie ma zamiaru być rodzicem. Świat jest taki zły – po co sprowadzać nań dziecko? Buntownik jechał dwa razy w życiu tramwajem o 8.30. Raz spieszył się na zajęcia, gdy jeszcze studiował anglistykę, którą porzucił. Buntownik studiował na wielu fakultetach, ale żadnego nie skończył, gdyż ciało pedagogiczne nie było zdolne dojrzeć jego talentów. Profesorowie na anglistyce kazali mu zakuwać jakieś gramatyczne formułki, zamiast dać mu iść przez życie z bajroniczną wizją. Drugi raz Buntownik tramwajem jechał, gdy niedobry tatuś kazał mu zdążyć na rozmowę wstępną w firmie logistycznej. Podczas rozmowy jakiś odprasowany psycholog próbował mierzyć bezkresną osobowość Buntownika głupimi formułkami, więc Buntownik powiedział, że w takiej atmosferze zespół nie będzie w stanie rozwinąć skrzydeł. Wysłał potem jeszcze kilka CV, ale fakt, że nikt nie zadzwonił, proponując dobrze płatne stanowisko, był tak poniżający, że zarzucił tego typu wysiłki. Buntownik kredytu nie spłaca – nie dla niego taka niewola. On mieszkanko łaskawie przyjął po zmarłej babci, która nazywała go swoim pieszczoskiem. Buntownik kolegów ma niewielu – mężczyznami w zasadzie gardzi, gdyż jeżdżą nieekologicznymi jeepami i wykorzystują ludzi, każąc im harować w swych firmach. Mężczyźni unikają go, bo wytyka im brak wrażliwości społecznej – oni nie pikietują z nim przeciwko zanieczyszczeniom powietrza (są menedżerami fabryki), nie ratują koni wywożonych na rzeź (w weekendy chętnie polują), nie czytają na głos charytatywnie w domach spokojnej starości wczesnym popołudniem (siedzą wtedy w szklanych biurkach). Koledzy zatem unikają Buntownika, gdyż albo budzi w nich odrazę (metroseksualna ciota), albo zazdrość (dupczy po całym mieście, nie płacąc alimentów), albo poczucie winy (jest

antyjapiszonem). Buntownika regularnie widuje się tylko z jednym przyjacielem, który kupił mu karnet na siłownię. Wolał już postawić Buntownikowi bez portfela karnet, niż ćwiczyć bez towarzystwa, które go dopinguje. Buntownik nigdy nie pozwoli sobie na brzuch od piwa czy nadwagę – to plaga współczesnej cywilizacji, której mówi stanowczo „nie”, przęcać pośladki. Niestety raz w miesiącu Buntownik musi opłacić rachunki. Dorabia sobie recenzjami płyt winylowych publikowanymi na światowych portalach. Słucha chorałów gregoriańskich, dźwięków Rzeszowszczyzny, piosenek Bułata Okudźawy – bo tego nie słucha nikt. Po siłowni odwiedza darmowe galerie sztuki, by móc zafascynowanym przyjaciółkom recenzować to, co widział, trochę fotografuje, przegląda „Twórczość” w bibliotece i tak dociąga do pięćdziesiątki. Wtedy przeprowadza się do Kenii. Mąż jednej z wielu jego koleżanek zbudował tam ranczo, ale na co dzień nie ma kto pilnować posiadłości. Taki dziki, nieustraszony Buntownik będzie w sam raz – popilnuje piwniczki z winem i stajni dla koni. Bilet znajomy wrzucił w koszty wstrętnej kapitalistycznej firmy. Buntownik jest sponsorowany, ale po co psuć mu humor i wprawiać w hemingwayowski alkoholizm?

Myślę o udanych związkach

Wzorowym związkiem jest związek whisky z wodą sodową. Tu każde z osobna jest pełnią, a jednak wspólnie zmieszane, czasem wspólnie wstrząśnięte tworzą świeżą sensualną chemię. Złota, oleista whisky została pewnego dnia rozrzedzona wodą i to było prawdziwe *coup de foudre*, połączyło ich uczucie nagle, ale nieuzależniająca, nie muszą mieszkać razem w ciasnej butelce aż do śmierci z wywietrzenia. Jestem zwolenniczką legalizowania związków partnerskich, tych związłych i rozwiązłych. Projekty ustaw o związkach partnerskich są przestarzałe, ich ciasne kołtuńskie definicje są jak nazbyt kuse walizki – dociskane kolanem i tak się rozejdą. Mentorstwo urzędników powoduje nerwicę wśród obywateli, którzy zamiast kochać i płodzić dzieci, czują się piętnowani. Konkubin nielegalny, dziecko z surogatki nielegalne, wiano transseksualistki nierozliczone wspólnie – no, strach się kłaść. Związki partnerskie zagrażają małżeństwu. Małżeństwu zagraża wielu groźniejszych wrogów. Młode blondynki z gołymi balonami na wietrze. Plaga impotencji męskiej. Bezrobocie prowadzące do depresji. Gry komputerowe robiące z dwudziestolatka w wieku rozrodczym zombie o spojrzeniu osowiałej szmaty. Małżeństwu zagraża statystyka, która mówi, że w moim mieście mieszka o wiele więcej kobiet niż mężczyzn. W takim rozkobieciałym miejscu trudno, aby dziewczęta nie lgnęły ku sobie. Nie lepiej mieszkać we trzy, bo czynsze wysokie? Po kilku latach okazuje się, że się zżyłyśmy. Miesiącujemy wspólnie, Kasia wynosi śmieci, Madzia gotuje, Zosia, cóż, zaciążyła na spływie kajakowym, ale lubimy dzieci, więc pomożemy jej zająć się bobaskiem. Trzy kobiety i szóstka odwiedzających dziadków to będzie dom opoka. Małżeństwu zagraża postęp medycyny. Gdy umierałyśmy w wieku czterdziestu lat, nasze małżeństwo kwitło. Dziś nie każda z pań wyobraża sobie, że mając lat dwadzieścia, prześpi się po ślubie z mężem, ziemia się zatrzęsie i tak już się będzie pod nią trzęsła niczym nóżki w galarecie przez sześćdziesiąt lat. Odpowiedzią na to jest tak zwana seryjna monogamia, czyli małżeństwo, ale nie na zawsze, ot, na dekadę. I tu nie rozumiem arytmetyki. Dzisiejszy heteryk, który zmienia żony jak modele smartfona, jest bardziej zgodny z konstytucją niż długodystansowy gej, który po trzydziestu latach życia z partnerem wciąż jest mu wierny jak pies? Może związki partnerskie czas rozszerzyć na poligamiczne? Może lepiej trójkę dzieci wychowa się wspólnie z dwoma mężami niż z gderającym teściem czy obcą nianią? Obruszamy się w Polsce na poligamię, tymczasem czyż patchworkowe rodziny, które po rozwodzie utrzymują przyjacielskie, czułe kontakty – tworząc rodzaj „rozbudowanej grupy krewniaczej”, jak mawiali antropolodzy – to nie jest rodzaj poligamii? Wspólnie prowadzą jedno wielkie gospodarstwo, choć rozsiane po kilku domach, udzielają sobie kredytów, spłacają długi. Może warto od razu zostać rodziną patchworkową z pominięciem bolesnych i drogich rozwodów. Spadek a związek partnerski. Zamiast robić z igły widły, warto zawczasu spisać testament. Prócz spadków są jeszcze miłe darowizny. Kwadrans u notariusza i po sprawie. Kochasz swoją dziewczynę, która po czterdziestu latach związku partnerskiego z tobą ma trudności z utrzymaniem moczu i znalezieniem sztucznej szczęki w łazience? Po co czekać do twojej śmierci. Już teraz podaruj jej zyski z funduszu. Płeć a związki partnerskie? Konstytucja pozwala nam żenić się z Afro-Amerykanką. Jeśli rasowe przeciwwskazania zniknęły, czemuż płciowe pozostały? Płeć, podobnie jak zdrowie psychiczne, nie jest dana na całe życie. Ślub mężczyzny z kobietą może ewoluować w małżeństwo jednopłciowe. Nie ma co dopytywać o płęć na ślubnym kobiercu, bo potem mogą być komplikacje. Adopcja tylko dla heteryków. Ech, nikt nie wie, co tak naprawdę jest dobre dla dzieci prócz szpinaku, ruchu na zdrowym powietrzu i niezłego nauczyciela od matematyki. Rodzi się nas coraz mniej, bo panie czują, że jeden facet po prostu nie da rady ich obsłużyć, a i panowie potrzebują kilku pań, by holowały ich przez rzeczywistość usłaną umowami śmieciowymi.

Musimy się wspierać, wracając do struktury wielkich rodów – tylko w nowej formie. Otwarte, przyjazne, wielogenderowe rozwiązania partnerskie, rodzaj małych plemion nomadycznych, w których każda stara panna poczuje się zaopiekowana, wdowy będą miały każda po nowym mężu albo dwóch, osoby bezdzietne nie będą potrzebowały *in vitro*, bo jakieś dzieci zawsze będą biegały po ganku, geje nie będą starymi kawalerami ukrywającymi się w szaletach, tylko będą wkluczeni w klan. Taka forma rozwiązania partnerskiego to zła wiadomość dla Kościołów. Samotnych panien i bezdzietnych wdów nie będzie, więc kto zapisze spadek na Kościół? Zła to wieść dla urzędów stanu cywilnego. Urząd zmieni się w dziwny mroczny lokal niczym *dark room* na tyłach knajpy, do którego strach będzie wejść. Poszerzmy ramy ustawy o związkach partnerskich. Zaczniemy miłować i rodzić z lojalności wobec rodzin, a nie państwa.

Halo, tu ptasie radio

Kto do kogo zadzwoni? Czy ja mam do niego zadzwonić pierwsza, czy poczekać, aż on do mnie zadzwoni? Nie wiem, ile zdążyło się przetoczyć przez Polskę fal feminizmu – to pytanie dla specjalistów gendersów i genderek w typie Susan Pinker. Jednak wiem, że wciąż nieliczne dziewczęta krępują się pierwsze zadzwonić do mężczyzny, który spodobał im się już nie tylko na pierwszy, ale i drugi rzut oka. Wykonanie tego pierwszego telefonu było do niedawna wyczynem między innymi dlatego, że gdzieś tam w podświadomości wielu, nawet niegrzecznych laseczek, drzemało przekonanie, że polować, ubiegać się o względy, prosić o rękę czy na rozgrzewkę o ściągnięcie majteczek – te zadania należały do chłopaka. Przyjęło się myśleć, że nasz wymarzony pan to ten sam facet, który zanim 150 tysięcy lat temu zaczął używać łuku, całymi dniami potrafił boso po tonącej w upale sawannie biec za upatrzoną smakowitą antylopką. By ją dopaść, udusić gołymi rękami i spałaszować na surowo. „Ja dzwoniłem zawsze pierwszy”, zwierza mi się stary kumpel z liceum. Stary, bo po trzydziestce. A dziś po trzydziestce wielu z nas to ma przebieg jak dawniej koledzy po czterdziestce. Robota wszak już na studiach draży. „Taki wrywny byłem. Ale ostatnio, powiem ci, że jakiś nieśmiały się zrobiłem. Tyle czasu w pracy spędzam tu w tej norze (mówi tak o swym biurze), że zdziczałem towarzysko. Nie mam czasu ani sił udzielać się”. Kumpel zadumał się, poluzował rolki (byliśmy akurat na rolnkach w parku). Dziś ten łowca sprzed 150 tysięcy lat jakiś taki grubszy jest. Mniej prężny. Z płatfusem w bucie. Zdarza się, że i z prozakiem, a nie z kwiatem w butonierce. „A powinienem zacząć dzwonić, bo wiesz, czuję, że chętnie usatkwowałbym się – wypalił kumpel prostodusznie. – Rodzinkę bym miał, tobym się na pracy mógł bardziej skupić”. Ciekawy powód, by mieć rodzinę, ale tego już nie komentowałam. Jedni pracują po to, aby skupić się na rodzinie, a kolega, jak widać – na odwrót. Ja też jestem takim wrywnym kumplem. W sprawach sercowych chyba zawsze, bez wyjątku, to ja chwytam za słuchawkę. Po prostu szkoda mi czasu. Tylu mężczyzn, tak mało czasu. Buddyści uspokajają, że jesteśmy częścią kosmosu i może w następnym wcieleniu ubawię się jako tasiemiec, ameba bądź wściekła krowa, ale kawa nie wyklucza herbaty. Dzwonię pierwsza, gdyż jakoś nigdy nie kusiło mnie odgrywanie ról podsuwanych nam przez społeczne układy, trendy feministyczne czy teorie ewolucjonistów. Kojące powiedzonko „Każda potwora znajdzie swojego amatora” nie przekonało mnie. Amator mógł mnie nawet nie zauważyć. Amator może być jak Australijczyk, zanim spróbował szczepu shiraz – nie znał, więc nie konsumował, a jak poznał, to się zachwycił i pije do dziś. Miło wspominać pierwsze flirty telefoniczne, które odbywały się w czasach, gdy w słuchawce informowano nas, że jest to „rozmowa kontrolowana”. Może dlatego niektórzy z nas polubili trójkąty? Zamykałam się w pokoju, żeby ojciec nie podsłuchiwał. Gdy piętnastoletni amator oddzwaniał i trafiał na mojego tatę, to tata odwieszał słuchawkę, mówiąc: „Radzę panu zadzwonić ponownie i się przedstawić”. W domu mieliśmy wściekle pomarańczowy aparat telefoniczny z tarczą obrotową i ze sznurem, który zawijał się w supły, tak że nie starczało ramion, aby go rozsypać. Z sentymentu trzymamy ten aparat z tarczą nadal. Ojciec wspomina, że w czasach narzeczeństwa dzwonił do ukochanej i witał ją słowami: „Halo, tu ptasie radio”. Poetycki adorator.

Temat licytacji telefonicznej dopadł mnie ostatnio, gdy kolejny raz w tym roku tłumaczyłam pewnej studentce, dlaczego nie zarejestrowałam się na Facebooku. Dziewczę nie dawało za wygraną. „A ja uważam, że to nie pożera czasu, tylko go oszczędza. Jest taki jeden Paweł u mnie na roku, no nie? Co ja będę od razu z nim gadać, najpierw sobie go wygoogluję na Facebooku i sprawdzę, co za jeden, bo on może z getta jest albo co?”. Rozmowa odbywała się w Warszawie. Mezalians trzyma się mocno, a drabina społeczna coraz bardziej długa i stroma się

robi. Obciach spędzać czas z chłopcem biednym albo może jeszcze z narkomańskiej rodziny. Taki to do Starbucksa nie zaprosi, z zajęć na vespie nie odbierze, na desce nie jeździ. Czy w erze Facebooka pierwszy telefon przestał być wyzwaniem? Lęk przed pierwszym telefonem wynika nie tylko z nieśmiałości, ale jest też strachem przed nieznanym. Kim jest mężczyzna czy kobieta, którą chcemy poznać? Czy jest molicą książkową, czy słucha tylko klasyki, a ja nie odróżniam adagia od allegra? Teraz, gdy eksponujemy informacje o swoim życiu, gustach i hobby, pierwszy telefon nie powinien stanowić żadnego problemu. W zasadzie może w ogóle jest niepotrzebny? Mój najbliższy przyjaciel ma 74 lata. Pytam go, jak było w latach 50. zeszłego stulecia. „Gdy byłem kawalerem, to było nie do pomyślenia, by dziewczyna pierwsza do mnie zadzwoniła. To był problem, jeśli i ona, i on byli nieśmiali. Dziś jest tyle agresywnych kobiet, że to też problem. Wielu chłopców się boi, gdy dziewczyna naciska i ciągnie szybko do łóżka albo do ołtarza. Mężczyzna musi sam do tego dojrzeć”. Tylko że panie niecierpliwe się zrobiły. Twierdzą, że panowie nigdy nie dojrzewają, w którymś zaś momencie stan singielski może przepoczwaczyć się w stan starsingielski.

Sahara

W tym parku z kanałkiem śmierdzącym zgniłymi liśćmi czuję się na miejscu. Znam tu każdą ławkę, tu wagarowałam. Po wesołej partyjce badmintonu wracamy do samochodów. Graliśmy w miksta. Panie przeciwko panom. Jest kwadrans po dwudziestej, czas na mnie, pędzę do synka szykować kolację. Wsiadam do auta, patrzę, a tu pod latarnią truchta w miejscu dziewczyna w obcisłym stroju dla biegaczy. O tej porze sama w ciemnym parku? Oj, igra z losem. Za parę sekund pojawia się kolejna zgrabna syrena w obcisłych srebrnych legginsach, na ramieniu modne urządzenie do mierzenia tętna, w uszach słuchawki od smartfona. Takich syren w połyskujących wiatrówkach zebrało się osiem. Nie wytrzymuję, pytam, co one wyczyniają o tej godzinie w parku. Umówiły się na fejsie, wspólnie trenują bieganie. Czarnym wieczorem osiem pięknych kobiet w wieku balzakowskim, czyli pysznym, w strojach wyzywających podskakuje w moim mieście bez obstawy w postaci panów? – A dlaczego tak późno uprawiacie jogging zamiast jeść kolację z mężczyznami waszych żyć? – Jacy mężczyźni? – pytają chórem panie. No, jak to jacy, jest ich tu parę milionów w naszym mieście. Otóż według syren panowie owszem są, ale dziwnym zbiegiem okoliczności ci panowie ich nie dostrzegają. Chór syren jęczy tęskno, iż bardzo chciałyby leżeć teraz w męskich ramionach, ale tak wyszło, że są samotne, więc wieczorami umawiają się na biegi. Lepsze to niż wegetowanie na kanapie. – Kompletna sahara – z pewną dumą opowiada mi jedna z biegaczek. – Ja już dwa lata żyję na saharze. Wszystkie biegaczki potakują, każda z nich albo drzewiej „coś tam miała, ale się okazało, że to nie to”. Obsesyjnie dostrzegam w moim mieście samotne atrakcyjne kobiety. Są ich tłumy! Co za marnotrawstwo. Kiedyś dziewczyny po mieście błąkały się we dwie. To było niezręczne, bo zawsze któraś była brzydsza i panowie w szpagacie takim lądowali. Brzydsza sama do domu pójdzie? No, głupio jakoś tak, a z litości się przespać to takie podłe. Potem na wzór amerykańskich seriali kobiety zaczęły chodzić po trzy. Teraz się porobiło, że panie nie tylko chodzą, ale joggują, bo są fit. No i w grupie joggują. Ale nie chodzi o ilość. Chodzi o saharę. Panie ją polubiły. Czują się na niej cieplutko, milutko, wygodniutko, suchutko. Nieprawdą jest, że Polki żyją na saharze uczuciowej, bo wokół nie ma mazowieckiego beduina, który zajędzie na białym wielbłądzie. Beduin jest i pije longi sam w wielkim mieście. Panie po prostu są takie ambitne, że mężczyźni nie załapują się na listę celów, które współczesna kobieta ma zamiar osiągnąć. Od szczenięcych lat nie są w stanie wcisnąć się w damski grafik, więc przestali już zabiegać o spotkanie. Szkoła podstawowa to powinien być czas inicjacji, pierwszego obściskiwania się na ławce w parku. Ja łaskawie pozwalałam niejakiemu Pawełkowi nosić mój worek z butami do domu. Ponieważ zadania z fizyki o dwóch basenach nie zaprzętały mi głowy specjalnie, obdarowywałam zadaniami kolegów z klasy. Po co miałam sobie tą fizyką zaprzętać moją piękną główkę, jeśli ewidentnie kolegom sprawiało radość wyręczenie mnie. Tymczasem dziś uczennice niepotrzebnie wygrywają trzy olimpiady ścisłe, dwie olimpiady nieścisłe, a do tego po szkole nie ma odprowadzania do domu, tylko w aucie czyha szofer albo tatuś, który wiezie na balet i robotykę. Gimnazjum to już powinny być czasy orgietek, gdy rodzice wyjechali, żonglowania pożądlivymi kolegami. Normalna licealistka powinna mieć co najmniej trzech chłopaków jednocześnie – studenta, który łązi z nią po modnych wernisażach, kolegę z klasy, z którym odrabia na Skypie referat z recyklingu w Szwecji, i przyjaciela jej matki, który zabiera ją z koleżankami na święto Hubertusa do SPA ze stacją. Życie nie znosi próżni. Tak się mawiało i koleżanki nie zasypiały gruszek w popiele. A teraz kobiece życie lubi pustkę. Kobiety zasypiają same. Czasy szkolne poświęcają na zdobywanie kolejnych olimpiad. Na studiach studiują na dwóch wydziałach, dodatkowo kelnerują albo stażują, a wolne wieczory spędzają na wolontariacie. Nie tak dawno kobieta przed obroną pracy magisterskiej nerwowo tłumaczyła się

samej sobie i cioci Kłoci z tego, że jeszcze się nie zaręczyła. Teraz jedno magisterium wiosny nie czyni. Studentki mają trzydzieści lat i nadal chcą studiować szósty kierunek. Żelazna kurtyna podniosła się i migają światła rozmaitych możliwości, od których panie dostały obłędu. Zaliczają najtrudniejsze zadania. Mariusz czy Jasio to nie są możliwości, z których nasze syreny chcą skorzystać. Kobiety realizują projekty. Budują Dolinę Krzemową w Lublinie. Przejmują większościowe udziały w spółkach, ale nie przejmują się spółkowaniem z panem Mariuszem. Czas wolny, którego nie mają, poświęcają zdrowiu. Szukają w mieście ekologicznego szpinaku, o którym czytały w piśmie „Twoja Talia”. Wstają, by ćwiczyć swe ciała o piątej rano, kładą się po zrealizowaniu stu projektów. Panie Janku, panie Mariuszu. Niech panowie odstawią białe wielbłądy do szopy, w czasie wolnym polecam łykanie antydepresantów, szydełkowanie, kursy kulinarne. Na panie na razie nie ma co liczyć, bo one muszą koniecznie zniknąć panom na zakręcie kolejnego kilometra maratonu. Idealnie wyrzeźbione, zawsze pierwsze, lepsze, niezależne, z kolekcją dyplomów nad biurkiem. To już nie są oazówki. One omijając oazy, wołają umierać z pragnienia.

Ojciec we mgle

Przeczytałam w poźółkłej gazecie sprzed kilku dni, że Polacy wymierają. Lubię gazety przeterminowane. Po kilku dniach można zweryfikować, które wieści są już nieaktualne (*Meteority lecą na Kraków*), nadmuchane (*Polski film murowanym faworytem w Cannes*) lub nieprawdziwe (*Więzień CIA w Polsce nie ma*). Przeterminowany dżem pleśnieje, a przeterminowane gazety szlachetnieją. Z gazety tej jedyna informacja, która pozostaje aktualna i ważna, to informacja, że Polki nie chcą rodzić dzieci, a takie na przykład Francuzki, Nigeryjki albo Turczynki dwoją się i troją, by rozmnażać się ile wlezie.

Polacy wymierają zatem. Oj tam, oj tam. Mamuty też wymarły. I dinozaury. I co? Wszak robi się modne filmy o tych nieporadnych bohaterach z przeszłości. Widzieli państwo *Epokę lodowcową*? Mamut i mamucica są tam tacy słodcy! Wymrzemy i staniemy się legendarnymi gwiazdami filmów amerykańskich. Będziemy na plakatach, koszulkach, gadżetach. Bidon z wizerunkiem wymarłej mieszkanki Mazowsza. Etui na smartfon z prawdziwym białym Polakiem zamieszkującym niegdyś tereny Żuław. Wymierając, automatycznie dołączymy do ludów o wielkiej kulturze, do potęg cywilizacyjnych. W muzeach z sali dotyczącej Sumerów czy kultury Mezopotamii będziemy przechodzili do sali Etrusków, gdzie podziwia się miasta Italii budowane na wzgórzach. A potem w lewo, w prawo i sala wymarłej cywilizacji znad Wisły i jej wielkie osiągnięcia: nadgryziony przez korniki Okrągły Stół oraz bezcenna kolekcja Niedokończonych Autostrad, w tym słynny most w Mszanie, kupiony przez Muzeum Pergamońskie i odrestaurowany przez tutejszą pracownię konserwatorską. W sklepikach muzealnych do wyboru: kopia złotej maski Majów albo wełnianej kominiarki kiboli Cracovii, dzikiego narodu słowiańskiego.

Pomysły polityczek i polityków na rozbudzenie polskich macic nic nie dadzą. Ponieważ my, współczesne Polki, nie chcemy, byście do nas mówili romantycznie. Macie bardziej praktycznie do nas mówić. My sroce spod ogona nie wypadłyśmy i choć od życia wiele nie oczekujemy, to, *please*, PODSTAWOWE warunki bytowe wypada, aby kobieta miała zapewnione. Zaczniemy od początku, czyli od kandydata na ojca. Warto, aby nie pił, a to już eliminuje 70 procent panów, którzy nie wyobrażają sobie wieczoru bez choć dwóch browarków. I tak co wieczór. Polskiemu mężczyźnie łatwiej wyobrazić sobie przekrój hadronu niż jedno popołudnie bez winka. Mężczyzna niehigieniczny zionący miodowym ciechanem jest nieapetyczny rozrodczo i mało wiarygodny jako tatuś. Jeśli w wieku lat trzydziestu pochłania minimum dwa browary dziennie, to co będzie działo się po pępkowym, gdy koledzy się zasiedzą, albo gdy noce z dzieckiem dłużyć się będą? A ojcowie „orzeźwiający” się na placach zabaw? Na placu zabaw najlepiej bawią się tatusiowie – siatka z browarkiem wisi na wózczyku albo małpeczka orzechówki huśta się między przytulankami, pieluchami i słoiczkiem przetartych ogórków – zestaw do piaskownicy. Jeśli Polka dobrze gotuje, to tym bardziej kandydat na ojca nie wylewa za kołnierz! Oto przyrządziła ossobuco. On już biegnie do winoteki za rogiem i wraca z naręczem. Nie, nie kwiatów czy diamentów. On sobie do tego ossobuco trzy włoskie wina przetestuje. Jeśli talent kulinarny partnerki nie zasługuje na gwiazdkę Michelina i jedyne, co potrafi kobita przygotować, to kanapki z kindziukiem – tym więcej usprawiedliwień znajdują panowie. „Nie rób kolacji, zjem coś szybko na mieście”. A na mieście, wiadomo, w knajpcie promocja rieslingów.

Wśród nielicznych trzeźwych adonisów warto byłoby znaleźć mężczyznę kulturalnego,

oczytanego, wykształconego, aby jego rozmowy z dzieckiem nie ograniczały się do dialogów o tym, czy ziemniaki już doszły albo czy teściowa podlała grządkę. Jak mają Polki takiego znaleźć, jeśli polskie uniwersytety z roku na rok niżej w rankingach uczelni światowych? Mój kolega, doktor socjologii, opowiadał mi, że teraz nawet egzaminu na studia nie ma. Całkiem niedawno zaś student wysłał mu mejlem pracę magisterską, która była zlepkiem luźnych notatek. Całe jedenaście stron. Student dumny jak paw jak gdyby nigdy nie czekał na termin obrony. Analfabeta licencjat nie nadaje się na ojca i my to wiemy. Czekamy na potomków Michała Komara i Stanisława Dygata, a ponieważ oni nie nadchodzą, to w tak zwanym międzyczasie zakładamy burki i rzucamy się w ramiona trzeźwych Saudyjczyków. Albo zakładamy firmy i czasu na romanse nie mamy.

Panowie z Dubaju, choć nie rozumieją naszych kulturowych kodów i nie śmiesz ich polszczyzna Jeremiego Przybory, to są opaleni, mieszkają z widokiem na ocean, a w dodatku mają stałe dojście do diamentów.

No właśnie. Polki wiedzą, że fajnie byłoby, gdyby ojca rodziny stać było na ubezpieczenie. Jak nie całej gromadki, to przynajmniej samego siebie. Same z dzieckiem damy radę się utrzymać. Wiemy, że my same potem na dziecko liczyć nie możemy. To nie dzieci będą na nas pracować. To my, zażywnie osiemdziesięciolatki, będziemy huścić z naszej pensji czterdziestoletnich wścazy. Polka z emerytury będzie swego aniołka albo królownę sponsorować. Da dobry Bóg na dziecko, ale na tatusia dziecka raczej nie będzie nas stać. Panowie tak przyzwyczaili się do tego, że Polki potrafią być niezależne finansowo, że się panowie rozleniwili. Najpierw na garnuszku rodziców, potem na garnuszku ukochanej – pomieszkuje u dziewczyny, podjada od niej z lodówki. Do siebie nie zaprosi, no bo tak się jakoś „porobiło”, że „w kredyty nie chciał się łądować” i nie ma dokąd zaprosić. Bezrobotny piwosz licencjat choć może być zabawnym towarzyszem wczasów pod namiotem, bo i gitarę ponosi i fajne pliki muzyczne ze smartfona zapoda, to jednakowoż na dłużuuuuugie pożycie rodzinne nie rokuje. Wykształcone, zgrabne, wyćwiczone Polki fitneski żyć będą co najmniej do setki. I co? Żadnej nie uśmiecha się niańczenie ojców we mgle. Chłopiec we mgle co prawda wie, jak dzieci się robi, ale co potem zrobić z tymi dziećmi? Nowe pokolenie mężczyzn we mgle to tak zwane pokolenie millennium. Licencjat za pieniądze mamusi się zrobiło i się oczekuje, że pracodawca też będzie tak nim zachwycony jak mamusia. Gdy po drugiej rozmowie kwalifikacyjnej albo po drugim miesiącu pracy okazuje się, że na początek zarabia się jedynie siedemset złotych miesięcznie, a harować trzeba od świtu do wieczoru, że czasu nie ma, by po koncertach jeździć, na imprezach co wieczór bywać, że do pracy to już w ogóle o ósmej rano trzeba wstawać, no to generalnie lepiej wrócić do domciu. Tatusz we mgle to nowy model „męskości”. Nie odróżnia wiertła od wykałaczkki, bo wiertarkę widział tylko na reklamach Castoramy. Zająca, owszem, oprawi, ale nie ze skóry, tylko w ramki. Jeśli chodzi o patroszenie ryb, to potrafi tylko zamówić filet w smażalni. W kuchni trafia tylko po piwo w lodówce. Domu nawet z klocków lego nie zbuduje, pracę na budowie kojarzy, owszem, z serialu *Alternatywy 4*. W aucie nie umie zmienić wycieraczki – o zmianie opony w mroźny dzień nawet nie wspominam, bo przecież chłopiec we mgle zawsze może zadzwonić po pomoc drogową. Którą to okaże się żona. Do żłobka ojciec we mgle dziecka nie zapisze, bo musiałby pamiętać, że termin zapisów się zbliża, a kalendarz ojciec we mgle ma wypełniony koncertami, degustacjami, wyjazdami (zawsze znajdzie się wolne miejsce u znajomej w samochodzie) masażami kręgosłupa i terapią duchową.

Samodzielnymi i dobrze wykształconymi mężczyznami można spotkać w Oksfordzie albo

w Bombaju. Trudno zatem się dziwić, że Polki rodzą w Anglii albo że jeżdżą na wakacje do Indii. To nie jest tak, że straszne z nas materialistki. My i bezrobotnego możemy pokochać. To naprawdę może być super, gdy kobieta wraca zmęczona po pracy swoim nowym lexusem, a w domu czeka z kolacją ojciec rodziny. Zrobił krem z ekologicznej marchwi, odrobił z córką całkowanie i uczą się wspólnie *Reduty Ordony*. Tylko że jakoś taki model nie cieszy samych tatusiów. Badania wskazują, że Polak bez pracy staje się frustratem, który cały czas obiecuje sobie, że będzie pracował, ale im bardziej sobie obiecuje, tym bardziej nic mu nie wychodzi. Albo staje się kloszardem, albo popada w depresję i łykając xanax, czyta Wojaczka. Albo leczy się u terapeuty, aż go nie stać na sesje i ląduje w klinice neurologii przy ulicy Sobieskiego. Nieczytający piwosz w depresji z długami pozna piękną zaradną Polkę chętną do założenia rodziny? Bezdomny tatuś we mgle oferuje swoje rozedrgane wnętrze zamiast ładnego czteropokojowego wnętrza z widokiem na garaż? Hełoł. Polki są rozsądne. Na takie anonse nie odpowiadamy.

Mając takich niedorozwiniętych życiowo kandydatów na ojców, trudno się dziwić, że wiele z nas idealizuje Ojca. Czasem nawet ojca Rydzyka.

Kryzysowy mąż

Dziś studniówki odbywają się w hotelach i restauracjach, ale w minionym stuleciu organizowaliśmy takowe w naszych szkołach. Istniała instytucja dyskoteki szkolnej. Sale gimnastyczne ze skrzypiącą klepką stanowiły taneczny parkiet. Ubrania i torebki wieszano na drabinkach do ćwiczeń. Pod ścianami stały ławki, na których siadywaliśmy po odtańczeniu morderczych twistów czy innych płaśów. Szczęśliwcy gasili pragnienie napojem Ptyś, a nie jakimś red bullami. Ptysia zero, rzecz jasna, nie było, bo Ptyś składał się wyłącznie z cukru. W późnych latach osiemdziesiątych na dyskotekach podskakiwaliśmy z rękoma wyprostowanymi wzdłuż tułowia w rytm wspaniałych przebojów grupy Lady Pank. Śpiewano między innymi piosenkę *Kryzysowa narzeczona*, której tekst, jak przystało na ponadczasowy klasyk, po dwudziestu latach pasuje idealnie do rzeczywistości Tuskolandu i Eurolandu. Cytuję nieudolnie z pamięci: „Mogłaś być już na dzień, a nie byłaś”, potem coś tam, coś tam i zwrotka pod koniec: „Mogłaś moją być kryzysową narzeczoną / pomalutku żyć / tak jak nam tuznaczono”. Tekst dwuznaczny – czy chodzi o wybryki heroinistyczne w stylu Morrisona, czy raczej o kryzys peerelowski? Chyba o jedno i drugie. Dziś rzeczownik „kryzys” zastępujemy tajemniczo i bardziej giełdowo brzmiącym rzeczownikiem „recesja”. Recesja jest smuklejsza, bardziej dekoracyjna, bo bliższa secesji. „Trend boczny” brzmi jak skok w bok, a nie jak „bieda”. Recesyjna narzeczona jest dziś poszukiwana w desperacji przez wypalonych, umęczonych czterdziestolatków. Uściślając, to poszukiwanym dziś towarem nie jest kryzysowa narzeczona, ale... kryzysowa żona. Dwudziestolatek, który do niedawna harcował na koncertach Lady Pank, przeobraził się potem w prężnego przedsiębiorcę. O kryzysie nie było mowy, a dyskoteki szkolne studenci zamienili na klabing i *lounge* oraz na wymarzone służbowe beemki. Awanse w kolejnych firmach, otwieranie własnej, potem nawet kilku firm jednocześnie, nie tylko w Kielcach, ale i w stolicy, a nawet w Londynie. Kto by wtedy miał czas na słuchanie mamusi i babci dopytujących: – Kochanie, czy spotkałeś już jakąś miłą dziewczynę? Dziewczyny, owszem, były na pęczki. W każdym mieście, w którym pan biznesmen zatrzymywał się służbowo, czekały Madzie, Beatki i Agatki. Piękne, zadbane singielki z własnymi chatami. Kto by myślał o stabilizacji. Biznesmen jadał tylko na mieście, trzysta dni w roku spędzał w podróży, zbierał tysiące darmowych mil lotniczych, których nie miał czasu wykorzystać. Mieszkał w hotelach, żona była mu niepotrzebna. Najwięksi fajterzy byli zbyt zajęci, by kupować domy. Kto miał czas na takie duperele jak moszczenie się czy wybieranie mebli. Rodzice, co prawda, przebąkali coś o wnukach, ale i tak byli zachwyceni, gdy synus na Gwiazdkę kupił im toyotę. I tak w świeżo wykrochmalonej hotelowej pościeli, wśród ulubionych gadżetów i kanałów porno z hotelowej kablówki, w cieniu palm Tajlandii minęła następna dekada.

Kto by pomyślał. Madzie, Beatki i Agatki w międzyczasie powychodziły za mąż. Mają dzieci, mieszkania, lekko obciachowe, ale własne, splecone seaty i hondy. Podstarzały trzydziestolatek, początkujący czterdziestolatek ze zgrozą się orientuje, że musi wyprowadzić się z kupionego na kredyt domu, bo nie stać go na spłatę. Nie może spać w hotelu, bo firmy nie stać. Albo – bo mu już głupio. Bo nie ma sił wychodzić na kolejną kolację na mieście. Albo po dziesięciu latach jedzenia w knajpach marzy, śni po nocach o tym, że siedzi z mądrą, ciepłą, okej, może być nawet lekko pucatą i pomarszczoną, ale jego własną kobietą na kanapie. I jedzą domowej roboty cokolwiek. Mogą być kanapki, może być jakże mało trendy schabowy z kapustą. Zgroza, panowie, zgroza! Po drodze spółki rozsypały się, przyjaciele oszukali was w interesach. Komornicy pukają do was, bo czas spłacać własne długi i kredyty. W Londynie wasz biznes przejęli Chińczycy. Na pocieszenie przydałoby się kogoś przytulić. A tu – a kuku.

Samotne powroty do pustej kawalerki w ciemnym spacerniaku zamkniętego osiedla ze smętnym skalniakiem i pękającymi ścianami. Szybkie budownictwo początku millennium rozkleja się, sypią się sufity. Na pocieszenie przydałaby się żona, która pewnie byłaby rozsądniejsza w interesach. Żona, która by nie prała pieniędzy, a jedynie skarpetki dzieci. Oj, dzieci by się przydały. Jak się nie ma dobrej roboty, to przynajmniej można dzień zapełnić, wożąc synka do przedszkola. Ciszę ponurych poranków wypełniałby tupot małych stóp, a tak to pozostają wspomnienia, kiedy to przy kawie domykałeś intratne transakcje. Wakacje to już prawdziwy kryzys. Tych paru przyjaciół, których masz, jeździ na wczasy z żonami. Okazuje się, że żona to niegłupi wynalazek. Nagle żony kolegów lśnią blaskiem jutrzeńki. Madzia skacze na kajcie, Kasia rozkręciła studio graficzne, Jarek z żoną wygrali w Wenecji europejski puchar w tenisowym mikście oldboyów. Okazuje się, że osiemnastoletnia córka kolegi zarobiła krocie na własnej firmie w sieci. Z młodziutkami studentkami nie masz o czym gadać. Zresztą jesteś dziś na nie zbyt słaby psychicznie. Cóż, może w necie złowisz jakąś wyzwoloną rozwódkę, może być nawet z dwójką dzieci. W necie łatwiej ukryć początki łysienia plackowatego i fakt, że cały twój dorobek to rozkładana kanapa i odkupione od firmy auto, które pali jak smok. Może znajdą się jakieś chętne? Dziewczyna musiałaby rzeczywiście mieć jakiś słabszy dzień, żeby wpakować się w taki kryzys.

Złota rączka

Ostatnio podczas pewnej domówki przy winie gospodyni obniżyła konspiracyjnie głos i szepnęła mi do ucha: „Widzisz tego faceta w zielonych sztruksach na balkonie?”. „Czy to ten lekko brzuchaty sapiący typ, który ma tak słabą kondycję, że z trzeciego piętra na dół jeździ windą?”, upewniłam się. „Tak, to Marian. Moja złota rączka”. Zmartwiałam niczym mucha w bursztynie. Koleżanka zawsze sypiała z anorektycznymi androginicznymi typami bez włosów na kłacie, bez ramion i tyłka. A tu nagle taki pączuś z piwskim? „Nie chodzi o seks. Marian jest złotą rączką w sensie dosłownym. Polecam ci. Ostatnio założył mi rolety na pilota. Zdarzało mi się zasnąć po winku w łóżku, nie zasłonić rolet i potem rano, na kacu, miałam za widno. Marian wie o mnie wszystko. Mam nadzieję, że nie wypapla mężowi. Seks pozamałżeński uprawiam z ogrodnikiem, ale tylko raz w roku, w maju, gdy przycinam gałęzie. Muszę z tym skończyć zresztą, bo ogrodnik strasznie się posunął przez ostatni rok. Pewnie przez te powodzie i susze”. Jakie kobiece sekrety zna Marian złota rączka? Otóż zrobił koleżance tajny schowek w pewnym meblu. Na kluczyk. Tam koleżanka trzyma biżuterię schowaną przed mężem. Kupuje ją sobie sama, bo mniej więcej trzy lata od fali pierwszego łóżkowego szaleństwa luby przestał kupować jej biżuterię. Wiadomo. Ona nie wymaga od niego świecidełek, w sumie skąpy nie jest, rachunki opłaca, wakacje też. Dlatego sama sobie kupuje. Mają wspólny rachunek, ona ma drugi własny rachunek, a oprócz tego jeszcze trzeci, taki nieformalny. Z kartą kredytową. Z niego kupuje sobie wszystko to, co lubego wyprowadziłoby z równowagi. Płaszcz za tysiąc euro. Artdeowska broszka. Zegarek busola nie wiadomo po co. Bransoletki, kolczyki. Luby i tak nie zauważa, co ma w uszach. Aparatu Leica schować nie mogła, musiała się przyznać. Awantura była, mimo że kupiła za swoje pieniądze. A jak on sobie sprawił motorówkę, z której korzysta dwa razy w roku, to ona siedziała cicho. Dobrze jest mieć coś własnego, z czego nie musi się spowiadać. Poza tym, jakby, nie daj Boże, coś ich rozdzieliło, to świecidełka zostaną na pewno z nią. W przyszłości może córce zapisze? Architekci wewnątrz też wiedzą o kobietach niepokojąco dużo. Czy łóżko zamawiamy wąskie, czy szerokie? Czy ogląda pani filmy w sypialni? Czy mamy robić drugą umywalkę dla niego? Nie? Może na później. Partnerki architektów to na pewno kobiety bardzo silne, pewne swej wartości. Wszak ich mężowie spędzają z klientkami wiele godzin, rozmawiając o przyszłości. Jakie zasłony do sypialni? Czy w gabinecie woli pani siedzieć na fotelu kręconym? Będzie pani za chłodno w ręce, jeśli zrobi pani sobie szklane biurko. Na pewno tylko dwa pokoje dziecięce? Wszystko może się zdarzyć... Kobiety są na co dzień tak umęczone pracą, studiami, rodziną, walką z przeciwnościami losu, że architekt, który słucha ich potrzeb, jest czuły na sprawy związane z estetyką, odróżnia amarant od rózu, jeździ z nimi do marketów budowlanych, wyręcza w rozmowach z nietrzeźwymi podwykonawcami – nagle ten architekt urasta do rangi rycerza na białym koniu. Spełnia zachcianki. Zamrażarka na dole zamiast na górze. Czy nie zechciałaby pani sypiać przy otwartym balkonie? Proponuję pani moskitierę. Z architektem można się w dodatku niebywale żyć, gdyż budowy ciągną się miesiącami. Znam to z autopsji. Kiedy remont mojego mieszkania po roku wreszcie się skończył i architekt przyszedł na odbiór, nie mogłam uwierzyć, że to nasze ostatnie spotkanie. W laptopie miałam prawie sto mejli naszej korespondencji z minionego roku. Znamy wspólnie każdy milimetr tego mieszkania, bywaliśmy tu właściwie zawsze razem. I co? I co będzie ze mną? On tak po prostu skończył zlecenie i wraca na jedną z kilkunastu innych budów? Teraz, gdy pierwsze zauroczenie przeobraziło się w przywiązanie? Architekt nie zamieszka z nami? Dzwoni jego komórka. Słyszę kobiecy głos. Żona? Nie, gorzej. Inna klientka. „Tak, pani Paulino. Za jakieś pół godziny podjadę, bo kończę spotkanie na budowie”. Architekt wewnątrz wie o twojej dziewczynie bardzo dużo, choć ona jest dla niego tylko budową. Najgroźniejsi są oczywiście mecenasi. Jeśli chcesz poznać tajemnice

kochanki, prześpij się najpierw z jej mecenasem. Czy uwzględniła cię w testamencie? Czy ma lewe interesy? Informatyk też jest kopalnią tajemnic. Mam koleżankę, która regularnie czyści domowy komputer, bo nie chce, aby chłopak widział, że zdarza jej się często serfować po serwisach randkowych. Złota rączka, architekt i mecenas są gorsi niż ginekolog. Ginekolog zna twoją dziewczynę na wylot, ale nie wie, jakie plany chodzą jej po głowie. Czy była karana za posiadanie dragów? Czy planuje przenieść firmę na Cypr? Czy kupiła kawalerkę na mieście? A może utrzymuje jakiegoś biednego artystę w Paryżu? To nie przypadek, że wiele pań zleca robotę panom, a nie paniom. Teoretycznie złota rączka mógłby być kobietką z wiertarą, mecenas – mecenaszką, a architekt – architektką. Jednak kobiety marzą o mężczyźnie opiekuńczym. O rycerzu spełniającym zachcianki. Jeden mąż nie nadąży za tymi potrzebami. Panie po prostu muszą zatrudniać pomoc domową. Minimum trzy różne umowy zlecenia w roku. Czasami bardzo stałe zlecenia.

Dobra jakość

„Mężczyźni są jak dzieci, dojrzewają dużo później niż kobiety”, ten frazes zapewne słyszeli Państwo nieraz. Z uwielbieniem powtarzają go kobiety, które tym samym podkreślają swoją wyższość ewolucyjną, światłość, tolerancję i usprawiedliwiają zdręczenie się, jakim jest opieka nad zdziecinniałym beztróskim dziadkiem piernikiem. Gdyby nie dojrzałość kobiet, to mężczyźni wciąż siedzieliby na drzewach i walili się nawzajem patykami po głowach. Tymczasem kobiety są dojrzałe emocjonalnie jak gruszki w kompocie, akceptują swe role społeczne i są grzeczne. Infantylni, niedorozwinięci mężczyźni wyprawiają swawole, mają humory, udają, że nie mają dzieci, śpią do południa, kupują sobie broń śrutową do zabawy w strzelanie do rzutek, zamiast zakasać rękawy i mokrą szmatą mieszkanie na mokro przelecieć. Moim zdaniem frazes ten wymaga delikatnej adiustacji: „Mężczyźni są jak dzieci, dojrzewają dużo później niż kobiety i mają rację”. Czyż mężczyzna młody nie góruje nad mężczyzną starym? Nie trzeba być Witoldem Gombrowiczem, by widok efeba o bujnych lokach uznać za wartość samą w sobie. Dlatego gorzki smak trzydziestych czwartych urodzin słodziła mi wizja swawolnych zabaw z młodszymi mężczyznami. Wyobrażałam sobie wiek balzakowski oraz pozostałe pięćdziesiąt lat (kobiety żyją dziś długo) usłane młodymi bożkami, galopującymi ogierami. Zamiast iść w ślady Małgorzaty z Bułhakowa, zamienię starego, umartwionego, wymiętoszonego mistrza na męską lolitę. Jako sędziwa hedonistyczna trzydziestka będę zabierać go po wykładach moim używanym audi quattro. Podczas jego egzaminu licencjackiego będę wysyłać mu podpowiedzi na iPod. W weekend mój ogier porwie mnie w transowy taniec na pulsującym od beatu i świateł parkiecie klubu Fabric w Londynie.

Jego spodnie będą młodzieżowo dyndać nisko, a wystająca spod nich guma od bokserów Calvina Kleina rozpali moje starcze zmysły. Rano kudłaty efeb wmasowywać mi będzie masło czekoladowe w brzuszku, a ja z wielką chęcią napiszę mu magisterkę o poezji e.e. cummingsa. Inną od napisanych przez jego kolegów z roku, którzy używali wyłącznie narzędzi, takich jak *copy and paste* oraz Wikipedii. Będziemy z różnych światów, ale komu to przeszkadza, przetrzucimy most zwodzony nad szczeliną międzypokoleniową. Ja zagram mu „koncerty popołudniowe, pełne bezmózgów w służbie porządkowej” z poźółkłej płyty Kultu, a on z uczucia do mnie nauczy się pisać ręcznie. Tak będzie sączyć się nasza sielanka, aż mi się znudzi, znuży lub wysiądą mi korzonki i wtedy wyślę go na studia za granicę, gdzie koleżka zadurzy się w księżniczce z Senegalu. Ja zaś odświeżona wrócę do pomnażania zysków w zaniedbanej firmie i kompletnie zaskoczę współników tym, że w wieku trzydziestu pięciu lat biorę urlop macierzyński.

Moje mrzonki satyryczne brutalnie przerwał pewien lekarz urolog, którego poznałam w przedziale pociągu relacji Poznań–Warszawa. Jechał z żoną, panią ginekolog, i rozmowa między nimi zesłała na intrygujący temat punkcji jąder. Zastrzygłam uszami. Zostałam poinformowana, że około 30 procent niepłodności to wina mężczyzn i że choć media mało o tym mówią, w ciągu pięćdziesięciu lat dramatycznie spadła jakość nasienia. Gabinety leczenia niepłodności są oblegane, Europa się starzeje. „Wie pani oczywiście, że to jest też kwestia dobrej antykoncepcji i zwlekania z decyzją o rodzeniu dzieci. My zaliczaliśmy ciągle wpadki, moja pierwsza córka jest z wpadki – tłumaczył mi pięćdziesięcioletni pan doktor. – Ale mimo wszystko jakość nasienia spadła do mizernych 20 mln plemników na mililitr. Dawniej bywało ich 200 milionów”. Serce mi załomotało, plany na przyszłość legły w gruzach. Oto młode ogierki okazały się niewarte funta kłaków. Drogie Panie, czyżby należało skupić się na pięknie antyków,

a nie na świeżych błyskotkach? Jakie przewagi nad młodymi mają ich dużo starsi koledzy, zaczęłam przewartościowywać. Starzy chodzą po górach, zamiast ślęczeć przed konsolą do gier komputerowych. Co prawda nie gotują według Jamiego Olivera, nie odróżnią blanszowania od duszenia, ale za to w ogóle nie wchodzą do kuchni. To też ma swoje zalety, na przykład więcej czasu dla nas, bo mniej spędzają na targu ekologicznym. Starszy mężczyzna jest gotowy stać pod naszym balkonem, być zazdrosnym nawet o krawca czy rozmowy przez telefon („Kto cię tak rozśmiesza, z kim tak długo rozmawiałaś?”). Tymczasem młody z rozcieńczonym nasieniem jest tak tolerancyjny, daje partnerce tyle wolności, że smycz już dawno się zerwała, a on nawet nie zauważył. Wprost uwielbia, gdy wychodzisz na mecz siatkówki z kolegami z biura, bo wtedy on ma czas na swoje pasje. Starszy mężczyzna nie ma przyjaciółek, tego w jego czasach nie praktykowano. Młody mężczyzna zaś ma tuzin psiapsiółek, w tym trzy dawne narzeczone z liceum, w tym jedna jest światowej sławy fotografką, a drugiej rodzice kupili apartament w Nowym Jorku. Starszy mężczyzna być może zachowuje się niepoprawnie politycznie, próbując zasłonić ceny w menu w restauracji lub wręcz zamawia w imieniu „swojej kobiety”. Ale za to nie jest gadzeczniarzem. Kupuje Ci bransoletkę, a nie sobie busolę do nurkowania.

Cóż, starszemu nieudolnie idzie obróbka Twoich zdjęć w najnowszym Photoshopie, ale za to Twoje zdjęcie nosi w portfelu. Starszy mężczyzna nie dba o siebie, ma brzuszek i zestaw różnych nałogów. Pachnie tytoniem i swetrem z molami. Ale może lepsze to niż młody impotent wydepilowany, wyprofilowany, używający pięciu szczoteczek do zębów, różnych kształtów, który nie pachnie w ogóle? Starszy mężczyzna może na emeryturze zostać młodym ojcem, idąc w ślady Saula Bellowa, albowiem „starość musi się wyszumieć”, jak mawia Andrzej Poniedziałki. Tylko że młody facet nie tylko nie czytał Bobkowskiego, nie słuchał Kaczmarek, ale w dodatku bujnych plonów nie zasieje, bo jest ewolucyjnym wrakiem człowieka! Czyli nie warto jednak starego mistrza wymieniać na efeba. Tylko oby ten stary mistrz nie spieszył się z dojrzewaniem. Widziałam ostatnio szyld: www.uzywanejaknowe.pl. Wróżę piękne plony tym, którzy postawili na ten biznes. To na pewno płodna inwestycja.

Doświadczona dziewica

Każda kobieta i dziewczyna, którą znacie, ma więcej tak zwanych byłych, niż się Państwu wydaje. Więcej nawet, niż wyliczyła w najszczerzej rozmowie na trzeźwo czy na rauszu. Podejrzewam, że dotyczy to również panów. Każdy mężczyzna spał z większą armią panienek, niż zeznaje w zwierzeniach przy świecy. No, może nie z armią, ale plutonik by się mu zebrał. Dokładne statystyki przemilcza się, szczególnie w gronie najlepszych kumpli. Panowie nie chwalać się swymi najciekawszymi „osiągnięciami” sypialnianymi. Wszak obecna narzeczona kumpla to mógł być właśnie jakiś kolorowy epizodzik sylwestrowy sprzed kilku lat. Zasada niedoszacowania erotycznego dotyczy również gejów i lesbijek, ludzi zdrowych i chorych, wierzących i niewierzących. Tak, zdarzają się w naszej ojczyźnie dwudziestopięcioletnie dziewice damskie i męskie, ale są to równie rzadkie okazy jak kwadratowe pomidory czy nieawaryjne alfy romeo. Teoria niedoszacowania erotycznego nie została dotąd opublikowana w annałach psychologii współczesnej z tego oto powodu, że sami psychologowie wstydzą się przyznać, iż dwukrotnie spali z pacjentami, a stosunek z bliźniaczkami na „sandwicza” to marzenie, które wreszcie, piętnaście lat po maturze, udało im się zrealizować. To, że prawie wszyscy ludzie myślą co innego, a mówią coś innego, mnie nie dziwi. Hipokryzja zdaje się być częścią naszej natury tak jak to, że mamy piąty palec u dłoni i stóp. Ludzie pozbawieni hipokryzji to mutanci. Jednak dziennikarze oraz politycy ponoszą odpowiedzialność za słowa i dlatego denerwują mnie pełne hipokryzji głosy świętoszków z tych środowisk. Świętoszków, którzy co kilka miesięcy załamani i oburzeni mówią o nastolatkach, o zgrozo, „mających swój pierwszy raz za sobą” i od pół wieku prowadzą jałowe dyskusje o lekcjach seksu w szkole. Drogie panie i panowie, czy was naprawdę oburza i szokuje fakt, że piętnastolatek ma to już za sobą? Na nic zdały się przeczytane przez was stopy lektur Nabokowa, Vargasa Llosy, Musila. Na nic własne wspomnienia ze szkoły, z kolonii, z namiotów podczas spływu Krutynią, z wyjazdu na truskawki do Norwegii. Mamy wierzyć, że w tamtych malinowych chruśniakach ci, co dziś czerwienią się nad moralizatorskimi artykułami, kładli się wieczorem do łóżka z rączkami na kołderce, a wolny czas spędzali na rozwiązywaniu sudoku i grze w szachy? Część dziennikarzy rzekomo tak straszy czytelników seksualną deprawacją młodzieży, aby efektywnie wpłynąć na specjalistów od edukacji szkolnej. Ale czy jest kogo straszyć? Czy naprawdę wierzycie w to, że specjaliści od edukacji seksualnej, wychowawcy, docenci, profesorowie są w szoku, że nastolatki mają już swój pierwszy raz za sobą? Przecież wychowawczynie nastolatków to często mamusie chowające nastoletnie córki. Czterdziestoletnie mamusie te często przeżywają właśnie trzecie przebudzenie wiosny. Najpierw sypiały z kolegami z liceum, potem z kolegami na studiach, potem przerwa na męża, teraz czas na młodszych kochanków. Obserwują, jak potargane córki wracają „z korepetycji” lub w wieku 17 lat wyprowadzają się do kawalerki z „narzeczonym”.

To nie przygodny seks dziś zdumiewa, ale konsekwencja w monogamii. Dziennikarze i politycy najpierw chcieli rozluźnienia konwenansów i wyzwolenia kobiet, a teraz płaczą nad brakiem dziewic. Dziennikarze, którym marzy się celibat młodzieży do 18. roku życia, lamentują, że młodzi uczą się seksu w Internecie. Śmiem zauważyć, że ich rodzice z ferworem godnym trzynastolatków też rzucili się w odmęty sieci. Przeczytałam niedawno w amerykańskiej prasie, że 40 procent mężczyzn flirtuje przez Internet. Randkuje, zdradza stałą partnerkę, ogląda pornograficzne strony. Czy kogoś to dziwi? To przecież darmowy, łatwo dostępny „Playboy” – kiedyś nieosiągalny, wymarzony, drogi, miętoszony przez kilku kolegów (i koleżanki), chowany pod materacem, a być może nawet wyciągany spod materaca ojca. To darmowe życie (nie tylko erotyczne) równoległe. Za darmo można swobodnie sypiać w realu i wirtualu jednocześnie. Uczą

się seksu przez Internet. Do diaska! Uczą się wszystkiego innego przez Internet. Geografii, historii sztuki, czytania, układania puzzli i lego. Młodzi ludzie robią inne zaskakujące rzeczy pierwszy raz przed 15. rokiem życia. Wielu z nich ma pierwszą płatną pracę za sobą. Pierwszy własny program komputerowy. Niektórzy nawet zakładają swój pierwszy biznes albo mają na koncie pierwszą wygraną w turnieju rangi ATP, bo od piątego roku życia mamusia katowała ich na korcie. Mają nagrany całkiem fajny krótki film fabularny na aparacie Nikon D90. Swój wokalny debiut na YouTube, który obejrzały tysiące ludzi na naszej planecie. Zamiast biadolić nad upadkiem moralnym młodzieży, lepiej pogadać o tym, czy seks w sieci może istnieć razem z seksem w realu – tak jak e-booki i książki na papierze. Czy jeden zastąpi drugi, jakie są zalety, jakie wady. Debiutanci są coraz młodszy. Spójrzmy na dobre strony – będą mieli większy dorobek erotyczny pod koniec życia. Szczególnie że wiek emerytalny się wydłuża!

Wytrzymałość

Życie towarzyskie i uczuciowe kończy się wraz z powiciem dzieciątka. Taka jest opinia wielu rodziców, którzy straszą nią przyszłe pokolenia rodziców. Pamiętam, że gdy byłam ciężarówką w siódmym miesiącu, to liczni „życzliwi” najpierw mi gratulowali, a potem na odchodnym dorzucali: „Korzystaj, póki możesz, bo jak się zacznie, to się wszystko zmieni”. „Jak się zacznie” oznaczało, że zacznie się koniec. Katastrofa. Bobas potwór wyssie z matki mleko, z ojca energię i libido, a życie dwojga rodzicieli obróci w więzienie. Moje mieszkanie stanie się celą, z której na plac zabaw, czyli spacerniak wypełniony zaplamionymi, wrzeszczącymi wampirami energetycznymi wolno będzie wyjść raz dziennie. Podtrzymywana w katatonicznym stanie na lekach antydepresyjnych dzień w dzień wieść będę monotonną egzystencją sprowadzającą się do karmienia, ubierania, sprzątanania, robienia papek. Gdzieś w oddali miasto będzie żyło, ludzkość słuchać będzie premier operowych, emeryci chadzać na wykłady uniwersytetu trzeciego wieku, gdzieś jakiś przyjemny Romeo będzie czekał na dole, młodzi będą tańczyć w rytm nowych sampli, bezdzietne poetki limerykować w kawiarniach krakowskich, a nieodpowiedzialni tatusiowie przepijać alimenty bądź przeznaczać je na zakup snowboardu. A ja już będę tylko wspominać mą młodość durną i jurną. Telefony przyjaciół wykasuję z bazy danych, a oni zapomną, kim byłam. Seks? Jaki seks? Nikt się z taką wśród pościeli poniewierać nie będzie. Jestem odporna na życliwość ludzi, więc specjalnie mnie te „porady”, pytania: „Nie przeraża cię, że już koniec z randkami?”, i apokaliptyczne scenariusze nie wytrąciły z równowagi. Zdziwiło mnie jednak gloryfikowanie randkowania. W tej sferze od czasu podstawówki nie zasypiam gruszek w popiele, ale jest to działalność niesłuchanie męcząca. Czyż randki nie są czasem potworną udręką? Kilka koszmarnych utkwilo mi w pamięci. Pewien mieszkaniec Trójmiasta, wtedy jeszcze student prawa, zaprosił mnie na kolację do przytulnej knajpki w Sopocie. Prawnicy od dziecka robią na mnie kolosalne wrażenie, gdyż potrafią zawsze sięgać do odpowiedniego segregatora bądź teczki i wyłowić z nich dokładnie ten kwit, o który chodziło. Taki rodzaj zorganizowania imponuje mi szalenie i jestem natychmiast pełna entuzjazmu, jeśli idzie o tak zwane stanięcie do aktu. Mecenas nadszedł punktualnie, ładnie witając się ze mną. Zamówiłam sobie dwie przekąski, danie główne, wino. Przyszła kolej, by mój randkowiec powiedział kelnerce, na co ma ochotę. – „Czy jest może cola light? – Niestety, nie mamy. Jest tylko zwykła. – Aha, to ja poproszę herbatę. I czy jest może słodzik?”. Młodzieniec okazał się na diecie. Tak twierdził, choć podpytywałam się go, czy aby nie martwi się o finanse. „Spokojnie, jestem wypłacalna, nie szukam sponsora”. Zajadałam po kolei cielęcinę w sosie tuńczykowym, warzywa z grilla, a on przez cały wieczór opowiadał mi, jak ciężko walczy o to, by utrzymać linię. Jakie diety są zdrowe, jak skuteczne jest picie samego kefiru przez cały tydzień itp. Liczyłam na jakieś wspaniałe opowieści o prawie rzymskim, ale prawie zepsułam sobie apetyt, gdy randkowiec przeszedł do opowieści o tym, że raka można pokonać brokułami. Na koniec orzekł, że jego największym marzeniem jest „wbicie się w rozmiar *small*”. Ja jestem rozmiaru *small*, ale nie chciałam, aby mecenas się we mnie wbijał. Liczyłam, że jego marzenia są rozmiaru *large*, więc uciekłam, płacąc za jego herbatkę i słodzik. Najgorsza randka, na którą trafiłam, była w Bostonie. Z bostońskim kolegą już zdążyłam się nieco poznać, sympatycznie nam się gaworzyło w stołówce i pokojach akademickich. Tymczasem kolega zaprosił mnie do siebie do rodzinnego domu. Dom był jak z baśni Disneya – wielki, brązowy, na górze wśród ogrodu. Stare bostońskie pieniądze. Był dzień, rodzice zapewne w pracy i kolega chciał chyba tę sytuację wykorzystać, bo nie pozwolił mi posiedzieć w salonie, lecz z impetem popędzał na pięterko do jego pokoju, w którym oczywiście stało łóżko. Idealnie zasłane. Kolega bardzo był przystojny, prymus, słowem, czemu nie? Wtem zerknęłam na sufit, na którym był przyczepiony

gigantyczny proporzec z godłem uczelni i hasłami drużyny futbolowej, w której to grał z wielkim zapalem. Wolę sportowców, nawet niezdolnych, od kanapowych niezguł, ale hasła na proporcju mnie usztywniły: wytrzymałość, długodystansowość, ciężka praca, krew, pot i zakwasy, dążenie do celu. Dalszych przykazań nie pamiętam. Perspektywa takich łózkowych zmagają zniechęciła mnie i oddałam ten seks walkowerem. Moja sypialniana wytrzymałość mogłaby nie być na miarę maratońskich oczekiwań tego zawodnika. Poleciałam go koleżance wioślance, która lubiła wstawać codziennie o piątej rano, by trenować, zanim zajęcia się rozpoczną. Wioślarki są gotowe wytrzymać wszystko, nawet taki seks. Wczoraj znajomy gej opowiadał mi z kolei o swojej randce. „Ty to masz dobrze, masz dziecko i wymówkę, aby nie wychodzić. Ja wczoraj byłem na randce z facetem z Internetu. Umówiliśmy się w Wedlu, on wszedł opalony, bo wrócił z Włoch. I od razu zaczął opowiadać. Słuchaj, te Włochy to kupa gruzu, jakieś ruiny, cieszę się, że już jestem. Czy chciałabyś być z kimś, dla kogo Włochy to kupa gruzu?”. Życie przed dzieckiem może być jeszcze większym nieszczęściem niż po dziecku, ale o tym tak zwani życzliwi jakoś nie pamiętają.

Wyścigi bękartów

– Rany, o rany! Jak ja w szkole chciałam być bękartem, opowiada Hania z uśmiechem na ustach. Tak nie cierpiałam ojca, że wszystkim nauczycielkom i koleżankom z klasy opowiadałam, że na pewno jestem podrzutkiem, zamienionym w szpitalu. No, choćby sierotą. Matka musiała iść do szkoły i prostować, że urodziłam się w domu na stole w kuchni. Ech, być tak jak ty, bękartem, sama radość.

Nieźle jesteś pokręcona, Haniu. Że niby my, bękartem, to żyjemy kolorowo? Wyścigi bękartów sobie urządzamy, a ty z nami chcesz sobie poszaleć za kierownicą? Otóż wkoło było niewesoło. Zazdrościliśmy – tylko oczywiście na odwrót. Tobie. Ech. Być z normalnej rodziny. Matka od rana z chochlą, ojciec z gazetą. Najlepiej wojskowy, jak u ciebie. Jak masz trójcę z matmy, to wrzeszczy, a matka, zasłaniając cię przed wojskowym pasem, stara się udobruchać sytuację. „No już dobrze, przestań się Jerzyk tak denerwować, przecież nasza mała za to ślicznie rysuje”. Matki rola to dobruchanie. Wszystkie wojny domowe udobruchać, pioruny na siebie brać, co tam, że włosy dęba stają, wypadają, a przy myciu to tak wychodzą, że aż wanna się zatyka. Chustkę się założy albo bejsbolówkę syna i siwizny, łysiny nie widać. Matka ziemia, matka przytuli, matka potem i ojca przytuli. Zmachał się przy tej awanturze, a wiadomo, że ciśnieniowiec. Co prawda ona też ma nerwicę, ale przecież matka nie beksa. Kobiety nie płaczą. Matka wie przecież, że mąż tak naprawdę to złoty człowiek jest i z córki dumny jak Churchill z cygara. A krzyki? To musiało być ekscytujące, takie afery jak w filmach! Porządny dom, to przecież kłótnie muszą być. Jak się raz na jakiś czas ojciec nie powydiera albo matka nie pokrzyczy, to znaczy, że zimnica emocjonalna. Chłód emocjonalny. Fuj! To na odległość białym małżeństwem śmierdzi. Sodomia i gomoria. Jak nie ma rzucania talerzami, to znaczy, że kobiecie na nim nie zależy, pewnie spełnia się z innym.

„Twoi starzy się rozstali. Ale ci zazdroścę. Dwa domy masz, a ja jeden i nie chce mi się do niego wracać”, wzdychał Kazio, gdy ze szkoły odbierał mnie tata. Chciałbym być z rozwiedzionej rodziny, to by się pani od chemii nade mną litowała, jęczał Kazio. No tak, moi się nie kłócili. Faktycznie słabo miałam. Moja matka nawet byle szarą ścierką mi nigdy dupska nie sprąła. Ścierki nigdy w rękę nie miała, bo fleja z niej taka była, że hej. Ludwika od Ludwika nie odróżniała. Znaczy niekobieca była, bo kurzu nie widziała. Nawet po gosposi nie chciało jej się poprawiać. Liście jesienne pod szafą z butami się walały. Nie widziałam ani razu, aby na ojca głos podniosła. Co to za para, bez sensu, bez krzyku, bez ślubu. Widywałam u ludzi fotografie ślubne. Niektóre tak stare, że aż pożółkłe. Welony do ziemi, głowa panny młodej opiera się o opiekuńcze ramię męża. Monidła nad łóżkiem. On sztywny z przerażenia, nie może uwierzyć w to, co przed chwilą powiedział. Ona ufna, różowa na policzkach, wreszcie kogoś złapała. Pamiętam, że jedni rodzice mieli fotografię ślubną w ramce na kominku postawioną, a wokół niej rozsypane suszone płatki róż. Jednak to na wakacjach zazdrość konsumowała mnie ze szczętem. Oto ja z matką i grupą towarzyszących jej wesołych, dowcipnych, koleżanek i kolegów. Malarka i kompozytor, do tego jakieś dorastające dziecko kompozytora z gitarą, jakaś siostrzenica ze Szwecji w obłędnych czerwonych zachodnich drewniakach, wlecemy parawan na plażę. Na pewno o czternastej będzie przerwa w plażowaniu na piwo i gofry. A tu mija nas sunąca powoli jezdnią zapiaszczoną przyczepa biała jak lody Bambino. Ojciec, matka i dwoje dzieci jak sardyńki podskakują w tym kubiku, gdzie przestrzeni tak mało, że jak jeden mapę rozłoży, to drugiego w czoło puknie. Ale mimo to zazdrość ssie. Rodzina w przyczepie. W komplecie. Dzieci nie na odległość, tylko cały czas w kokonie się kotłują.

Po latach z zazdrości wyrosłam. Jak z kapci. Od dwudziestu lat nie pamiętam uczucia zazdrości. Na studiach pewna dziewczyna z Wietnamu popełniła samobójstwo, powiesiła się w łazience, bo jej przyjaciółka (?) co roku na dyplomie miała ciut lepsze stopnie. Za to koleżanka Pikusińska z radia dwa lata po rozstaniu śledziła byłego męża. Na jakie strony internetowe zaglądała? Łaziła za nim, chowając się za drzewami. Pisała esemesy do niego, do jego kolejnych partnerek. Zapisła się na tenis w tym samym klubie. Gdy jego nowa kobieta zaszła w ciążę, to i ona próbowała zaciążyć. Żona kolegi Y chodziła za nim do biura. Sprawdzała, czy on w tym biurze jest, czy siedzi naprawdę do godziny 19. W końcu koledzy z pracy go wyrzucili, bo mieli jej dość. Uważała, że przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest niemożliwa, więc zakazała mu kontaktów ze mną i innymi koleżankami. Odezwał się po czterech latach. Rodzice cieszyli się, bo i rodzice byli według niej podejrzani, zatem odsunięci. Wszak utrzymywali stałe kontakty z jego środowiskiem. „Dlaczego ważniejszy był dla mnie głos żony, którą znałem pół roku od głosu moich przyjaciółek, które znałem ponad dekadę” – głośno myślał potem kolega Y, sącząc whisky na mojej czerwonej kanapie, którą pamiętał jeszcze sprzed swego ślubu. Żona sprawdzała mu karty w aparacie fotograficznym, czytała jego dziennik w komputerze, mejle, gdy szedł do łazienki, przeglądała jego telefon komórkowy. Opowieść Joli. „Będę cię sprawdzał wyrywkowo”, rzekł mąż. Oto siedzi Jola na działce ze swą starzejącą się matką. Dzwoni telefon komórkowy matki. To zięć mile się wita. Co u Pani słyhać, A dobrze wszystko. Siedzimy sobie z Jolą na działce. A u Pana? A dobrze, dobrze, jestem z kolegą na konferencji w Poznaniu. A to miło, pozdrawiam Poznań, matka mówi i się rozłącza. Jola pyta: „Kto dzwoni?”. „A mąż twój dzwonił”, matka wyjaśnia. „Ojej, to nie nacieszymy się sobą, bo on za dziesięć minut tu będzie”. „Nie, no co ty, on w Poznaniu”. Aż tu nagle pisk opon z za płotu. Na działce zjawia się mąż. „Blisko ten Poznań, prawda? A kuku! Jak to miło was moje panie zobaczyć. Prosecco przywiozłem!”. Jola uciekła najbliższym pekaesem do Wołomina. „Tajemnica korespondencji jest święta, nigdy nie przeczytałbym mejli mojej kobiety, nawet gdybym czuł, że mnie zdradza – mówi kolega Z. – Nie możesz zmusić kobiety do tego, by z tobą była”. „A ja bym nie przeczytała, bo i tak to nic nie zmieni. Przecież jeśli ktoś ma mnie rzucić albo zdradzić, to i tak to zrobi. Co ma być, to będzie, po co marnować siły na zazdrość. Owszem, lecz nie zzujesz jej tak łatwo jak uwierającego buta”.

Szekspir głupio zrobił, dając swej sztuce tytuł *Otello*. Czyniąc tak, zrobił z niego bohatera, a tymczasem Otello to biedne zalęknione stworzonko, które potrzebuje pomocy. Nim zadusi siebie.

Żona idealna

Żoną idealną jest wdowa. – Henryk był cudowny, szalenie mi imponował. Pamiętam, jak go spotkałam: stał w kulisach teatru w kaszmirowym kardiganie, telewizyjne snopy reflektorów wydobywały jego postać z czerni, a drobinki kurzu tworzyły nad nim aureolę. Byłam wtedy inspicjentką, dorabiałam sobie jako doktorantka na muzykologii. Mimo że był już wtedy wielką gwiazdą, denerwował się przed każdym występem, nerwowo macał po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki, zawsze pocił się, wiesz, wiolonczela to fizyczna harówka. Jego koszule po koncercie mogłam dosłownie wyzymać. Oczywiście, Henryk był dżentelmenem, nie myśl Agata, że wymagał ode mnie prania i prasowania koszul! – Ależ skąd, Bożenko, na pewno robiłaś to z miłości, jako taki sympatyczny przerywnik między twoją pracą a gotowaniem, każda kobieta lubi wtulać się w garderobę męża, gdy mąż tego nie widzi. – Agata, wyobraź sobie, że zanim się poznaliśmy, prasowała dla niego służba, ale w trasie koncertowej to Henryk potrafił sam sobie prasować.

O swym zmarłym przed trzydziestu laty mężu Bożena opowiada, jakby widziała go wczoraj. Są razem na dobre i na złe, aż do śmierci nic ich nie rozłączyło, a po jego śmierci złączyło chwytem czulego buldoga. Mąż stał się dla niej jak powietrze, oddycha nim, są nierozłączni. Niegdyś widywali się w przerwach w pracy albo podczas wyjazdów, a teraz on jej nie opuszcza. Wdowa spędza z mężem więcej czasu niż żona, bo o jego sprawach myśli teraz za dwoje. Czy mąż chciałby takiego pomnika? „Mąż lubił te ręczniki, będę się nimi wycierała, mimo że są przetarte i siepią się na całej połaci frotté”. Wdowa stała się prymuską, oto krnąbrność i niezależność, chęć stawiania na swoim, kobieca próżność – wszystko to wyparowało wraz ze śmiercią małżonka. Jako wdowa nie jest już męczennicą, nie musi tłumaczyć się na przyjęciu, że przysłała sama, ani stać w cieniu męża. Każdy ją zna. Wyjaśnia muzykologom niewyraźnie napisane akordy, splawia tępych magistrantów, upomina wydawców, darowuje drobiazgi do Europejskiego Centrum Muzyki. Gdy państwo żyło i współżyło – kłócili się. Bywało, że pani X ostentacyjnie pakowała walizki, a pan Y, krzycząc: „Muszę się przewietrzyć!”, wychodził z domu. Odkąd pochowała Henryka na jego ulubionym cmentarzyku mazurskim, kłótnie ucichły. Żaden wydawca, córka czy brat nie będzie idealnym strażnikiem pamięci kompozytora, bo oni nie budzili się z nim codziennie rano, nie wiedzieli, że Henio lubił jajko gotowane, nie cierpiał tapet w smoki, tylko w pagody, panicznie bał się paradontozę. Żaden brat czy reżyser operowy nie robił Heniowi zastrzyków, nie szykował inhalacji przeciw astmie i nie wysłuchiwał zażaleń ciężarnych kochanek.

Poza tym i tak wiadomo, że żony zawsze mają rację. Mężczyźni są tak naprawdę niesprawni życiowo, bezradni jak mali chłopcy. Facet jest w stanie skupić się tylko na jednej rzeczy. Albo firma, albo dzieci. – Trudno, aby mój Michałek obracał miliardami na rynkach od Korei Południowej po Radzymin i miał jeszcze spamiętać, o czym Kubuś pisze magisterkę – wyjaśnia mi Jadzia, parkując ich starego jaguara. – Mój Michaś potrafił zbudować ciąg technologiczny do budowy urządzeń medycznych, łowił ryby z helikoptera z Putinem, ale w papierach w domu miał kompletny burdel. Kiedyś wysłałam go po chleb na śniadanie, to wyobraź sobie, że wrócił z gazetą, ale bez chleba. Wszyscy wiedzieli o jego pasji marynistycznej, ale czy ty wiesz, że on nigdy nie zdał na sternika jachtowego? Pytasz, kto cumował naszą Królową Neptunicę? Oczywiście, że ja. Czy ty wiesz, że minęło dwadzieścia lat, a ja musiałam zmienić skład zarządu, bo te chciwe krwiopijce knuły sprzedaż udziałów! Żona z czułością wróci do starych zapisków męża, poprowadzi firmę w kierunku, o którym wielokrotnie rozmawiali przy

kolacji, rozsądnie spali niepotrzebne kwity. Najlepiej być żoną ostatnią. To ona odpieczętuje testament, to przy niej geniusz wypowie ostatnie słowa i potem będzie mogła ładnie je zredagować. Mąż starzec to mąż mędrzec, który zrozumiał, że oto ta żona ostatnia jest sensem jego życia. Idealna wdowa musi mieć na męża monopol. Inaczej wkradnie się bałagan, rozszarpia biedaka. Stary mąż wie, że na rozsypane po świecie wnuki nie ma co liczyć, a przyjaciele pomarli. Na świecie ma tylko jedyną swoją Bożenkę. I choć za życia z Bożenki drwiono, że to infantylne zwierzątko jest, że pazerna na fortunę, to teraz, gdy wreszcie Henio umarł, Bożenkę wyświęcono na dziewicę. Mija okres żałoby. Niektóre wdowy poszukują następcy, lecz po okresie prób i błędów orientują się, że choć było cymbalistów wielu, żaden nie grał równie cudnie jak mąż nieboszczyk. Starą panną już dawno nie są, rozwódką były, singielką nie będą. Osiągnęły status prestiżu. Panowie, jeśli macie chwilowe kłopoty z żoną, pocieszę was. Wystarczy, jeśli pomrzecie. Żony się wtedy poprawią, a wszystko, co wyrwało im się w afekcie, odkręcą.

Moja przyszła ex

Stary, ja już nie chcę w życiu wiązać się z żadną kobietą. To ostatnie, co mi jest teraz potrzebne. Dziecko odchowane, o popatrz, wrzuciłem go sobie na tapetę, to z balu maturalnego. Ma chłopak stylówę, co? Bidulek tę kozią bródkę to miesiącami hodował, a grzywkę na żel pół godziny układa. Jak ostatnio ten mój Gucio u mnie nocował, to zauważyłem, że on lampi się w lustro na tę swoją gębę mocniej niż na obecną dziewczynę. Nie wiem, jak ona się mieści w tym jego kadrze, bo Gucia ego ramy rozsadza. Dziwne, bo znasz mnie, prawda, ja to skromny, nieśmiały zawsze byłem, a on miłość własną od rana do rana uprawia. Po matce pewnie. Ależ się na te jego korepetycje z matematyki naharowałem, majątek chłopie, najpierw chesne za szkołę, a w szkole babka nie potrafi tłumaczyć. I jeszcze dodatkowo po lekcjach na korki dreptał. W każdym razie dobrze ci radzę, nie zakochuj się, chyba że przed wakacjami. Sam się na Zanzibarze zanudzisz. W tym wieku, ja już znam te historie. Po co ja mam się znów w jakąś kobitę wrabiać, denerwować, szkoda życia. Miłość życia, wielkie plany, kartony z rzeczami do niej albo ona do mnie, a telewizor, a fikus benjaminek, a wszystkie kije do golfa, a winyle. Tylko rzecz zaczniesz wrzucać, to taka testami ciężowymi opajęcza cię, a taskać to znów po mieszkaniach po rozstaniu?

Niechże policzę: zaczynałem na Chomiczówce, z tą no, jak to jej było, Jadzią, przy przystanku na ulicy Conrada, pamiętasz? Od tego czasu miało mnie do centrum, na Mokotów, ooo tam blisko na korty miałem. Potem mordowałem się na Zacisze, te domki, te hurtownie skarpet, pamiętasz, bo tej Agnieszce pasowało blisko firmy; ja już mógłbym agentem nieruchomości być, bo spałem wszędzie, w sumie tylko na nowym osiedlu Miasteczko Wilanów nie sypiałem. Co mówisz? Aha „w osiedlu a nie na osiedlu, nie no, co ty, naprawdę?”. „Na stołówce, w stołówce”. Racja, racja. Na stole to lubiła się kochać ta moja Karolcia. Czy ty wiesz, że ona teraz urodziła dwójkę dzieci temu platfusowi Arturkowi? Niezły gość, dobrze trafiła, spec od budowania SPA. Dzięki Karolci już dwa razy darmowo masowałem się na Wzgórzach Dylewskich i w Świeradowie. W każdym razie już nigdy z żadną kobietą, choćby kurwa tyłeczek jak Justyna Kowalczyk miała, nie zamieszkać. Wszystkie wampirzyce na zawsze na amen, a najlepiej ślub by brały. Czy ich matki nie dopieszczały, czy co, każda by chciała, żebym ją adoptował. A potem jazdy się zaczynają: „Dlaczego nie odbierasz. Dlaczego jedziesz na narty z kolegą a mnie nie bierzecie? Co ty robisz na tym zdjęciu z Halinką? To niby z pracy ta slitfocia? Koleżanka z liceum? No chyba żartujesz ty fagasie, dziesięć lat młodsza? To ty tyle razy zimowałeś? Czy ty wiesz, że jedna moja była próbowała na mnie wymusić, żebym zdjął ze ściany fotografię malutkiego Gucia z matką Gucia? Taki brak szacunku dla Marioli? Moja była to moja rodzina. Moja przeszłość. Zołza próbowała plakat w tym miejscu na ścianie przykleić. Panicznie boję się teraz, żeby żadna kobieta u mnie na dłużej się nie załęgła. Niedawno taka jedna koleżanka metodą „na reklamówkę” próbowała. Też to znasz? He he. Dobrze. Że niby najpierw szczoteczkę I piżamkę w reklamówce na półeczce w łazieneczce położy. A za cztery dni patrzę, a ona drugą reklamówkę kładzie I leciutko moje rzeczy z basicowej kolekcji Beckhama zresztą przesuwa, żeby swoją, kur... reklamówkę wcisnąć ze stanikiem i T-shirtem. Metoda małych reklamówek. Nie dałem się zwieść, z jednej reklamówki zaraz kapcie z pomponem mogą jej wyrosnąć.

Poza tym, po co mi kobieta, jeśli ja mam, stary, takie genialne ex. Cały wianuszek od Gocławia po Górę Kalwarię i z powrotem z opłotkami. Karolcia została gwiazdą chirurgii twarzowo-szczękowej, docent pełną gębą, duma mnie rozpięra, zresztą ona leczy mnie od lat,

ósemki moje wyrwała obie na raz bez śliwy pod okiem. Te jej dłonie są obłądne. Czy oddała te ósemki? Nie, pozwoliłem jej zatrzymać. No moja była żona, to wiesz, nawet ostatnio na narty mnie wzięli, lubię tego jej nowego starego, że hej. A ta imprezowa Agusia wyrosła na panią reżyser, jeżdżę z nią czasem na spektakle do Avignon, bo ona to raz kogoś ma, a raz nie, zależy czy pije, czy sucha. No owszem, jazdy z nią były, pamiętasz, jak ją na detoks gdzieś tam za Łomżę wieźliśmy? Teraz dopiero po latach od rozstania te moje ex tak naprawdę doceniam. Napięć nie ma, awantur nie ma, wyrzutów żadne mi nie robią, zazdrosne nie są, bo mają mężów albo tak jak Agusia – wianuszek adoratorów – a mi to nawet pasuje w wianuszku być, bo się odpowiedzialność rozkłada. Każdy facet się nią trochę poopiekuje, ale wiesz tak z doskoku, a nie że ja coś muszę.

Muszę to ja w pracy być. I dzieckiem się zająć, a jak mi kobita mówi, że coś muszę, to od razu osaczony się czuję. Ja to jak mydło jestem, wiesz? Nieee, nie taki pachnący. Taki śliski. Jak mnie babka dociska, nie daj Bóg, wyrzuty mi robi albo krytykuje tym kastrującym głosem, albo pasywno-agresywny teatrzyk odstawia, wzdychając znacząco: „No dobrze, to idź sam”, albo oczy wielkie i tekst zapoda: „O, czyżbyś odświeżył z nią kontakty? Znów gracie w brydzyka?”, to ja się pienie. I wyślizguję.

No więc spotkałem ostatnio taką dziewczynę na domówce u znajomych. Nie, nie znasz ich, z Paryża, Hoffmanowie, znajomi mojego francuskiego szefa. Ona w konkurencji pracuje, radczyni prawna, niezła sucz, ci powiem, klienci ponoć z wdzięczności bukietami ją masują. No i bum. Zachorowałem na nią. Od wczoraj wysłałem jej już piętnaście esemesów. Co mówisz? Że koszty? Nie, nie spoks, ze służbowego.

No i tak myślę, że może zerwę z nią, zanim ją poznam. Przecież mam takie dobre kontakty ze swoimi ex. To będzie moja przyszła ex. Pożar w sypialni. I bezpieczeństwo na zakręcie. Już się cieszę na to płomienne rozstanie. Poproszę żeby mnie zaraz rzuciła. Najlepiej na łóżko.

Mężczyzna w lufciku,
czyli z życia myślicielki



Ja nie myślę. Czynność tę od wieków deleguję innym. Sama nie mam predyspozycji do myślenia. Ani czasu, bo gdy tylko zamyślę się, skutki są tragiczne. Zapomnę synowi dać kanapkę do szkoły, albo opłacić ZUS, albo gdzie zaparkowałam auto, albo spisać licznik elektryczny. Los rzucił mnie za to wewnątrz szczęśliwej konstelacji wybitnych ludzi, do których o każdej porze dnia mogę zadzwonić z pytaniem, czym się różni netto od brutto albo co to jest altembas, albo na czym polega teoria Friedricha Hayka o pierwszeństwie prawa przed prawodawstwem. Wszystkie moje przyjaciółki są genialne, a ja niczym wampirka żywię się ich energią. Koledzy też, ale ich nie chwale, bo robią to codziennie ich mamusie, żony i psychofanki.

Gorąco polecam

Globalne ocieplenie działa już pełną parą. Przez okna mego laboratorium obserwuję pierwsze, być może nieodwracalne zmiany w faunie. Ani meteoryt, ani kometa z rozwianym ogonem nie uderzyły w ziemię, a mimo to z polskiej populacji zniknął gatunek zwany krytykiem. Na jego miejscu kwitnie i rozmnaża się z łapczywością królika gatunek zwany polecaczem i doradcą. Każda stacja radiowa poleca w programie kulturalnym wydarzenia, których nie możemy ominąć, każda gazeta codzienna poleca kolejne restauracje, w których wypada rezerwować stolik wśród kalmarów i schabowych. Odnosi się wrażenie, że wszystko, co nas otacza, jest dobre i warte grzechu. Kiedyś spytałam zaprzyjaźnioną dziennikarkę radiową, co sądzi o polecanych w jej audycji spektaklach teatralnym. „Podobno dobry. Są różne zdania”. Jak to podobno, to ty go nie widziałaś? Nie widziała, ale poleca. Tyle się dzieje, media pędzą, nie nadąża. Specjaliści od zakupów polecają nam nabycie piętnastej lampy z plastiku i czapki z papieru prosto z Japonii. Polecacz osobisty, czyli profesjonalny *shopper*, bo taki gatunek też się pojawił, zawsze poleca na odwrót. Jeśli przyjdiesz w dzinsach, powie: „Ojej, ile można chodzić w dzinsach, włóż coś kobiecego i zwiewnego”. Jeżeli przyjmiesz go w pastelowych tiulach: „Ojej, falbanki są dla dzidzi piernik, polecam pani germański minimalizm Jil Sander”. Byle wcisnąć coś nowego, coś polecić. Jednej sprawy tylko nie rozumiem: jeśli każdy film otrzymuje co najmniej trzy gwiazdki, jeśli każda wokalistka jazzowa jest „niezwykła”, jeśli każde wydarzenie jest „wyjątkowe”, nowy ciuch ciekawszy od starego, każdy klub nocny ma „dobrą muzę”, a aparat ma „wszystkie opcje”, to czego należy unikać? Co stało się z ludźmi, którzy zionęli żółcią, z krytykami, których sadystyczne pióro było w stanie zrujnować losy nowego musicalu? Pragnę, by mego, i tak niezbyt wygórowanego, poziomu umysłowego bronił zastęp nieustraszonych recenzentów, bo nie chcę czytać i oglądać rzeczy, które mnie ogłupiają i na które marnuję czas! Pragnę, by recenzenci byli bardziej kąśliwi niż wąż kobra i kompensowali sobie jakieś grube nieszczęścia z dzieciństwa (niski wzrost, kulfoniasty nos, odmowę przyjęcia do Akademii Teatralnej), wycinając w pień rzesze debiutujących reżyserów, operatorów, muzyków i poetów. Czy w moim pokoleniu każdy recenzent sprzedaje się niedrogo? Wystarczy zaprosić go na darmowe parę dni podczas Festiwalu Filmów w Gdyni, stępić zmysły trunkami na proszonych bankietach, wcisnąć materiały promocyjne z gotowymi dziennikarskimi formułkami i na drugi dzień prasa pełna jest identycznych, nader pochlebnych recenzji? Zamiast pisać prawdę, na przykład, że polskie kino jest od lat beznadziejnie nudne i pretensjonalne, że cierpi na brak scenariuszy, a efektem tego marazmu jest wciskanie Bogu ducha winnym widzom jeszcze mniej zabawnego i finezyjnego kina offowego! Czy współczesny recenzent jest wazeliniarzem? Boi się otwarcie wygarnąć mistrzom kina, że robią filmy, na które nikt nie chodzi? Nie wypada mistrzom robić przykrości. Restauracje pełne odgrzewanych w mikrofali dań, najtańszych produktów z supermarketu, brudnego zaplecza i niedouczzonej obsługi poleca się jako warte odwiedzenia. Czy jadają w nich po prostu polecacze, którzy lubią za darmo zjeść? Wcisną się nam płyty wokalistek, które nie rozumieją ani słowa z tego, co śpiewają, a nominuje się je do nagród. Czy nagle wszyscy krytycy zachorowali na empatię? Tak im przykro za mizериę w polskim kinie i przemyśle fonograficznym, że chwytają się wszystkiego, co nie jest druzgoczaco złe? W końcu jakieś nagrody trzeba rozdać, prawda? A czy nie lepiej zrezygnować z gali? Nie, bo biznes musi się kręcić. Część z nas urodziła się w czasach, gdy nie było żadnych książek do wyboru. Wszyscy czytali *Winnetou* bądź *Anię z Zielonego Wzgórza*, a potem rzucali się na nowości z serii Nike jak na wołowe bez kości. Nic innego nie wydawano. Na pokazach filmów Tarkowskiego było tłoczno (w zamkniętym dziś kinie Tęcza), bo nic innego o tej porze akurat nie grano. Dziś wybór jest tak wielki, otacza nas taka masa bodźców, że tym bardziej potrzebna jest armia krytyków,

która ochroni nas przed tandetą, przed chłamek i przed... naszym wrodzonym łakomstwem. Nasze łakomstwo jest wiecznie podsycane, a czyż rolą mediów jest bez wytchnienia wieść nas na pokuszenie? Zapytałam znajomego redaktora naczelnego, dlaczego mamy taki stan rzeczy. Czy naród polski wywiózł krytyków w kibitkach gdzieś na Syberię? „Chodzi o to, że powinniśmy ludziom pomagać, ludzie chcą porady”. Ale czyż napisanie prawdy o filmie, że jest zły, i podanie argumentacji, dlaczego tak jest, nie jest formą pomocy? Istnieje szansa, że reżyser następnego filmu zrobi lepszy albo zajmie się inną pracą, a publiczność nie straci pieniędzy na bilet. „Ale zła recenzja niesie negatywną energię, niedobrze jest siać negatywną energię”, argumentował naczelny. Niedobrze? Ależ cudownie jest oglądać, jak ktoś kogoś masakruje.

Zamiast wyostrzać nasz zmysł krytyczny, usypia się naszą czujność, tworząc wrażenie, że wszystko jest piękne, zdolne i cudowne. Trudno się dziwić, że niektórzy z nas w ucieczce przed zalewem znakomitych produktów lądują... u pustelników bądź w klasztorach. Ja zaś z braku krytyków opracowałam prywatny system przetrwania w zalewie gorąco polecanych nowości. Od kilku lat czytam i oglądam tylko klasykę. Co do bieżącej produkcji, poczekam dwie dekady. Zobaczymy, co z nich zostanie. Które rewelacje sezonu odłożą się w czasie równie dobrze jak *The Police*, Ewa Bem, *Absolwent* i *Panny z Wilka*? Gorąco polecam tę metodę, mając nadzieję, że klimat znów się ochłodzi i wrócą bestialscy krytycy, by rozszarpać kilka aktoreczek na strzępy.

Felieton ten napisałam siedem lat temu. Temat jest niestety nadal aktualny. Świetny felietonista i pisarz Krzysztof Varga zajął się nim w tym roku w tekście *Śmierć krytyka, czyli czas entuzjastek*: „Krytyk literacki złożył już czas temu abdykację czy też został przez media oddalony niczym niechciana konkubina”, pisze Varga.

Zwraca on uwagę na to, że ludzie bardziej liczą się z opinią internetowych „entuzjastek” niż krytyków erudyków. Zastanawiam się, dlaczego tak się stało. Powodów jest wiele, nie jest to miejsce na medioznawcze i kulturowe analizy. Ważny powód pojawił się w ciągu ostatnich kilku lat – hejting. Sama padam jego ofiarą. Każdy powód jest dobry, by internauci felietonistę bądź krytyka zhejtowali. A to stara, a to brzydka, a to pijaczka, puszczańska, nudziara, święta, prawiczkowata czy bezdzietna. Matki krytykują inne matki. Mowa nienawiści w sieci nie jest w Polsce karana. Wielu krytyków po prostu się boi. To nie są czasy Słonimskiego, który mógł się wyzłościwić, z reguły celnie, słusznie i dowcipnie, ryzykując co najwyżej, że reżyser czy pisarz popęlni polemikę w magazynie literackim. Ja forów hejterskich w ogóle nie czytam. Nigdy. Na żaden temat. Jednak wiem, że są autorzy z cienką skórą. Boją się potem wyjść w real. Może kibole ich napadną albo psychofanki obrzucą pomidorami po tym, jak dany autor miał czelność skrytykować dzieło Katarzyny Grocholi czy Szczepana Twardocha. Wielu recenzentów lubi być w luksusowym hotelu na festiwalu literackim jurorem. Albo filmowym jurorem. Żonę się zabierze, darmowy basen dla córeczki dostanie. Albo darmowe książki przyślą, albo karnety do teatru... Tymczasem specjaliści od pijaru godzinami czytają kozaczki, pudelki, plejadki i plotki i z list gości VIP skreślają wybitnych erudyków. Sieją negatywną energię, a ta się źle sprzedaje. Trudno być krytykiem permanentnie nieszczerym. A szczerzy ryzykuje dziś utratą pracy. I życiem.

Hejnał

Najlepszym programem w polskich mediach jest hejnał mariacki. Program ten nadawany jest codziennie, punktualnie o godzinie dwunastej w Programie Pierwszym Polskiego Radia. Pomysł transmitowania na żywo z Krakowa melodii granej przez strażaka na trąbce ma 75 lat, o rok mniej niż Polskie Radio. Hejnał mariacki jest Polskiego Radia symbolem.

Wszystko w tym wydarzeniu medialnym, jak to się dziś mawia, jest udane, a największą jego zaletą jest to, że na te dźwięki liczyć możemy zawsze, że ta radiowa tradycja towarzyszy nam, słuchaczom, nieprzerwanie, często od urodzenia. Codziennie mamy tę pewność, iż jeśli włączymy Jedynekę, usłyszymy odliczanie zegara, a zaraz potem prężne kroki strażaka przechodzącego od jednego okna wieży kościoła Mariackiego do drugiego. Załatwiamy sprawy w ponurym biurze, obsługuje nas jędzowata urzędniczka, a wtem gdzieś z dalekich pokoi biurowych dociera do nas charakterystyczna melodia hejnału. Jak pięknie! Świat się nie zawali, Kraków jeszcze stoi, radio żyje, jutro też jest dzień. Inna sytuacja: stoję w korku, jadę do pracy, stres, spaliny, nerwowo włączam radio. Wszędzie muzyka z playlisty, paplający bzdury didżeje, transowy łomot muzyki dubbingowej już od przedpołudnia, dwuminutowe audycje o niczym, namolne reklamy, amerykańskie nudziareczki lansują popowe hity sezonu oparte na trzech dźwiękach i tekście obrażającym inteligencję ameby. O odmóżdżających pytaniach konkursowych nie mówmy. I nagle ulga. Przerzucamy się na nieśmiertelną Jedynekę i kojący minimalizm hejnału.

Reformy, elastyczność, otwartość na nowe trendy na pewno wszystkim służą, łaszenie się we własnym sosie prowadzi do stetryczalej geriatrici. Jednak magiczne słowa „nowość” i „zmiana” niekoniecznie oznaczają jakość. Nowy format, nowe Delicje, nowe Ptasie Mleczko, nowy jazz, nowy model volvo, nowy lifting twarzy, zmiana formuły, zmiana layoutu. Słowo „nowy” sprzeda wszystko. Nowość i oczywiście towarzysząca jej młodość, owszem, łapią, chwytają, wciągają naszą uwagę, ale co z tego? Skoro po chwili ta nowość tonie, nie utrzymuje się na powierzchni, jest za miarka, by stworzyć tradycję. Często coś nowego bezpowrotnie wypiera coś starego. Ewolucja ma swoje prawa, nie będziemy wiecznie słuchać walczyków Straussa. Tylko coraz częściej dzieje się tak, że to stare było dużo lepsze. Poza tym zdążyliśmy się do tego starego przyzwyczaić. Wszak nie sama, skądinąd piękna, melodia hejnału nas wzrusza i napawa swego rodzaju dumą (legenda Krakowa, ostoja patriotyzmu, bla, bla, bla), ale fakt, że rozpoznajemy tę melodię i że możemy liczyć na ciągłość jej istnienia. Program Pierwszy Polskiego Radia może jest trochę zramolały, ale nie bez powodu ma największą słuchalność w Polsce.

Kilka lat temu przeprowadzałam remont mieszkania. Zatrudniłam ekipę fachowców, przychodzę sprawdzić, jak postępują prace, a tu widzę, że robotnicy wynoszą moje meble do wielkiego kontenera ze śmieciami. Jakiś zachlapany farbą dryblas w spodniach od dresu pomyka z moją biedermeierowską komódką na plecach i widzę, że ewidentnie obrał azymut na śmietnik. Co więcej, ze śmietnika krzyczy już do mnie przywalona abażurem biblioteczka po babci Marii (tej, która zawsze podawała na obiad rozgotowany kalafior). Zanurkowałam na ratunek. Robotnicy uznali, iż odnawianie mieszkania oznacza wyrzucenie wszystkich starych gratów: zardzewiałe umywalkowe baterie poszły na złom łącznie z meblami rodzinnymi. Po co ludziom te stare graty, skoro jest tyle wspaniałych designerskich projektów dostosowanych do współczesnego stylu życia. Jasne.

Chcąc nie chcąc, wszyscy jesteśmy w ruchu, z inicjatywy własnej lub cudzej – pisze profesor Zygmunt Bauman we wspaniałej książce *Globalizacja*. „Poruszamy się, nawet jeżeli fizycznie stoimy w miejscu: w świecie bezustannych zmian bezruch jest nierealny. Skutki, jakie pociąga za sobą ten nowy stan rzeczy, bywają diametralnie różne. Niektórzy z nas stają się ludźmi w pełni «globalnymi», podczas gdy inni tkwią w swej «lokalności», co w świecie, w którym ludzie globalni nadają ton i ustalają reguły gry, nie jest położeniem przyjemnym ani nawet znośnym”. Aspirując do bycia globalną, nie wyobrażam sobie życia bez poczucia choćby symbolicznego zakorzenienia. Gdy bujną roślinę przestawiamy w inne miejsce, często roślina więdnie. Dla wielu z nas źródłem poczucia lokalności są właśnie mniej lub bardziej poważne przyzwyczajenia. Do znajomych smaków, dźwięków, kawiarni, rodziny, specyficznego poczucia humoru, krajobrazu. Nie dajmy się wciąż formatować. Specjaliści od marketingu z Anglii niech zostawią nam trochę brzózek w krajobrazie, muzykę z *Powtórki z rozrywki* i temperament komentatorów sportowych wyszkolonych w szkole radiowej. *Piosenek na życzenie* niech nie przesuwają na „dogodniejszą” porę słuchalności, a Tatr nie formatują na Alpy. Niech hejnał nie leci z playlisty, a strażak niech zawsze będzie prężny. I punktualny. I z akustyczną trąbką. Bo jak ja tam im do Anglii przyjadę i przeformatuję Szekspira na Kraszewskiego, a dwupiętrowe autobusy na nasze tramwaje, to mogą się zdziwić.

Wstyd, czyli srom

Sześćdziesiąta rocznica śmierci Roberta Musila, austriackiego pisarza, skłania do rozmyślań na temat edukacji seksualnej. Ha, ha, już się pewnie przestraszyliście, że będę się wymądrzać i przynudzać na temat „człowieka bez właściwości”, monumentalnej kobyły, powieści prekursorskiej, której żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie doczytał do końca, chyba że jest lordem albo bezrobotnym i nie wie, co zrobić z czasem. Ależ zdaję sobie sprawę, że poruszanie tematów intelektualnych jest dziś w mediach surowo zabronione. Audycje o książkach nadawane są w TVP w porach dogodnych tylko dla nietoperzy i samotnych feministek (w końcu nietoperze i feministki to też ssaki), a w radiowej Trójce są bardziej zakazane niż mlaskanie podczas nagrania w studiu. Świadoma trendów, ciszą grobową milczę o literaturze. Za to seks w mediach sprzedaje się jak świeże bułeczki. Do dzieła.

Motywy homoseksualne, sadystyczne, biczowanie nagiego kolegi na strychu w szkolnym internacie, bywanie u prostytutki, „momentów” w powieści *Niepokoje wychowanka Torlessa* jest bez liku. Ci z Państwa, którzy liznęli Musila, pamiętają zapewne, iż opisane w książce perwersyjne zachowania wychowanków konwiktu to nie jakieś monotonne biczowanko i koniec. To pomysłowy miłosny kwadrat. O ile dobrze pamiętam, jedna ze scen wyglądała tak: koleżka Basini, goły i niewesoły, klęczy, jęczy i przeprosza, wrażliwiec i myśliciel Torless sobie patrzy, Reiting chłoczcze, a Beineberg filozofuje. Z okazji 60. rocznicy śmierci Musila tak sobie myślę o tym, czy aby polska szkoła i uniwersytet dobrze wyedukowały nas seksualnie. Zajęcia z edukacji seksualnej są dziś w szkołach nieobowiązkowe. Prowadzone są często przez przypadkowe, nieprzygotowane osoby, czasem dzieci podlegają katolickiej indoktrynacji, gdyż zajęcia prowadzi na przykład ksiądz. W mediach mówi się o AIDS, trwa kampania przeciw seksualnemu molestowaniu w pracy, w parafiach, przeciw pedofilii, tylko skąd mamy dokładnie wiedzieć, co to wszystko znaczy? Który dotyk jest zły? Czy nastolatki znają choćby nazwy wszystkich części swojego ciała?

Większość moich znajomych pamięta, że w szkole nie mówiono o seksie w ogóle, że trochę anatomii nauczyli się na biologii, czasem z którymś z nas rodzic w domu „odbył ważną rozmowę”. Przeważnie przed wyjazdem dziecka na obóz. I tyle. Aż tu nagle córusia zachodzi w niechcianą ciążę i wszyscy w domu chodzą zasępieni przez dwa dni, a potem udają zachwyconych, godząc się z losem. Niedawno na spacerze w parku zauważyłam dwie mamy. Przed nimi, siedząc na trawie, bawiły się ich pociechy w wieku przedszkolnym. Nagle jeden chłopczyk przestał interesować się swoim kolegą, za to zaczął bardzo interesować się swoim penisem ukrytym pod rajtuzami. Zapewne poznawał go, tak jak to robią nawet młodsze dzieci, kiedy bawią się na przykład swoimi stopami. Matka poderwała się z ławki, chwyciła go za rękę i uderzyła w nią, krzycząc: „Fe, co ty robisz!”. Masturbacja jest brudna i zła.

Człowiek jest istotą seksualną od narodzin do śmierci. Podobno nawet noworodki mają erekcję, nie wiem, bo nie mam noworodka, a sama byłam noworodkiem bezpenisowym i dawno. Pewien przyjaciel powiedział mi, że jako syn aktorki wychował się za kulisami, a tam było tyle świntuszenia, że szybko o wszystkim się dowiedział. Drugi wspomniał, że w szkole pewnego dnia do klasy wtargnęła jakaś kobieta z monstrualnym plastikowym przezroczystym penisem i objaśniła, jak się nazywają wszystkie żyły, potem wyszła na chwilę i wtaskała model gigantycznej waginy z gumowym sromem. Po tym jednorazowym pokazie do tematu nigdy nie wrócono. Pamiętam, jak w liceum amerykańskim mieliśmy lekcje poświęcone tolerancji

seksualnej, przychodzili homoseksualiści i lesbijki, rozmawiali z uczniami, mówiono też o gwałconych i bitych kobietach. Pierwszego dnia zajęć na Uniwersytecie Harvarda wszystkim studentom wręczono jedną książkę. Była to jedyna książka, którą dostaliśmy za darmo. Jej tytuł brzmiał: *Antykoncepcja*. Polski student jest doroślejszy, dojrzały od amerykańskiego. Polska studentka jest czysta, wstrzemięzliwa i żaden docent jej nie zbałamuci. To byłby sromotny występ. W liceum na lekcjach polskiego wątków erotycznych w lekturach nigdy nie omawiano. Przy okazji *Nad Niemnem* skupiano się na kurhanach i pozytywizmie, a że ogorzały Janek machający w polu widłami podniecał temperamentną dziewczynę Justysię bardziej niż obleśny morfinista, na to nikt nie zwracał uwagi.

Kiedyś, raczej z ciekawości niż z troski, zapytałam koleżankę, czy używa prezerwatyw, czy spirali, bo opowiedziała mi, że sypia z tym Krzysiem, w którym kocha się cała klasa. Zapytana wprost, splonęła rakiem, wzrok jej uciekł i oburzona jęknęła tylko: „Co ty!”. Bo on to umiał robić tak specjalnie. W czasach kiedy homoseksualiści walczą o prawa do adopcji, a w ciąży i porodzie uczestniczy niekiedy pięć osób (matka i ojciec, którzy wychowują dziecko, kobieta dawczyni komórki jajowej, mężczyzna dawca nasienia i zastępcza matka, która wynajęła swoją macicę), słynne legendy o dzieciach podrzucanych przez bociany chyba naprawdę nie wystarczają.

Regulamin

W pociągu PKP z mojego przedziału co pół godziny wychodzi jeden pan, po czym wraca, pachnąc papierosami. Po chwili wychodzi drugi pan i też wraca po kilku minutach, pachnąc papierosami. Dorośli panowie zaciągają się papieroskami, kryjąc się w toalecie PKP. Zabawne. Chociaż się znają, to wychodzą na zmianę, bo wstydzą się we dwóch zamykać w łazience. Co sobie ludzie pomyślą? Dwóch facetów razem zamkniętych w toalecie. Uzależnienie od papierosów jest mniej wstydliwe niż ciągoty homoseksualne. Gdy paliła nałogowo moja babcia Maria, to ja jako siedmiolatka wykradałam jej paczki papierosów marki Klubowe i spuszczałam z wodą toaletową. Oczywiście nic to nie dawało prócz napiętych stosunków z babcią. Babcia zresztą pomimo klubowych zagryzanych tłustymi kotletami dożyła późnej starości. Babcia nie dożyła na szczęście tego, że w polskich pociągach obowiązuje od pewnego czasu całkowity zakaz palenia, który to pasażerowie namiętnie łamią, paląc w toaletach. W samolotach nie omijają tegoż zakazu, gdyż są czujniki, a nawet groźne zapowiedzi stewardes o całkowitym zakazie palenia. Palacze w samolocie żują nikotynowe cukierki albo po prostu okazuje się, że osiem godzin bez papierosa da się jakoś przeżyć. Ale pociąg to co innego. Tu wszyscy przymykają oko na regulamin.

Kolejne miesiące mijają od katastrofy samolotu w Smoleńsku, a ja wciąż myślę o nieprzebrnięciu procedur. Komisje, skłócone rodziny, polityczne przepychanki wciąż trwają, ale czy sednem sprawy nie jest brak miłości do regulaminu i procedur? Czyż nie powinniśmy wszyscy, nie tylko wojskowi, wziąć udziału w terapii, która pomoże nam polubić procedury? Zamiast się cieszyć, że udało nam się przechrzyć los, czyż nie powinniśmy czerpać satysfakcji z perfekcyjności, z powtarzalności, z punktualności? Czy jesteśmy w stanie nie wyszydząć przewidywalności? Nie tylko w wojsku bohaterem jest ryzykant, a nie ten, który jest odpowiedzialny. Gdy na ryzykownych inwestycjach wygrywa ktoś miliony, to jest wtedy *news*. A drobny ciułacz swej autobiografii w telewizji biznesowej nie sprzedaje. Bezpieczne ciułanie gwarantuje mały, nudny zysk, malutki zyszczek. Śmiesznie jest, gdy koleżanka do swojego auta, które według instrukcji mieści trzy osoby, zapakuje po imprezie osób siedem. Ha, ha, ha, jeden jechał w bagażniku, piąty leżał na kolanach czwartego. O mały włos skończyliby, jak ci zrywacze jabłek pod Radomiem. Ich brak odpowiedzialności wielu usprawiedliwiało biedą. Nie stać ich było na większy wóz, na bilety itp. Winny jest system, za mało pomocnicze państwo. Jesteśmy skorzy do wybaczenia sobie błędów. Uwierzyliśmy psychologom, że poczucie winy jest niszczące. Skoro niedopatrzona setka osób złożyła się na jedną katastrofę, to przecież nie można pociągać do odpowiedzialności samych pilotów i dowódców. Poczucie winy i odpowiedzialność rozmyją się i już. Nie będziemy nikogo pouczać. Nie będziemy nikogo przywoływać do porządku. Porządek jest be. Kojarzy się z państwem totalitarnym. To najeżdźca narzucał nam reguły, które trzeba było łamać. Gdy w szkole kazano uczyć się rosyjskiego, nikt tego nie robił. Ale jak się tłumaczymy dziś? Bohaterem wciąż jest ten, który wylądował pomimo mgły. Czy polski mężczyzna (to wciąż panowie, a nie panie są sprawcami większości katastrof) jest aż tak niedopieczony, że ma aż takie ciśnienie, by się wykazać? Czy za mało chwalimy go na co dzień? A może na odwrót? Mamusia wciąż go chwaliła za byle co i ma biedak w dorosłym życiu ciągle niedosyt pochwał? Musi szpanować. Sami siebie nie potrafimy chwalić, więc zależy nam na opinii innych. Zamiast ufać sobie, na co dzień zamartwiamy się tym, co powiedzą o nas szefowa, kilkuset gości na fejsie, czytelnicy lub koledzy z wojska. Czyli decyzji nie podejmujemy samodzielnie – nie nadajemy się do wojska, lecz na grupową terapię. Czytam *Dzienniki z więzienia w Spandau Alberta Speera*. Autor to skazany na dwadzieścia lat ulubiony

architekt Hitlera, później mianowany ministrem uzbrojenia i amunicji. Stosunek do regulaminów i szefów to rzecz jasna temat powracający w tej książce, w której Speer, miejscami skutecznie niestety (jest czarujący: czyta Goethego, ślicznie szkicuje drzewa i domki) próbuje wciskać nam mit nieświadomego szlachetnego idealisty. Speer pisze o dyrektorze więzienia: „Sowiecki dyrektor pojawił się rzeczywiście, ale dopiero godzinę później. Pozdrowiłem go, jak tego wymaga regulamin. Kiedy w południe niosłem swój obiad do celi, zawołał za mną: «Numer pięć! Z powrotem! Nie pozdrowił mnie pan». Przypomniałem mu o moim pozdrowieniu w ogrodzie. «Musi mnie pan pozdrawiać za każdym razem, kiedy mnie pan widzi»”. Absurdalność, nieprzydatność regulaminów – z tego lubimy kpić. Za każdym razem – tego nie cierpimy. Stosujemy się do znaków drogowych, ale na Boga, nie za każdym razem. Wszak ograniczenie prędkości do 50 kilometrów na godzinę jest nieludzkie. Nawet totalitarny oprawca, jakim jest Speer, drwi z procedur. Myślę o chwilach, w których odstępuję od procedur. Dwa razy wiozłam syna w aucie bez fotelika. Myślę o decyzjach, które podjęłam, by przypodobać się innym (tu nie jest tak źle). Myślę o administratorze naszej wspólnoty, który nieregularnie zgarnia śnieg z dachu, licząc na to, że „pogoda się poprawi”. Moje postanowienie na najbliższy rok: polubić procedury. Zakazy, regulaminy, przepisy. To jest pyszne.

Do kąta

Do pisania o szkole podstawowej nie sprowokowała mnie nostalgia, lecz remont mieszkania. Pakując w kartony swój bałagan, zwany przez niektórych pedantów „domowym archiwum”, natknęłam się na stare zeszyty. Spojrzałam na to, czego mnie uczono, i zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem jeszcze funkcjonuję. Mam być efektywną i efektowną kobietą w społeczeństwie obywatelskim, a formowano mnie na bierną maszynę do powtarzania definicji za panią nauczycielką. W sumie bardziej cieszę się, niż żałuję, że skutecznie zapomniałam większość z tego, czego uczono mnie w szkole. Co parę miesięcy wraca hasło, że oświatę trzeba reformować, bo dzisiejsza szkoła nie przygotowuje nas do życia. A Państwa przygotowywała? Być może odnoszę mylne wrażenie, że to niemożliwe.

W połowie lat 80. uczono mnie kaligrafii. Być może szykowano nas na kontynuatorów chińskiej szkoły mistrzów, a odbiorcą naszych bohomazów miał być jakiś współczesny Tsung Ping? W tym czasie przeciętny dziesięcioletni Amerykanin (edukowany w uważanej przez nas, myślicieli z kraju Chopina i Miłosza, za podłą szkołę) dawno pisał już na komputerze metodą bezwzrokową! Interesuję się kaligrafią, niedawno odbyłam pielgrzymkę do skarbów sztuki wschodniej, które zebrane są w muzeach w Dahlem, ale czyż w mojej podstawówce kaligrafia nie mogła być zajęciem dodatkowym dla kółka plastycznego? Z pamięci podawaliśmy wszystkie dopływy Wisły, ilości wydobywanego węgla brunatnego, a na lekcjach fizyki zajmowaliśmy się równiami pochyłymi. W zeszytach widzę przepisywane z podręczników wierszyki – uczono nas kopiowania, a nie kreowania. Tymczasem w nas, uczniach, równolegle toczyło się prawdziwe życie, czyli emocje. Dopływy Wisły są istotne, ale to z powodu złej cery, tłustych włosów, dziesięciu kilo nadwagi, niemodnych adidasów człowiek gotowy był zapaść się pod ziemię. Z kolonii letnich zapamiętałam pewną przyszczatą koleżankę, która w nocy chodziła do łazienki, aby nakładać na twarz jakieś mikstury z cynku, w łóżku zaś pochlipywała z rozpacz. Uczucia i hormony zjeżdżające na nierówniach psychicznych powinny być w centrum każdego zajęć szkolnych. *Image is everything*, wygląd jest dziś najważniejszy, i to nie tylko dla „niedojrzałych” szóstoklasistów, ale i dla studentki, która wysyłając CV, zastanawia się, czy i jakie zdjęcie dołączyć. Ma znaczenie dla prezesa, który chce być „reprezentacyjny”, dla mężczyzny, który dobił pięćdziesiątki i walczy, by nie być dyskryminowany w biurze przez swego młodszego o dwadzieścia lat szefa. Może prócz teologa i psychologa, którzy spróbują wbić gimnazjaliście do głowy, że warto budować swe ego, nie tylko opierając się na urodzie, dobrze jednocześnie zafundować dzieciom zajęcia z dietytyki i stylizacji? Wizyty i porady Violi Śpiechowicz w szkołach cieszyłyby się wielkim zainteresowaniem. W podstawówce każdy z nas jest już po wielu przejściach erotyczno-towarzyskich, o czym nie chcą wiedzieć rodzice i udają, że nie wiedzą, opiekunowie szkolni. Jak przeżyć zawód miłosny i nie podciąć sobie żył? Z takim pytaniem w mojej podstawówce nie mogliśmy się zgłosić do pani wychowawczynie, gdyż jej miłością były matematyka i bursztyny. Rzekomo sielskie anielskie dzieciństwo to czas niepowodzeń miłosnych. W starszakach upokarza nas już pierwszy chłopak, który podoba nam się do tego stopnia, że same prosimy go tańca na balu przedszkolaków. Odrząca nas, woli tańczyć sam. W podstawówce zapomina się nam, dziewczynkom, powiedzieć, że warto nie robić z siebie ofiary i nauczyć się mówić „nie”. Latami śledził mnie kolega ze szkoły, który czał się za drzewami, wrywał tornister, bo chciał mi go nosić. Typak ten okropnie mnie brzydził fizycznie, ale ponieważ wychowywano nas na grzeczne dziewczynki, które nie kablują, to nie miał mi kto powiedzieć, że istnieje takie zjawisko jak stalking i powinno się z nim walczyć. Nikt z nami nie przerabiał na lekcjach przyrody czy wychowania obywatelskiego, jak dostać się do dobrej

drużyny hokejowej, jak umieć się sprzedać na rozmowie kwalifikacyjnej, jak przekupić bramkarza w klubie nocnym tylko dla osiemnastolatków, jak przepędzić nową kochankę ojca. A zresztą, po co mam gadać z ludźmi, jeśli mam iPod'a? Po co mi matura, jeśli mój internetowy sklep z gramami świetnie hula? Mój kumpel chce jeździć hummerem po Afganistanie, ja też chcę iść do wojska, zamiast być mięczakiem garniturowcem. Więc po co mam zapamiętywać poezję, jeśli ani razu nie widziałem, aby w domu czy w metrze ktoś to czytał? Po co mam wkuwać do testów, skoro wszystko mogę wygooglować w necie, łącznie z kodem do tekstów. Jak mam dobrze wypaść na teście rekrutacyjnym i zbajerować gości w *assessment center*, żeby mi dali jakąś robotę? Czy jak rzucę Marcina, to powinnam zmienić profil na Skypie, żeby przestał mnie męczyć? Dlaczego matka nie chce, by nocowali u mnie na zmianę Radek i Jarek, a sama często nie wraca na noc? Czy szkoła dała Państwu szansę analizy tych problemów? Moja nie. Gdy nagle musiałam przerwać naukę w polskim liceum i znalazłam się w szkole amerykańskiej, tamtejsze dziewczyny były w dwóch szkolnych drużynach sportowych, miały doświadczenie w wolontariacie, brały udział w debatach politycznych i społecznych na temat gwałtu randkowego, anoreksji i nielegalnych imigrantów, miały prawa jazdy i szkolne laptopy. Ja za to mogłam wykazać się znajomością pisma technicznego, którego nauczono nas na ZPT, oraz szydełkowaniem.

„Czy to możliwe, by całkowicie nie uczestniczyć? Czy da się uniknąć współudziału w zbrodni?” – pytał w eseju *List do niewinnego widza* Thomas Merton (na liście lektur tego pisarza oczywiście nie było i nie ma). Kontekst u Mertona nie dotyczy co prawda zbrodni, jaką czynią nam w szkole, ale pytania pasują do jałowej dyskusji o współczesnej edukacji. Nie rozumiem nostalgii, z jaką wiele osób wraca do lat szkolnych – choćby na portalu Nasza klasa. Czy szkoła może kompletnie nie uczestniczyć w prawdziwym życiu? Sądząc z lektury starych zeszytów szkolnych, może. I jest bezkarna. Do kąta stawia się uczennicę, a nie system.

Jednorazówka

Uwaga, dowcip opowiadam. Grupa psychologów przeprowadza eksperyment. Mamy trzy klatki. W każdej klatce po dwie stalowe kule. W pierwszej klatce mężczyzna, w drugiej małpa, w trzeciej kobieta. Eksperci badają, jak każdy z podmiotów wykorzysta swoje kule. Po tygodniu mężczyzna za pomocą kuli wy dostał się z klatki, małpa nauczyła się wystukiwać kulami fajne rytmy, a kobieta jedną kulę zepsuła, a drugą zgubiła. Ale szowinistyczny dowcip! Kurka wodna, wśród autorów tygodnika „Nowe Państwo” mam przechłapanie. Dobrze, że są tolerancyjni. Na szczęście ten antyfeministyczny wybryk już się nie powtórzy. Nie znam więcej dowcipów, dowcipy trzymają się mnie krócej niż kace, dowcipami nie zaśmiecam sobie głowy. A ja właśnie w sprawie śmieci. Od czasów szkoły podstawowej mam obsesję śmieci. Chyba od tego, że nie pozwalano nam wyrzucać papieru śniadaniowego i dzieci przynosiły kanapki w spoconym, zużyтым papierze.

Śmieci to taki nieładny, mało sexy temat. Ale im bardziej stajemy się nowocześni, ładni, sztucznie odmłodzeni, szybsi, im bardziej upiększamy nasze opakowania, tym więcej wyrzucamy. Wszystko staje się jednorazowe, tandetne, ulotne jak cienki dowcip. Przez ostatnie dziesięć lat rozwaliłam i wywaliłam na śmietnik trzy czajniki, cztery komputery, jednego dużego fiata, tak zwanego kanciaka, który jako triumf technologii socjalistycznej miał być niczym czołg pod Stalingradem, jedno volvo, które miało wytrzymać skandynawskie warunki polarne, a ja je wykończyłam w ciągu czterech lat. Niemieckie baterie łazienkowe? Za chwilę trzeci remont łazienki, bo ostatnio podczas mycia zębów został mi w ręce nie ząb mądrości, tylko kurek z napisem „cold”. Przerabiam go na broszkę. „Nie dla mnie już w tej wannie odkręcasz kran”, śpiewano w Kabarecie Starszych Panów. Teraz szybciej wysiada kran niż pan czy pani. Przy mnie wyzionęły ducha cztery drukarki, a przede mną do emerytury jeszcze jakieś 30 lat pracy. Przypuśćmy, że w mojej dzielnicy działa kilka tysięcy kobiet ciężko harujących (drukujących) w wieku około trzydziestki. Zatem razem w niedalekiej przyszłości wyrzucimy setki tysięcy drukarek. I to przez okno, bo po kolejnej awarii puszczają nerwy. Mój wujek wyrzucił kiedyś ze złości telewizor po przegranym meczu polskiej reprezentacji...

Im bardziej jesteśmy zaawansowani gadżetowo, tym słabszej jakości produkujemy urządzenia. Kiedyś na studiach padł mi prąd w pokoju, gdy właśnie kończyłam pisać pracę semestralną na temat symboliki zboża w literaturze amerykańskiej XIX wieku (na studiach to jest człowiek mądry, a potem ta wiedza też ląduje na śmietniku).

No, ale wraz z prądem wszystkim na piętrze siadły komputery. I tym, co nie zachowali plików, poznały całe prace! Myślałam, że Koreanki i Japonki w naszym budynku popełnią samobójstwo, bo były najambitniejsze i najbardziej karne. Okazało się, że w harwardzkim STOEN-ie zepsuł się komputer...

Czy jestem jak ta kobieta z dowcipu o kulach i to ja tak wszystko psuję? Trochę tak, bo z prac ręcznych zawsze miałam lufy. I rzeźby z modeliny lepił mi przyjaciel z piaskownicy Dominik Lejman, dziś światowej sławy artysta multimedialny. I tak dostałam tróję z minusem, bo rzeźba przedstawiała uwięzioną w klatce grubą nagą kobietę. A zadany przez panią temat brzmiał: „Wrażenia z wycieczki do zoo”. Trochę psuję, ale nie podlega dyskusji to, że produkuje się dziś więcej śmieci. Rzeczy tandetnych, jednorazowych.

Co Państwo robią z zepsutymi sprzętami? Czy komputer mam po prostu wrzucić do kubła z obierkami z kartofli, starą gazetą, sflaczałą piłką tenisową, zgniłym awokado (zawsze kupuję za twarde, a potem, jak mi przyjdzie znów wena, to już jest brązowe ze starości) i jednorazowymi pieluchami? Mam tak przeparadować przez podwórko i szast-prast cały ten zbiór kabli i kompostu na osiedlowy śmietnik walnąć? Recykling nie wchodzi w grę. Były kiedyś pojemniki, ale się zmyły. Czy je zrecyklowali? Co się dzieje z tym całym sprzętem z biur, z urzędów? Podobno zachodni Niemcy podrzucali śmieci do NRD. Teraz się ze śmieciami zjednoczyli. Powrót Jedi. Gdzie leży teraz mój pierwszy komputer? Pod Warszawą? Czy rosną na nim lilie? Moja obsesja doprowadziła do tego, że niedawno zadzwoniłam do MPO, Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Rozmowę przytaczam. Ja: – Dzień dobry, nie jestem Januszem Weissem i dzwonię do państwa w typowej sprawie. Mam zepsuty komputer z całym moim życiem w środku. Nie nadaje się do reperacji. Czy jest jakieś cmentarzysko takich urządzeń? Specjalista od śmieci: – Proszę pani, to jest zwykły NS. Ja: – ??? Spec: – Nieczystości stałe, śmieci gabarytowe. Ja: – Aha, czyli co? Gdzie to podzucić? Dolina Krzemowa dla umarłych? Na coś to przerabiacie? Spec: – A gdzie pani mieszka? Ja: – W bloku. Spec: – No to macie śmietnik. My to już zabierzemy na wysypisko. Nieczystości stałe. To stałe czy jednorazowe? Życie jest jednorazowe, długopisy są jednorazowe, teksty też. A tak liczyłam na recykling.

Ja też często nie rozumiem lektur

Od czasów szkoły i studiów niewiele się w tej sprawie zmieniło prócz tego, że głośniejsz i częściej dochodzą mnie utyskiwania nauczycieli, którym szczęki opadają, gdy słyszą, jakimi to my, czytelnicy, jesteśmy ignorantami. Często budzę się w nocy zlana potem, gdyż śni mi się, że trafiam do współczesnej szkoły i jest równie strasznie, jak było kiedyś w mojej budzie. Natężenie strachu takie samo: trzęsę portkami, stojąc przy laptopie nad testem ze zrozumienia tekstu, i nie wiem, czy zakreślić odpowiedź B czy A, czy C. Lektury są trudne dla tak zwanych ignorantów, którzy nie znają daty tragedii w Katyniu ani nie odróżniają Karolingów od Longobardów, ale byłyby z pewnością łatwiejsze, gdyby nauczyciele naprawdę się z nami nad tymi lekturami pochylali. Nauczyciel musi być jak *coach*. Oddany uczniowi niczym trener Justyny Kowalczyk swojej wychowance. Musi kochać książki, pasjonować się nimi, bo jeśli sam uważa je za gnioty, to trudno będzie do nich zachęcić. Musi mieć anielską cierpliwość. Lektury są jak pola minowe i potrzebny jest specjalny system dokładnego przedzierania się przez tekst. Jeśli nasz przewodnik jest do tego empatyczny, to wtedy nie dość, że czytelnik pojmie coś niecoś z „cegły”, ale nawet może odczuć szokującą radość z czytania. Lecz trudno osobie odczytanej zrozumieć, czego dokładnie nie rozumiemy, i jeszcze wytłumaczyć to językiem do nas przemawiającym!!!

Na początek powiem Państwu, czego ja nie rozumiem w lekturach na przykładzie powieści *Miasteczko Middlemarch*, która w krajach anglosaskich jest w kanonie, a w Polsce powinna być. Otóż biorę tę powieść do ręki i nie rozumiem: słów, zdań, bohaterów, miejsc ani czasu, ani sposobu narracji, ani autorki. Właściwie nic nie kumam, co powoduje frustrację i pojawienie się pytania: „Po co w ogóle czytać tysiąc stron na temat jakiejś miejsciny w dalekiej Anglii, której to miejsciny nigdy nawet nie było?”. Tysiąc stron? Kto to wymyślił? Zaczniemy od słów. Lista słów, których znaczenia nie znam, jest w *Middlemarch* bardzo długa. Na przykład jedna z głównych bohaterek o dziwnym imieniu Rozamunda cały czas robi frywolitki. Czy to są miny? Czy to są rogaliki mające frywolne kształty? Sprawdzam w słowniku, nie ma tam takiego słowa. Pytam mojego chłopaka – on nie wie. Gugluję. Jest wreszcie! Frywolitka to rodzaj haftu szydełkowego. Nie łatwiej zrozumieć sytuację głównych bohaterek. Jestem kobietą, a mimo to identyfikowanie się z Rozamundą czy Doroteą idzie mi jak po grudzie, wymaga niesamowitej wyobraźni. Rozamunda właściwie nie robi nic. Jak ona, bidulka, funkcjonuje? Dlaczego rodzice trzymają w domu dziewczynę, która ani nie studiuje, ani nie pracuje, ani nie dorabia jako kelnerka czy babysitterka? Przecież jest pełnosprawna i niegłupia. Całe dni robi na szydełku. Ale wcale tych prac nie sprzedaje. Gdzie oni to w domu trzymają? Ciągłe kłóci się z bratem, który też nie pracuje, tylko ma długi. Co więcej Rozamunda w ogóle kasą się nie przejmuje. Uważa, że pieniądze po prostu jej się należą! Dorotea za to ma konia. To jest super. Też bym chciała, ale gdzie byśmy go wstawili? Tato nigdy nie kupiłby mi stajni. Mam auto, ale nie zrezygnowałam z jazdy, od kiedy sypiam z mym chłopakiem. A Dorotea po ślubie zrezygnowała z jazdy konnej! Wszystkie dziewczęta całymi dniami kombinują, jak przypodobać się facetom. A ci faceci? Czy są ich warci? Czy Dorotei naprawdę podoba się taki staruszek? A seks? Czy oni w ogóle to robią? Jednym z centralnych problemów Rozamundy wydaje się to, że nie odróżnia flirtowania od miłości. Ojej, to jest jakaś różnica? A tak w ogóle to wszyscy ludzie w tej powieści niby mieszkają w małym miasteczku, a czas spędzają, głównie odwiedzając się nawzajem. Przecież i tak się znają. Nikt z nich nie pracuje? Najgorsze, że nie rozumiem nastawienia narratora do postaci. Czy on z nich kpi, czy pisze na serio? A metafory to już w ogóle wprawiają mnie w osłupienie, proszę przeczytać: „wstąpiwszy raz w małżeńską łódź, nie sposób nie zdać sobie sprawy, że nie posuwa się ona naprzód, że morza nie widać, że – krótko

mówiąc – człowiek zajmuje się badaniem stojącego stawu”. No, jak to tak? Myślałam, że w 1830 roku to wszyscy się cieszyli, wstępując w małżeńską łódź. Nawet w 2011 roku geje i lesbijki też pragną stać w stawie. To po co oni wszyscy się żenią, skoro ta łódź im potem nie hula? Okazuje się, że George Eliot to pseudonim jest. Po co komuś był nick, w czasach gdy sieci nie było. Jeśli autorka nie używa brzydkich słów ani nie obraża czytelników, to po co kryje się za pseudonimem? W dodatku ta książka była w prehistorii bestsellerem jak kryminały Stiega Larssona. Mary Ann Evans nie chciała być na tamtejszym Pudelku ani w pismach kolorowych, tylko chowała się za pseudonimem. Bez sensu. Dziś by mogła nawet tańczyć z gwiazdami na rurze za taki bestseller. „Szkoła nie jest do lubienia”, uspokajał mnie przed laty pewien mądry psycholog. Kiedy do niej chodziłam, zawsze miałam poczucie bycia ofiarą. Teraz też nie jest słodko. Dziewczyny tak się stresują, że popadają w anemię, bulimię, tną się nożem po całym ciele. Znow ta sama śpiewka. Nauczyciele nie rozumieją nastolatek i na odwrót. Na szczęście miałam też takich belfrów, dzięki którym rozszyfrowywanie starych cegieł sprawia mi radość. Tysiąc stron? Sama przyjemność. Trzeba zasmakować. Trzeba spotkać dobrego nauczyciela, który potrafi z nami chodzić po minach i sam nie robi obrażonej miny.

Cztery tysiące kobiet

Przyjaciel pokazuje mi biografię Micka Jaggera. Świetnie udokumentowana, dziennikarz dotarł do wielu miejsc, faktów. Mick Jagger spał z czterema tysiącami kobiet, mówi przyjaciel. Z mieszanką podziwu i napiętnowania w głosie. Jak na cztery tysiące kobiet, to niezbyt opasła ta książka, myślę. Tylko jeden tom. Czy to godne podziwu, zazdrości, a może żenujące, smutne? Czy świadczy źle o Jaggerze, czy o kobietach? Zdradzał żony, narażał liczne koleżanki i siebie na choroby przenoszone drogą płciową, traktował kolejne kobiety jak pałeczkę sztafety – przeleciał i przekazywał koledze. A może świadczy to o nich dobrze i o nim również? W końcu za coś królowa przyznaje tytuł szlachecki. Lepiej, by chłodne, zawilgocone porannymi mgłami wnętrza brytyjskich zamczysk rozgrzewał płodny, zgrabny, uzdolniony, temperamentny artysta, a nie jakiś grafoman onanista z brzuchem piwnym po za dużej ilości guinnessa. Wielu psychologów twierdzi i podpira badaniami amerykańskich naukowców, iż mężczyźni nie potrafią mówić o uczuciach. Wolą wyrażać je czynem. Taki Mick Jagger nagada się na scenie, nakrzyczy. Nie dziwny się, że po powrocie do domu czy hotelu nie wchodzi obładowany siatkami z zakupami i nie siada naprzeciwko ukochanej gotów do monologizowania: *Honey I am home!*. Mick Jagger być może nie jest gadułą poza sceną. Jest mężczyzną czynu, bierze się od razu do roboty. Ściągaj, małeńka, majteczki, bo życie jest krótkie, a jutro gramy w Berlinie, pojutrze w katowickim Spodku. Mick naprawdę kocha kobiety, docenia je, jest koneserem. Znam enolożki, które wypróbowały setki tysięcy win. Otwierają butelkę, dekantują, kręcą kielichem, wachają, studiują barwę i kształt, ostrożnie, powolutku biorą łyżeczek, potem drugi łyżeczek tylko obracają w buzi, by czuć na podniebieniu, a następnie wypływają do spluwaczki. Z troską wypływają, a nie z pogardą. Długi rytuał powtarzają tysiące razy przy każdej nowej butelce, a to wszystko z miłości do wina, które wyostrza zmysły. Więc kobiety degustowane przez Jaggera nie powinny czuć się zde gustowane – w sensie obruszone. Zostały one bowiem zde gustowane w sensie pozytywnym – posmakowane, wybrane, ocenione, na pewno też zapamiętane. Ich smak, rocznik, kolor zachował się w melodiach i tekstach Jaggera, a tym samym w historii powojennej muzyki brytyjskiej. Cztery tysiące kobiet: czy to mało, czy dużo? Uważam, że jak na tak zajętą osobę, jaką jest lider Rolling Stonesów, to wynik godny odnotowania. Oczywiście, ktoś może powiedzieć, że jak na dziadka (Mick ma już kilkoro wnucząt) to nie jest nadzwyczajne osiągnięcie. Gdyby umarł młodo, jak przystało na artystę rangi Rimbauda czy Cobaina, to byłby wynik rekordowy. W przypadku Micka wypada raptem kilkanaście kobiet miesięcznie. Wrażenie robi talent Jaggera w dziedzinie tak zwanego zarządzania czasem. Uwielbiam to określenie, wiedzą Państwo, omawiałam je przed laty na tych łamach. Jagger zarządza ciągle, a nie czasem. Życie zawodowe, rodzinne i towarzyskie zbalansowane jest u Jaggera idealnie. Pomimo licznych obowiązków służbowych i patriotycznych pozostaje otwarty na spotkania z ludźmi, a nawet poświęca im się sypialnie. Był żonaty z kilkoma wspaniałymi kobietami, co kilka dni musi załatwiać interesy w różnych miastach świata, zarządzać konfliktami w zespole, pisać muzykę, czuwać nad aranżacjami, odbierać nagrody, grać w filmach, bywać na salonach, inwestować finanse, czuwać nad kartelem, procesować się z policją, a mimo to w czterech tysiącach kobiet dostrzegł nutę piękna. Cztery tysiące kobiet – żony Micka Jaggera może ten wynik ziębić. Ale tylko w przypadku jeśli są małostkowe. Widziały gały, co brały. Znam takich konserwatystów, którzy przysięgali wierność przed księdzem poetą Twardowskim, a potem załatwiali sobie w Watykanie rozwód. Każdemu zdarza się pobałdzić. A cywilizacja zachodnia zawsze słusznie usprawiedliwiała wielkich artystów. Żony powinny się cieszyć, że były ważnym epizodem w biografii tej bajronicznej postaci. Poza tym jeśli mąż je zdradzał, to może powodem była samotność – wiecznie w trasie, wiecznie wycieńczony. Cztery tysiące razy żony były nie przy

boku męża, a tam wszak ich miejsce. Wielbiciele traktują Jaggera przed występem i po nim, hotele są obleżone, strach podnieść kołdrę, bo już licho się czai. Kobiety minionych dekad to często wulgarne seksmaszyny, a nie puch marny. Po kursach samoobrony potrafią zakładać kłamrowy chwyt nelsona, kraść niewinne męskie nasienie, a potem inseminować się nim, no, strach się bać.

Na koniec, drogi przyjacielu, nie unikniemy bolesnego pytania: jak wypadamy na tle tej statystyki. Naprawdę? Tak cieniutko? No to weź się, chłopie, do roboty, niż demograficzny dobija Polskę. Usta popraw botoksem, zrzuć dziesięć kilo, kup obcisłe koszulki, zaprzyjaźnij się z jakimś gitarzystą, a nie tylko z kolegami z kancelarii, a dnia nie kończ o godzinie dwudziestej drugiej, tylko o czwartej rano. Szkoda czasu na sen. A ja? Po pierwsze, jestem córką hipiski, więc kręci mnie klęczenie na grochu i celibat – najwyższa forma wyuzdania. No i cóż, gdyby mężczyźni byli tak atrakcyjni jak kobiety, to ja bym może nie zasypiała gruszek w popiele.

Trenerka drugiej klasy

Setki, jeśli nie tysiące, polskich pisarzy, felietonistów i dziennikarzy posiadało głęboką wiedzę na temat sportu. Dotyczy to głównie panów. Felietonistki i pisarki, jeśli zabierają głos w dyskusji o sporcie, to zwykle kpią z faktu, że niepotrzebnie mężczyźni marnują czas na analizowanie kilkunastu spoconych gwiazdorów uganiających się za piłką. Dyskusje o nowej siedzibie, o garniturach zarządu, o pensji prezesa Zbigniewa Bońka, o składzie kadry, o systemie szkoleń – takimi bzdurami my, kobiety, istoty rozwinięte, delikatne, rozważne, niepijące piwka, niebijące kijami, my „elaboratowanie” sportowe uznajemy za prymitywną męską zabawę. Ponieważ jestem mężczyzną, nie mam powodu milczeć na tematy sportowe, które bliskie są memu sercu od czasów przedszkola. Wtedy to zaczęłam uprawiać sport i tak już zostało mi do dzisiaj. Właściwie cała intelektualna edukacja w podstawówce, gimnazjum, liceum i podczas studiów była dla mnie wypełniaczem przerw pomiędzy tą edukacją istotniejszą, sportową. W szkole syczały jarzeniówki, gazetka ścienna straszyla wystawą „nigdy więcej wojny”, tymczasem korty były graficznie piękne, ceglana czerwień, wokół zielone drzewa. Świeże powietrze. Latem opalanie na słońcu, zimą skrzypiący śnieg pod nogami podczas rozruchu. Ale najważniejsi oczywiście byli trenerzy, trenerki i układy w szatni. Ze zgrozą stwierdzam, że w życiu zawodowym i osobistym przydały mi się wyłącznie uwagi trenerów, a nie nauczycieli. Jak przystało na rasowego faceta, podzielię się z państwem najciekawszymi myślami trenerskimi, do których warto wracać codziennie! „Meczu nie gramy w nowych butach”. Od razu uderza psychologiczna głębia tej nauki, prawda? Sprawdza się w związkach i w korporacji. Nowy but, choć efektowny, może obcierać lub mieć luzy. Stopy będą krwawić albo kostkę sobie złamiemy. Zanim na poważnie zwiążemy się z osobą, która zaczadziła nas emocjonalnie, ponośmy ją, za przeproszeniem, rozepchajmy, zobaczmy, czy się dostosuje do naszego kształtu, czy pozostanie sztywna, uwierająca. „Patrz się na piłkę”. He, he. Hegel wysiada przy takiej trenerskiej myśli. No przecież wiadomo, że aby trafić w piłkę, trzeba ją widzieć. Ale jak patrzeć! Cały czas. Wyprzedzać ją wzrokiem, zanim dosięgnie nas, patrzeć na to, jak patrzy na nią przeciwnik, piłkę trzeba opanować, nadać jej kierunek, aby ona nas nie zaskoczyła, nie zmiotła z powierzchni. To działa też w małżeństwie. Na partnerkę trzeba patrzeć, pożerać ją wzrokiem, widzieć, że ma zły nastrój, i ją rozśmieszyć, spostrzec, że podejrzenie późno wraca do domu... „Końskie zdrowie”. Nie da się uprawiać sportu, robiąc sobie przerwy na zwolnienia lekarskie. Dieta, sen, siłownia. Końskie zdrowie sprawdza się w biurze, łóżku. Każdy kilogram nadwagi to koszmar dla twoich kości. Nie ćwiczysz mięśni brzucha, to kręgosłup nie wytrzyma i padniesz, siedząc nad raportami albo za kierownicą. „Nerwy w konserwy”, czyli harakiri dobrze wygląda wyłącznie w operze. W sporcie nie histeryzujemy ani nie gwiazdorzymy. Z przegranej wyciągamy wnioski, które mają nas wzmocnić. Sukcesów nie opijamy tygodniami. Nasz język ciała ma nie zdradzać przeciwnikom, że jesteśmy niepewni wygranej, że opadamy z sił. „Kombinerki zostaw w garażu”. Za dużo kombinowania podczas meczu może wybić z rytmu. Kombinowanie zabija intuicję. Dzielenie włosa na czworo gwarantuje brak sukcesów sypialnianych. „Nie będę dzwoniła, poczekam, aż on zadzwoni”. „Podobno ma narzeczoną w Anglii, nie ma co zapraszać go na ciasto”. „Upija się często, wydaje moje pieniądze w kasynie, no, ale bidulek ma tyle kłopotów, muszę z nim zostać, bo beze mnie nie da sobie rady”. „Jak nie mogę, to przez nogę”. Jęczysz, bo wydaje ci się, że już dalej nie pobiegiesz, dłużej nie dasz rady? A właśnie ten ostatni intensywny kwadrans treningu przynosi największe efekty, a nie ten świeży początek! Nie jęcz, tylko stań do przetargu, inaczej nie wygrasz. Świetne trenerki to sprawa kluczowa. Dobrze wyszkoleni zawodnicy i zawodniczki sprawdzą się potem jako szefowie żłobków. Zawodniczki nieustępliwe wyrosną na producentki ambitnych filmów, dyrektorki oper. Zdrowi

długodystansowcy sprawdzą się jako tatusiowie. Nawet w trzeciej lidze możemy trafić na trenerkę pierwszej klasy, która ustawi nas na całe życie. Trenerka może być mamą zastępczą, wzorem kobiecości. Trener może wychować skuteczniej niż ojciec alkoholik czy profesor zwyczajny błyszczący cytatami.

Dlatego cudownie jest, gdy Wojciech Kuczok, Jerzy Pilch czy Marek Bieńczyk poświęcają swój talent na dogłębne analizy piłkarskie. Sport ze strony ostatniej chętnie przesunęłabym na jedynekę. Przyszłość męskiej i damskiej piłki nożnej, polskiego kolarstwa, losy stadionów – godzinami mogę słuchać o tym w radiu. Czy siedziba PZPN nie przyćmi Świątyni Opatrzności Bożej? Czy ministra Mucha na tyle opanuje stałe fragmenty gry, że awansuje na premierkę? Obecny premier odpocznie od haratania w gałę i wreszcie wolny czas poświęci swej skrytej pasji – filharmonii. Czy taktyka prezesa Bońka sprawi, że dziewczynki z nadwagą i pryszczaci chłopcy odejdą od tabletek i wyjdą na powietrze, by świtem truchtać po świeżo zroszonej zielonej murawie?

Zdrowa samotność

Rozważałam argumenty za i przeciw, aż w końcu podpisałam list. Pół roku po tym fakcie ogarnęły mnie wątpliwości. Chodzi o apel do polityków w sprawie zakazu palenia tytoniu w restauracjach, kawiarniach, barach. Zaczynam się zastanawiać, czy postąpiłam słusznie, wątpliwości huśtają mną z siłą sztormu, czuję się niczym balia w spienionych odmętach. Co mnie podkusiło? Czy książki historyczne, w których opisywani są bohaterowie naszej wolności wciąż posyłający sobie tajemne listy w podziemiu albo skrobiący kolejne zaangażowane w dobro ojczyzny apele? Chciałam wreszcie zająć jakieś stanowisko, być na liście nazwisk? Pomyślałam, że zakaz palenia w kawiarniach zmniejszy nasze rachunki za pralnię. Każda wizyta w barze kończyła się tym, że ukochane wintydzowe paletko od Jil Sander musiałam wozić do pralni chemicznej. Podpisałam, bo jako matka Polka pomyślałam, że zakaz palenia w barze będzie zdrowy dla mego dzieciątka, co umożliwi nam wspólne barowe eskapady. Okazało się, że dziecko o 21 chodzi spać i nie chce palić. Podpisałam, bo myślałam, że setki mężczyzn, których skreśliłam z listy atrakcyjnych ze względu na żółte zęby i oddech kapcia, ozdrowieją i zasilą zdziesiątkowane szeregi mężczyzn niepalących.

Obserwacje, które czynię, narażając swe zdrowie jako felietonistka wcieleniowa, zmuszają mnie do postawienia pytania, czy zakaz ten okazał się skuteczny. Po spotkaniu z czytelnikami w Krakowie zatrzymałam się u znajomej. O siódmej rano budzi mnie zapach parzonej w ekspresie kawy oraz kłęby dymu. Gospodyni w obowiązkowym w Krakowie cyganeryjnym czarnym turbanie na głowie pali w tempie amerykańskiej sztafety, zaczadzając narzeczony schowany za parawanem gazety oraz psa, który od dymu ma zażławione spojrzenie. Delikatnie pytam: „Ojej, kochana, tak wcześnie już fajki odpakowałaś?”. „Muszę zdążyć zapalić przed pracą. W biurze nie wolno”. Dzięki zakazowi palenia w biurze ludzie palą więcej. Specjalnie wstają jeszcze wcześniej rano i palą na zapas. Podczas przerwy obiadowej zamiast iść do baru mlecznego na zdrową kaszę gryczaną ze szpinakiem, wykorzystują każdą minutę, stojąc na balkonie, paląc na wyścigi, kto na czczo wypali więcej przed końcem przerwy. W taksówkach obowiązuje zakaz palenia i z tego powodu o mało nie zginęłam w wypadku. Jechałam mercem okularnikiem o wnętrzu pachnącym niczym las iglasty. Tylko czekałam, aż spadnie mi jakaś szyszka z dachu. Wjechaliśmy w korek. Kierowca nie wytrzymał i postanowił zapalić, wychylając się do pasa za okno. Natychmiast ktoś nam wjechał w tył, kierowca nadział się na odkręconą szybę, a ja rąbnęłam kręgosłupem o siedzenie. Zakaz palenia w taksówkach spowodował, że kierowcy palą tyle samo, tylko przestali jeździć bezpiecznie. Niezliczone są powody, dla których warto pić w barach. Jednym z nich jest towarzystwo. Sączyć limetkowy dzin w gronie milczących i sączących inne zaskakujące mikstury towarzyszy jest milej niż sączyć klejącą się żołądkową samemu na domowej kozetce. Zakaz palenia w barach doprowadził do tego, że w środku siedzi się za stolikiem jedynie w towarzystwie objedzonych kurczakowych skrzydełek, gwar zaś wesołych rozmów, zapach podnieconych ciał oblanych perfumami dochodzi do nas z... ulicy. Dopóki nie wprowadzono zakazu palenia, przed pubem stali sprzedawcy kwiatów bądź wylegiwali się kloszardzi. Wychodząc z eleganckiego baru, gdzie drink kosztuje 10 euro, mamy okazję obalić granicę między kloszardami a klasą średnią, wspólnie marznąc i wdychając spaliny przejeżdżających aut. Osoba niepaląca ukarana jest za swą wadę charakteru słono – porzucona siedzi w pięknym sweterku kupionym specjalnie na tę towarzyską okazję, obserwując przez zaszyroną szybę grono znajomych tulących się w uściskach pod puchówkami. Mieszkańcy Starego Miasta, którzy liczą na to, że zakaz palenia zmniejszy frekwencję w głośnych lokalach, muszą przygotować się na to, że będzie gorzej.

Barowicze, zamiast siedzieć zatrzaśnięci w barze, będą cały rok gaworzyć na zewnątrz. Straż miejska i tak zwani bramkarze po wprowadzeniu zakazu palenia w kawiarniach i barach będą działać na odwrót. „Pani nie pali? To dlaczego stoi pani na ulicy? Proszę natychmiast wejść z powrotem do klubu. Tylko osoby palące mogą stać pod klubem”. „Ależ proszę pana, grzeczniej, nie widzi pan, że czekam, aż znajomy dopali?”. Trzeba będzie palić po to, by inni mogli dopalić. Od kiedy koncerty tytoniowe nie mogą się reklamować, pojawiło się w barach dużo więcej ładnych dziewczyn. Wysokie, ubrane w obcisłe skóry kobietki częstują fajkami. Genialne. Nie trzeba sępić o fajkę, fajka przychodzi sama do ciebie w towarzystwie nienadąsanej blondyny. Za każdym razem, gdy panienki rzucają się na mnie, udaję, że palę i ściskam w spoczonej dłoni darowane papierosy. Chyba w końcu zacznę palić. Billboardy i telewizja na mnie nie działają, ale trudno odmówić kobiecie, która ewidentnie ma wobec nas niegrzeczne zamiary. Siedzę w restauracji w dzielnicy Charlottenburg w Berlinie. Tu wolno palić i wolno chyba naprawdę wszystko, bo sporo par niknie w toalecie na dłużej. Przy stole obok piękna studentka, z pochodzenia Tajka, w gronie kilkunastu znajomych obchodzi urodziny. Bogata młodzież tej najelegantszej dzielnicy w mieście bawi się beztrząsco. Co mnie dziwi, to fakt, że palą jak smoki wawelskie. Czy zakaz palenia nie sprawi, że palenie stanie się jeszcze bardziej modne? Palący dzieciak czuje się jak dorosły i może poczuć, że jest *glam* jak Robert De Niro. Ponieważ nie ma nic ciekawego do powiedzenia, zagłuszy swą płytkość papierosem. Gdy jazz był w Polsce zabroniony, ludzie tłumnie walili na koncerty do katakumb. Teraz, gdy jazz jest dozwolony, płyty Wojtka Majewskiego nie rozchodzą się jakoś w wielkim nakładzie... Jeśli zabronią w klubach wszystkiego, to czy sądzą, że staniemy się świętoszkami i będziemy spotykać się w bibliotekach i synagogach? Co z tym listem? Sprawa jest paląca.

Mieliśmy rację! Po latach okazało się, że zakaz palenia w restauracjach i barach był znakomitym pomysłem. Straciły na jego wprowadzeniu wyłącznie pralnie, bo nasze swetry nie pachną już dymem po każdej wizycie w barze. W moim pokoleniu coraz mniej osób pali i pije. Zaoszczędzone na winie i fajeczkach pieniądze wydajemy na xanax, leki uspokajające, nasenne oraz terapię, bo każdy albo jest w depresji, albo uzależniony, albo współuzależniony. Ale to wszystko nie dymi. Zresztą dymiącego wędzenia też zabroniła Unia. Wygląda na to, że umrzemy zdrowi! No i szczęśliwi, z uśmiechem na ustach, gdyż mają w kraju zalegalizować gandzię oraz burdele.

Nagość

Pierwszy raz widziałam nagą kobietę na zajęciach z aktu – lekko znużoną modelkę opartą o parapet – opowiadała mi pewna znajoma studentka wydziału malarstwa. Oprócz siebie nie widziałas w lustrze przez prawie dwadzieścia lat żadnej gołej babki? Noo, to jakaś korzyść z tych studiów jednak dla ciebie wynikła! Przynajmniej sobie popatrzysz. Studentka cieszy się, że w lustrze widzi swoją nagość normalnie. Co to znaczy normalnie? Inaczej niż Małgosia, anorektyczka, która widzi siebie jako grubą, choć jest kościotrupem. Tematu Małgosi nie drążymy, wiadomo, lepiej nie psuć sobie humoru. Tym bardziej że terapia bywa nieskuteczna. Przypomina mi się Alicja, dawna koleżanka, która w pewnym momencie zaczęła żywić się tylko kawą latte. Jedyny posiłek w ciągu dnia. Rzekomo oszczędzała na studia w Anglii, choć pochodziła z zamożnej rodziny. Dziś już jej nie ma wśród nas. Rozmawiamy sobie dalej o patrzeniu na nagość. A swojej mamy czy babci lub cioci gołych nie widziałas? Okazało się, że mama malarki spała szczelnie ubrana w długą nocną koszulę, a biorąc prysznic czy kąpiel, zamykała się w łazience na klucz. Wyłaniała się z niej w pełni ubrana. Nie było mowy o rozchylającym się szlafrocisku. Przed zajęciami z aktu znajoma nigdy nawet nie myślała o kobiecej nagości. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie w życiu, czy widujemy nagość naszych mam? A może matki córek kryją się bardziej niż matki synów? Czy też jesteśmy od siebie różne, bo ja na przykład wielokrotnie kąpałam się wspólnie z mamą w wannie, bywałam na plażach nudystów, w saunach wśród gołych kobiet w każdym wieku. W Finlandii w saunie nie zdarzyło mi się widzieć kobiet w majtkach, tymczasem w Polsce widuję panie w... kostiumach kąpielowych. Lecz czy to ma znaczenie? Podczas rozmowy o kobiecej nagości przypomniało mi się małe muzeum regionalne w Ustce. Urządzone w porcie w starej chacie rybackiej o architekturze szachulcowej. Prócz obowiązkowych sieci, sterów i kompasów obejrzeć można tam fotografię plaży z lat trzydziestych minionego wieku. Plaża podzielona na sektor męski i kobiecy. Nietrudno zgadnąć, w którym usadzono dzieci. Przecież panowie nie będą psuli sobie kąpeli słonecznych opieką nad bobasami. „Czy to nasze dziecko tak kwili, czy bachor sąsiada drze mordę?”, zwykł pytać pewien dziadek dowcipniś. Na fotografii, rzecz jasna, żadna z pań nie prezentuje się w stylu topless. Nosi się jednocześnie kostium albo długie sukienki. Może to pomysł: otworzyć plażę ludzi ubranych? W czasach galopującej nadwagi, gdy obżarstwo toczy sporą część społeczeństwa, takie miejsce chyba cieszyłoby się większym powodzeniem od plaży nudystów? Tu nikt nie czułby się obcinany wzrokiem, nie musiałby się wstydić, że ma cellulitis, nie wygląda jak modelka na wybiegu czy trener fitnessu.

Zabroniono już palenia papierosów na wielu plażach. Można by zakazać rozbierania. Zakaz bikini, zakaz topless? Zakaz facetów z wielkimi brzuchami wylewającymi się z obcisłych kąpielówek, zakaz wielkich ud wyzierających spod szortów w palmy? To oczywiście niezgodne z prawem do wolności. Ale może uleczyłoby to wiele z nas, którym nagość nie kojarzy się z wolnością, tylko z opresją, cenzurą, wstydem. Zastanawiam się, czy ustawa o parytetach kiedykolwiek przejdzie, skoro kobiety nie akceptują swych koleżanek, boją się ich, nawet same siebie nie akceptują. Rozmowa o nagości przypomina mi damską szatnię w mojej podstawówce. Na kongresach i konferencjach mówi się elokwentnie, pokazuje wykresy. Lecz w szatni damskiej sytuacja jawi się inaczej. Jakie z nas były wtedy damy... Na obowiązkowych zajęciach z pływania złośliwie wyśmiewaliśmy bawełniany kostium jednej z koleżanek. Grube dziewczyny, by nie pokazywać się nago, owijały się w ręcznik i wykonywały skomplikowane akrobacje, by wciągnąć czy zdjąć majtki. Były i takie, które brały prysznic w kostiumie. Dlaczego niektóre z nas bez oporu, a nawet z wielką chęcią prezentują biust kolegom lub obcym

mężczyznom, innych zaś kobiet się wstydzą? Czyżby koleżanki były surowszymi sędziami niż łaskawy kumpel z ławy szkolnej? Może w saunie męskiej panie chętniej ściągały kostium... Przypomina mi się pewna bizneslumenka w szatni klubu tenisowego. Nosiła swą nagość ostentacyjnie, wymachiwała nią. Często po prysznicu, w turbanie z ręcznika na głowie, ale bez niczego na dole, siadała przed lustrem i przez pół godziny załatwiała transakcje przez telefon. Czy napawała się, że kontrahent nie wie, iż rozmawia na golasa? Czy lubiła to, że wszystkie na nią patrzymy z uśmiechem zakłopotania? Interesy na golasa? Prysznic czy sauna to jedno, ale interesy? W damskiej szatni chowa się tyle sekretów, okrucieństwa i napięć, że się zastanawiam, czy stać nas na solidarność jajników, do której wzywają rewolucyjne koleżanki. Być może nagości ze szczerością równać się nie da. Być może można być szczerym i solidarnym, lecz jednocześnie chować ciało. Rozbieram się do snu, nucąc standard *Wybacz, że nago śpię*. Szkoda, że nie mogę żyć życiem innych kobiet, sprawdzić, jak to jest widzieć swą mamę bezcielesną. Całe życie w sweterku.

Mężczyzna w lufciku

Czekanie jest sztuką. Jest czekanie bolesne, cierpiętnicze, wymówkowe, ciężkie jak piramida niechcianych książek w kącie supermarketu. A jest czekanie nieprzymusowe, bezlękowe, lekkie jak lipcowa mżawka. Spotkałam w moim życiu kilku artystów czekania. Czekali bez toksymii. Mój ukochany pies przybłąda – wabił się Drab. Rodzice przygarnęli go, gdy był bardzo chory na nosówkę i pojawił się nagle u nich na wycieracze pod domem. Mama wspominała, że weterynarz, który Draba odratował, powiedział: „Kundle są silniejsze. Rasowych z nosówki nie da rady wyleczyć”. Od tamtej pory wierzyła, że prawda ta dotyczy też ludzi. Mieszkańce są odporniejsze, a ty masz geny i z Transylwanii, i z Ukrainy, powtarzała mi. Nie wiem, czy poeci znają się na genetyce... Ludzkiej nosówki (co może być odpowiednikiem?) nie przetrwam i silna nie jestem. Słyszałam o geopoetyce; wszak geografia nie jest dla humanistów taka trudna jak chemia. Zatem genepoetyki chyba nie wykładają na polonistyce. Drab czekał idealnie. Podczas gdy kogoś z nas w domu nie było, to nie kręcił się nerwowo pod drzwiami, nie wył, nie drapał ścian, nie polował na kury w okolicznych domach. Czasami wybierał się na spacer, czasami spał w domu albo ganiał za sukami czy psami kumplami. Witał się w sposób ciepły, ale wyważony. Nie rzucał się swym wielkim cielskiem (rozmiar wilczura) na mnie, gdy wracałam do domu, by pazurami rozciągnąć sweter, ale jednak ogonem zamierzał miast leżeć w ostentacyjnej ignorancji. Znakomicie czekała moja babcia. Odkąd ją znałam, treścią jej życia było już tylko – albo aż – czekanie na wnuczkę, ale nie było to czekanie uciążliwe dla mnie. Syndrom kobiety w oknie oczekującej bliskich znam tylko z książek, filmów i czasem w podróży gdzieś widuję takie obrazki kobiet opierających łokcie na poduszce umoszczonej w oknie. Wyobrazić sobie można, że czekają one na powrót męża z polowania. Głowa rodziny wróci objąć ją ciepłym ramieniem i rzuci na stół upolowane pensję, dziczyznę i sześciopak dla siebie. Czekać w oknie kobieta może też na rentę. Lub swe pociechy. W podskokach z leciutkim zdrowym na kręgosłup tornistrem pełnym darmowych podręczników wracające ze szkoły. Albo jeśli kobieta ma okno nad ruchliwą ulicą, to może czekać na jakiś spektakularny wypadek tramwajowy. Babcia to jedyna wyczekująca kobieta, którą znałam. Trudno mi wyobrazić sobie duszę takich kobiet, podobnie jak dzisiejszym dwudziestolatkom trudno jest sobie wyobrazić moje życie z czasów bez komórek i Internetu. Że niby ludzie papierowe mapy mieli? Że niby mój pierwszy chłopak, by ze mną nocą porozmawiać, szedł kilka kilometrów pieszo (nie było serwisu ask.me ani esemesów, autobus zaś nocny nie dojeżdżał). Kilka lat temu byłam w Darłowie i miałam okazję porozmawiać z żoną pewnego rybaka. „Jak pani się czuje, gdy mąż tak wypływa w morze? To takie romantyczne. Widziałam śliczną rzeźbę Matki Boskiej, która pomaga tym, co na morzu”. Usłyszałam w odpowiedzi, że kobieta lubi, jak mąż pije na kutrze, bo jak wróci on około dziesiątej rano do domu i walnie się spać, to ona ma spokój cały dzień i wieczór, a ryb i tak niewiele, bo Unia połowów dorsza ciągle zabrania. Zrozumiałam, że nie trafiłam na artystkę fado.

Wracając do mojej babci. Czekala ona zwykle na balkonie, skąd, podlewając kwiatki, wypatrywała, czy ja i tata nadchodzimy. Otoczona była wróblami i gołębiami, które dokarmiała i gdyby nie to, że w ustach zawsze miała papieros, to przypominałaby brata franciszkana. Dopiero na studiach zrozumiałam, że babcia czeka w tak stoicki sposób dlatego, że niczego nie wyczekuje. Jej życie bowiem było pełnią, nic jej nie brakowało. Treścią tegoż życia były telewizor i papierosy. Gdyby wynieśli papierosy i telewizor – na pewno czekałaby na ich powrót w sposób rozedrgany. A wnuczka z byłym zięciem, luzik, są punktualni, na pewno będą na obiedzie, a jak nie, to za tydzień lub dwa się pokażą.

Są mężczyźni, którzy pięknie czekają, są mężczyźni, którzy są rozmerdani jak nieulożone psy i tak z podniecenia i radości merdają ogonami, że tłuką szkło i sami siebie. Bywają mężczyźni w lufciku, którzy są tykającymi bombami. Niektórzy mężczyźni akceptują aktywność kobiet tylko deklaratorywnie. Teoretycznie wydaje im się, że kobieta pływająca na kutrze albo wychodząca do pracy na ósmą, a wracająca na późną kolację, kobieta towarzyska, która po pracy „chodzi na fikołki” (szef mojej znajomej tak mawia), czyli na fitness, wyjeżdżająca z przyjaciółkami na damskie żagle to kobieta idealna. Wiadomo: taki obowiązuje od trzech dekad model. Żaden mężczyzna nie przyzna się, że marzy o kobiecie sterczącej w oknie z zupą gotową na kuchni. To jego słodka tajemnica. Wykryć ją łatwo po tym, jak mężczyzna czeka. Jeśli po twoim przyjściu do domu powita cię następująca wiązanka:

„Gdziebyłaś dzwoniłem niewidziałą strzyżysz dzwoniłem, dlaczego nie odbierasz, z kim byłaś, w biurze, w jakim biurze, a co piłaś w kawiarni, a w jakim celu, a nie mówiłaś wcześniej, w pralni, na squasha? Nie wiedziałem, że grasz w squasha, a ze mną nie grałaś, a w singla czy debła”. No więc jak taki typ wychyla się z lufcika, to lepiej tak jak stoisz, bez wchodzenia do wspólnego domu, zawrócić do siebie lub nocować u przyjaciół. To typ mężczyzny z lufcika cierpiący na lęki separacyjne. Niektóre niemowlaki i dwulatki tak mają. Mamusia wychodzi, a dziecko gryzie kojec, płacząc, a następnie do powrotu matki stoi pod drzwiami i ryczy. Wstrząsające. Widziałam to na własne oczy. Moja przyjaciółka zostawiła mnie ze swoją córeczką, bo sama wyszła na godzinę załatwić coś w urzędzie i to dziecko wyło „Mamaaaa, mamaaa” całą godzinę. Na początku myślałam, że wyła, bo okropnie jest siedzieć ze mną w domu. Nie dziwię się, bywają istoty mniej złośliwe i dużo lepiej gotujące. Po powrocie jej matka wyjaśniła mi, że „maleńka ma ostatnio taką fazę”. Są mężczyźni dorośli, którzy framugi każdego lufcika przegryzą zębami.

Zdarzają się też czekacze analfabeci. Mężczyźni, którzy po prostu nie wiedzą, co znaczy czekać, gdyż są tak w sobie zapatrzeni, że nie zauważają, iż ciebie nie ma wokół. Ostatnio przyjaciółka zwierzyła mi się, że powiedziała chłopakowi, iż wychodzi i wróci za trzy bądź cztery dni. On nawet nie wystawił głowy ze swojego pokoju znad komputera, tylko burknął coś w stylu: „Dobrze, skarbenku”. Dodam, że nie są ze sobą od 30 lat, a chłopak nie jest po sześćdziesiątce.

Nie umiem być oczekiwana. To mnie paraliżuje. O Boże, nie jadę już do pralni, bo się spóźnię, o Boże, nie zajrzę do baru po pracy, bo się spóźnię, co ja mu powiem, a może nic nie powiem, a właściwie po cholere ja mam się tłumaczyć i cała spirala się nakręca. Nie lubię w lufciku mężczyzny ze wzrokiem cocker spaniela czekającego na swą panią i nie lubię wściekłego granatu, który zaraz odpali wiązanekę. Lubię czekać na dziecko pod szkołą czy na kortach, bo zajęcia kończą się punktualnie, a ja nie cierpię spóźniałskich. Lubię czekać na trzeci dzwonek w teatrze, bo jest punktualny i zapowiada coś ciekawego.

Nie należę do grona kobiet czekających w oknie. Po prostu w ogóle na nikogo nie czekam, bo przeważnie zapominam, że jestem umówiona i robię coś zupełnie innego w innym miejscu. Zresztą żyjąc w dużym mieście, wszyscy jesteśmy nomadami i nigdy nie wiadomo, kiedy wrócimy z naszej włóczędzy.

Znakomicie czekała matka, albowiem unikała wszelkich wiązanek wymówkowych w stylu: Dzwoniłam, nie odbierałaś, dlaczego nie odbierałaś, przecież dzwoniłam, wyłączony,

dłaczego wyłączony?

Nieobecny

„Ależ kochanie, to nie jest tak, jak myślisz!” To wyświechtane zdanie śmieszy, gdy je słyszymy w filmie bądź farsie teatralnej, ale na pewno do śmiechu nam nie jest, gdy ktoś serwuje je nam w rzeczywistości. Przyznam, że nie zdarzyło mi się spotkać narzeczonego w łóżku z inną wybranką, ale tę tragiczną sytuację przeżyło kilkoro znajomych. Obu płci. Kończyło się różnie. Magda opowiadała ostatnio: „Weszłam do własnego mieszkania, a tam w moim łóżku mój mąż z inną. Natychmiast uciekłam. Pobiegłam wypłakać się i wygadać przyjaciółce, a ta rzeczowo spytała: «A zauważyłaś może, co wisiało w przedpokoju?». Jej futro? No tak, po chwili przypomniałam sobie, że rzeczywiście dyndało. «No, to trzeba było zabrać jej to futro». Do dziś żałuję, że nawet jakiejś drobnej zemsty nie dokonałam”. Kobieta często mści się na konkurentce, jakby rozgrzeszając swego faceta. Niektóre nowoczesne obrończynie kobiet fakt ten bulwersuje. Mnie to nie dziwi, bo większość zdradzonych dziewczyn nie zdążyło się w chłopaku odkochać. Nadal ślepo zadurzone są mu skłonne wybaczyć. W przypadku Magdy jednak wybaczenia nie było i pan wraz z panią w futrze musieli się wyprowadzić z dnia na dzień. Od tej pory stał się w życiu Magdy nieobecny. Tylko teoretycznie, gdyż mówi o nim częściej niż o obecnym, świetnym i wiernym mężczyźnie. Byli faceci często są silniej obecni w życiu kobiet niż ci aktualni. „Wyszedł z mojego domu, pakując do mojej skądinąd walizy swoje rzeczy, ale jakoś zabrał też mój aparat fotograficzny. Okradł mnie też z drogich prezentów, które mu robiłam”, to opowieść porzuconej Joasi. I tu docieram do sprawy. Czyli nieobecności. Nieobecność bywa silniejszym gestem niż obecność. Ileż nasłuchamy się opowieści o byłych partnerach. Niby są byli, a jednak obserwowani na fejsie, na mieście, obgadywani od stóp do głów z nowym inwentarzem włącznie. Każda nowa jest rzecz jasna beee. Za stara, za brzydka, za młoda, za głupia, za bogata. W każdym razie partner nieobecny ma więcej pijaru niż aktualny. Nieobecność dotyczy też debat społecznych i politycznych toczących się w kraju. Głos nieobecnych podczas debaty w sprawie ACTA czy emerytur lub leków był silniejszy od głosu tych, którzy wsiedli do tramwaju, pociągu czy na rower i dotelepali się na debatę do premierów i ministrów. Ale to nie tych obecnych w debacie cytowano w mediach. Fotografowani byli obrażeni, oburzeni, którzy albo manifestowali swe zdanie za pomocą obraźliwych transparentów, albo bojkotowali, nie spotykając się z pozostałymi stronami debaty w realu. Lepiej dogryzać anonimowo przez Internet. Unika się wtedy erystyki, a nie każdy czytał Schopenhauera. Trudno wyklikać jego dzieła między jednym spiratowanym filmem a porcją muzy na smartfona. Duże pliki ten Schopenhauer generował. Harcując wyłącznie w necie, unika się tracenia czasu na stawianie czoła problemom, spojrzeniu w oczy innym zaangażowanym w sprawę. Niech boksują się w realu troglodyci, my muskuły prężymy tylko przed kamerką iPada. Przywalamy z ukrycia za nikiem. Nie uczestnicząc w debacie w realu, można nie czytać dokumentów, o których się debatuje. Można sobie wykrzykiwać nośne hasła i być potem w nagrodę bohaterem programów informacyjnych, portali. Można być zaproszonym jako nieustraszony opozycjonista na wywiad do radia, a następnie cytowanym jako opiniotwórczy ekspert. Niepodanie komuś ręki to mocniejszy gest niż podanie. Efektowniej jest zawiesić komuś stronę internetową, ukrywając się gdzieś w ciepłym mieszkanku, niż zaprosić na negocjacje przy kawie. Lepiej sprzeda się ten, który z politykami w ogóle nie gada. Nieobecni głos mają najdonośniejszy, oni ekscytują, mieszają, zwracają uwagę, a obecni, no cóż, nudy na pudy, pewnie to lobbyści korporacji. Oni nie są oburzeni ani odurzeni. Od lat mam wrażenie, że ludzie, którzy nie manifestują i nie protestują, to jest prawdziwy off. Hakerom i anarchistom marzy się własna dolinka krzemowa miodem i mlekiem płynąca. Do roboty nie łązimy, tylko sobie klikamy, a każdy z nas jest twórcą wybitnych dzieł na wallu. To, że do naszych dzieł używamy cytatów z innych, świadczy

o naszym postmodernistycznym podejściu do sztuki. Sami nie kreujemy, tylko miksujemy za darmo to, co inni frajerzy napisali. I te potulne jełopy płacą podatki, nie wysypują zboża na niezbudowane drogi, nie strajkują na wydziale, tylko powolutku wkuwają materiał. Zamiast zawieszać strony internetowe radia, ci szaleni awangardiści płacą abonament krwio pijczym dziennikarzynom i prezesinom radiowym. Zamiast bojkotować i być nieobecnym na koncertach, ci zniewoleni obywatele łążą na koncerty wokalistów i płacą za bilety, a następnie kompletnie zamroczeni muzyką kupują legalnie płyty.

Kto z Państwa wiedział, czym jest Rada Bezpieczeństwa Narodowego? Jakoś media nie żyły jej działalnością, dopóki Jarosław Kaczyński nie zrezygnował z udziału w obradach. Wniosek taki: najlepiej być obrażonym, nie podawać ręki, odwracać się plecami. Nieobecność w biurze? Jasne, tacy powinni być wynagradzani najsowiciej. Ja protestuję, ja rezygnuję, ja z czytelnikami nie chcę mieć nic wspólnego, bo nie zaprosili mnie ani razu do stołu, bo nie dają mi nic za darmo i w ogóle ci czytelnicy moi to rozdęte prawa mają.

Krzew ozdobny

Nie nadaję się na plantatorkę, więc nie mam działki. Ale znam ofiary działek. Na pytanie, czy w weekend wpadną na imprezę w stylu *Miami Vice* lub skorzystają z wyjazdowej promocji do Barcelony, właściciele ziemscy odpowiadają surowo: „Żartujesz, muszę usunąć połamane drzewa, wezwać szambiarza. No i te cholerne krety”. Zamiast wielbić czeską bajkę z najpiękniejszymi pod słońcem rysunkami roślin, opowiadają o mordowaniu krecików mających czelność tworzyć wzniesienia na ziemi. Ich ziemi. Niech gnieźdzą się u sąsiada. Albo w bajkach sobie żyją. Z ich działki będą usuwane. Tymczasem jeszcze gorszym szkodnikiem niż kret jest rosnąca w Australii roślina *Forsteronia floribunda*, introdukowana w latach siedemdziesiątych XIX wieku z Madagaskaru jako krzew ozdobny, pisze profesor geografii Jared Diamond. *Forsteronia floribunda* miała upiększyć górnicze miasta Queenslandu, tymczasem okazała się rośliną potworem rodem z filmów SF. „Jest trująca dla żywego inwentarza, dławi inne rośliny i tworzy nieprzebyte zarośla, a jej spadające strąki spływają rzekami na dalsze obszary”. W każdym strąku znajduje się trzysta nasion roznoszonych przez wiatr! Gdyby polscy mężczyźni mogli się rozmnażać z takim impetem jak forsteronia, politykę prorodzinną mielibyśmy z głowy. Czasami krzew ozdobny okazuje się potworem, który może wykończyć cały kontynent. Dotyczy to również ludzi. Kobieta krzew ozdobny jest bardzo groźna, bo na pierwszy rzut oka wydaje nam się pożądanym dodatkiem do naszej grupy przyjaciół. Podczas *garden party* ubrana cała na białe znakomicie komponuje się ze wszystkimi gośćmi, co więcej, dodaje scenie uroku. Nasza wypróbowana od lat przyjaciółka alpinistka w znoszonych adidasach ze swym chłopakiem nurkiem (właścicielem szkoły nurkowania „Do dna”) ozdobieni krzewem nabierają formy. Ozdobna koleżanka stawia starą grupę znajomych do pionu. Alpinistka modeluje za grube uda, a stare adidas wymienia na czółenka. Nurek przypomina sobie, że przyjaciele w odróżnieniu od ryb mają głos i warto ich posłuchać, na chwilę przestać paplać o glonach Morza Karaibskiego. Pod wpływem krzewu ozdobnego panie zaczynają bardziej się interesować swymi partnerami, a panowie wciągają brzuchy, wracają na siłownię lub tenis witani złośliwymi uwagami trenerów (o, dawno pana nie widziałem, panie Krzysiu!). Początki zapowiadają rewelacyjne zmiany krajobrazu, jednak trujące nasiona sypią się szybko. Już podczas drugiego spotkania, dajmy na to wypadu do knajpki, krzew ozdobny się nadyma. Zaczyna się od obowiązkowych grymasów w kwestii napojów. Piwa nie lubi. Szampana owszem, ale tylko francuskiego. Kir royal jest tuczący. Wódkę chętnie, ale w zmrożonym kieliszku. „No to może wieczór na trzeźwo”, proponuje zniecierpliwiona alpinistka i serwuje wodę. Wodę? Krzew ozdobny nadyma botoks. Uwielbiam wodę, piję dwa litry dziennie. Ale wodę mineralną, a to jest jakaś butelkowana kranówka. Nagle wszyscy drętwią. O matko, wypiliśmy tyle kranówki? Zamiast oddawać się sztuce konwersacji, zaśluchiwać w ujmujących anegdotach ukochanego kolegi, który, aby przyjść tu dziś, musiał okłamać zazdrosną żonę, martwimy się o to, że krzew ozdobny siedzi o suchym botokсовym pysku. W dodatku uświadomił nam, że pijemy ścieki. I że jutro rano obsypią nas krosty. W przypadku wizyty u nas w domu krzew ozdobny zaczyna od zachwyków. „Ależ pięknie nakryty stół, szykuje się uczt bogów”. Nasi starzy znajomi czują się u nas tak wygodnie, że dawno przestali zwracać uwagę na detale. Ale nasienie wciąż truje. Gdy wszyscy zajadają się kolacją, krzew ozdobny siedzi nad prawie pustym talerzem. Nie, nie jest wegetarianką. Jada ryby, jada wszystko. Ale dziś słabo się czuje. Może zaparzę miętę, dopytuje gospodarz, gorączkowo szperając w puszcze przeterminowanych herbat. Gospodarze i ich obszar już zdławieni. Nawet kolega literat przerywa lawinę anegdot, bo przypomniał mu się jego sterczący brzuch. Tak naprawdę to on, a nie krzew ozdobny powinien pić samą miętę na kolację. Mężczyzna krzew nigdy nie czuje się źle. Wiadomo, taka słabość charakteru jest niegodna faceta. On truje

atmosferę za pomocą porównań. Niszczy krajobraz poprzez dokonywanie analogii. Pokazujemy mu fotografię bizantyjskiej mozaiki z muzeum w Pergamonie. Z wypiekami na twarzy mówimy o jej mieniących się kolorach. „No tak, niemieccy archeolodzy sporo się nakradli. Ale musisz pojechać na Wyspę Wielkanocną obejrzyć te posągi. Jak je zobaczyłem, to zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Jak ci mieszkańcy je ustawili, nie mając nawet kół, o dźwigach nie wspomnę”. No tak, Pergamon to nie lot w kultury Polinezji... Już zatruta atmosfera. Jesteśmy z mężczyzną krzewem na przyjęciu. Gospodarz częstuje przywiezionym z Kuby cygarem. Krzew ozdobny już porównuje: „Kiedyś paliłem cygara na Dominikanie. Są dużo lepsze niż kubańskie, choć mniej znane”. Kolega krzew odwiedza twoje nowe biuro. „Nie zrobiłeś choć małej jadalni? To gdzie będziesz flirtował z pracowniczkami? Ja to mam, stary, fatalną reputację w biurze, wszystkie laski na mnie lecą. Musiałem wymienić drzwi do gabinetu na przezroczyste, bo się normalnie na mnie rzucały”. Krzew ozdobny raz wprowadzony do naszego krajobrazu jest już nie do wyplenienia. Można użyć środków chemicznych, ale wtedy zastaniemy krajobraz po bitwie. A po takim widoku trudno wyjść z traumy.

Zarządzanie czasem

W miejskim ośrodku rekreacji odgłos spadających kasztanów mieszał się ze świstem raketek do badmintonu. Miasto przeciągało się we wrześnieowym słońcu. Fruwająca lotka jęczała i jak brazylijski niewolnik smagany przez Leoncia na plantacji trzciny cukrowej. Ukrywająca cellulitis pod luźnymi termodynamicznymi dresami z kolekcji najnowszego gejowskiego projektanta panna Małgosia to magister farmacji. Po drugiej stronie siatki w luźnym, wyszczuplająco czarnym T-shircie ze śmiesznym napisem, na przykład „Jesus is coming. Look busy”, uwija się pan mecenas Dariusz z kancelarii Najman & Najman & Najman. Sądząc z zachowania przy zmianie stron – siadają na jednej ławce, ale dzieli ich torba – pani magister i pan Dariusz kolegują się. To nie znajomość profesjonalna, romans czy małżeństwo, tylko koleżeństwo. Tak się panna magister wyemancypowała, że może istnieć w obiegu jako kolega. I nie trzeba brać jej do łóżka czy nawet żenić się z nią po to tylko, by spędzać wspólnie miło trochę czasu. Zapamiętałam ten sielski obrazek sprzed trzech lat. Od tamtej pory panna magister Małgosia lotki nie smaga. Zapytana w aptece za rogiem „Dlaczego nie widać pani na badmintonie?”, odpowiada: „Pani redaktor, wykupiłam trzy lata temu karnet na 10 gier i jeszcze go nie wykorzystałam. Kto ma czas na badminton?”. Pani magister ma trzy apteki i dwóch synów, dla których jest szoferem. Wozi ich do prywatnych szkół, codziennie wyrabiając swym autem po 50 kilometrów. Benzyna drożeje, więc pracować trzeba więcej. Pan mecenas zapuścił brzuch na bułach z cateringu dostarczanego do kancelarii, narzeczoną widuje tylko w weekendy, mejle prywatne wysyła o drugiej w nocy, a o świcie pisze doktorat. „Nie mam już czasu nawet na badminton, więc kupiłem «Gazetę Prawną» z insertem *Zarządzanie sobą w czasie, czyli jak znaleźć czas na to, co najważniejsze*. Ale w sumie to nie mam czasu na czytanie tego tekstu, może ty mi zrelacjonujesz porady autora?”, wyznał mecenas. Pilnie usiadłam do lektury.

Tekst otwiera lista pytań. „Czy potrafisz znaleźć czas dla siebie, aby poświęcić go na własną rekreację, rozwój intelektualny lub fizyczny?”. Hm... Rekreacja – truchtanie po schodach, biegi na spotkania z klientami, podnoszenie kartonów w biurze, kąpiele słoneczne na tarasie podczas przerwy nikotynowej? Rozwój intelektualny? Aby nadążyć za zmianami w świecie – szkoli się. Nowe technologie, neurolingwistyczne techniki negocjacji, warsztaty z komunikacji. Aby dostać posadę w oddziale w Barcelonie – uczy się hiszpańskiego. Dla satysfakcji – o świcie pisze doktorat. „Czy spotykasz się z przyjaciółmi tak często, jak masz na to ochotę”. Hm... Ostatni raz widzieliśmy się podczas piątej rocznicy istnienia jego kancelarii. Mecenas nie ma siły na ochotę. Aby zaoszczędzić czas, przyjaciół ma tylko w kancelarii. „Czy wiesz, jakie są Twoje priorytety”. Hm... Przeżyć, rozwiązywać ciekawe sprawy, tworzyć dobre prawo, mieć szczęśliwą rodzinę i dom, cieszyć się życiem, podróżować, czytać. Czyli po prostu podstawa. „Czy potrafisz zaplanować swój dzień tak, aby realizować zadania, które przybliżają Cię do realizacji Twoich ważnych celów?”. Hm... Przedłużając dobę z 24 do 30 godzin, jest w stanie realizować się w pracy, przeżyć (rachunki, kredyt hipoteczny, auto, sprzętaczka, wakacje, ubrania godne mecenas, jedzenie na mieście, gdyż na gotowanie nie ma czasu). Narzeczoną na szczęście niedroga w utrzymaniu, bo dzięki pracy po 15 godzin dziennie s płaca się sama. Autorzy insertu informują nas, że jeśli „na którekolwiek z pytań odpowiedziałeś przecząco, to powinieneś zapoznać się z nauką zarządzania sobą w czasie”. Na prawie wszystkie mecenas Dariusz odpowiedziałby przecząco. Ja też. Państwo też? Niestety. Recepta na poprawę, czyli na znalezienie czasu na to, co najważniejsze, według „Gazety Prawnej” jest prosta. Wystarczy unikać pożeraczy czasu, do których należą na przykład „przedłużające się przerwy na relaks w postaci czytania gazety czy przerwy na kawę”. Ciekawe, jak mamy dać sobie radę w pracy bez

„Gazety Prawnej”. Bez jej lektury nie zarządzimy sobą w czasie, nie poznamy nowych ustaw. Bez przerw na kawę nie zbudujemy więzi z klientem czy z przyjaciółką. A dojazdy do i z pracy to nie pozeracze? Nie stać nas na mieszkanie w centrum, a powrót z centrum do Białołęki trwa półtorej godziny. Droższe mieszkanie oznaczałoby większą ratę kredytu, a doba ma już przecież 30 godzin. Autorzy „Gazety Prawnej” przestrzegają nas przed lękami i chorobą wieńcową, radząc, aby „zabiegany człowiek uświadomił sobie, że przestał dbać o swoje podstawowe potrzeby, zarzucając je na rzecz potrzeb materialnych”. Ale czyż potrzeby materialne nie są właśnie podstawowe? Dach nad głową? Edukacja syna (2 tysiące złotych plus dojazdy do szkoły). Ponadto radzą nam, abyśmy pozbyli się „ciągłej potrzeby udowadniania sobie i światu własnej wartości”. Jestem średnim prawnikiem, prowadzę średnio zaopatrzoną aptekę, piszę nie najlepszy doktorat. Ale czy to nie pierwszy krok do utraty pracy? Zaleca się również unikanie perfekcjonizmu i delegowanie obowiązków. Hm... Jak tylko pozwolisz, aby ktoś zrobił coś za ciebie, to jest prawie pewne, że stracisz potem mnóstwo czasu na to, by odkręcać to, co spartaczył. Źle zaprezentował raport, który napisałeś, brzydtko wyeksponował slajdszoł, który tworzyłeś godzinami i nawet nie wiedział, że jest do niego muzyka. Krótkie odcinki czasu mamy planować według reguły 60:40 – „zaplanuj tylko 60 procent swojego czasu, co oznacza, że pracując planowo osiem godzin dziennie, potrzebujesz zaplanować pięć godzin, aby plan był realny do spełnienia”. Kto pracuje pięć godzin dziennie i jest w stanie przeżyć? Miliarder na Florydzie? Arystokrata brytyjski, który odziedziczył pięć pałaców? Sycylijski emeryt? Lewicowy filozof francuski? Anonimowi autorzy insertu do „Gazety Prawnej”? Na pewno nie my, trzydziestolatkowie i czytelnicy „Gazety Prawnej” próbujący przetrwać w gorącym klimacie współczesnej polskiej dżungli. Chyba powiem mecenasowi, aby nie marnował czasu na lekturę insertu.

Błyskawicznie wolne

Od kiedy etaty potracili cenzorzy partyjni siejący postrach wśród dziennikarzy i redaktorów, cieszymy się z wolnych mediów 24 godziny na dobę, bez przerw na usterki techniczne i hymn narodowy ogłaszający koniec programu, możemy oglądać telewizję, słuchać radia, serfować i gaworzyć sobie w sieci. Dojrzałe pokolenie dziennikarek mogło otrząsnąć z kurtek kurz podziemia i zacząć nadawać, nagrywać, pisać nad ziemią. Nie musimy już korzystać z podziemnych drukarek, wręcz przeciwnie, pewna firma telekomunikacyjna dodaje teraz klientom do umowy darmowe drukarki jako miły gadżet (czytaj: trik lojalnościowy). Wczoraj byłam świadkiem następującej rozmowy. Klientka patrząca z przerażeniem na karton z drukarką pyta: „Po co mi pani daje tę drukarkę, przecież mamy budować społeczeństwo elektroniczne, bezpapierowe. Ja w pracy niczego nie drukuję, mam air booka, proszę pani, co ja z tą drukarką zrobię?”. Umęczona pracownica firmy w wymęczonej apaszcze odpowiada: „A nie wiem, tak mam w systemie, niech pani złoży reklamację przez brunatną linię, to może pani dadzą coś innego”. Ponieważ staliśmy się w tym czasie społeczeństwem multifunkcyjnym (czytaj: nie potrafimy skupić się na jednej rzeczy), wielu z nas korzysta ze wszystkich wolnych mediów naraz. Jednocześnie oglądamy mecz, słuchamy radia, dyskutujemy na forum z innymi kibicami w necie. Tak się zachłysnęłam euforią wolnych mediów, że zapomniałam dodać, iż są nie tylko wolne, ale i szybkie. Tak, tak, czego ci Amerykanie w CNN i inni nasi demokratyczni przyjaciele, od których potulnie czerpiemy wiedzę, o przepraszam, *know how* (czytaj: nołhał), nie wymyślą. Jako wierna słuchawka radiowa, telewidzka i sieciówka po głębszej analizie stwierdzam, iż wyróżniamy trzy rodzaje demokratycznych audycji medialnych: 1. Lakoniczna, 2. Sieczka, 3. Powierzchnowa. Audycja typu Lakoniczna. Radio Indeks: „Witam w audycji «Koniunktura», w której dziś odpowiemy sobie na pytanie, co z tą prognozą. W studiu witam naszego eksperta z Centrum Badań Ekonomicznych im. Adama Rozenbauma, pana profesora Zbigniewa Dukatowskiego. – Panie profesorze, jakie prognozy? – Witam, panie redaktorze, no cóż, z jednej strony brakuje sygnałów zapowiadających poprawę koniunktury. Wskaźniki każą spodziewać się pogorszenia warunków gospodarczych, z drugiej strony jednak koledzy z Luksemburga... – Panie profesorze, proszę tak nie straszyć słuchaczy, powiedzcie coś optymistycznego, warunki gospodarcze słabe, ale narciarskie wspaniałe, ha, ha, ha. Na lodowcu do kwietnia można jeździć. – Druga połowa roku prezentuje się nieźle, myślę, że fatalne osłabienie złotego nie potrwa długo, a poza tym wskaźniki mówią nam, że jest lepiej niż w Rumunii, na Białorusi i w Niemczech... Dziękujemy ekspertowi za wypowiedź i to na tyle w dzisiejszym wydaniu «Koniunktury», zapraszam na program o cesarskich cięciach w niskiej cenie, ale to po reklamach”. Audycja typu Sieczka. Program 7 Telewizji Polskiej. Audycja sieczka dzieje się co prawda w tempie błyskawicznym, ale za to porusza kilkanaście wątków w ciągu dziesięciu minut i jest interaktywna – widzowie mogą czynnie angażować się w jej przebieg, wymieniać uwagi, korzystać z porad. Widzowie przestali być biernymi kartoflami wylegającymi się na kanapach, stali się lotnymi współtwórcami wolnych mediów. „Witamy państwa po reklamach, wracamy do tematu naszej porannej audycji «Jak stracić dziewictwo». W studiu gościmy naszych jedenastu ekspertów, w tym seksuologa, ginekologa, księdza, siostrę Zofię z klasztoru Bernardynek, uczennice i uczniów Liceum im. Orzeszkowej, nasze cudowne gwiazdy filmowe, które opowiedzą o swoim pierwszym razie. A w kuchni mistrz przygotowuje menu pełne afrodyzjaków. Dajmy głos młodym. Napisałaś w swoim blogu, że cytuję: masz stresa, bo jeszcze jesteś dziewicą i koleżanki się z Ciebie śmieją. – Mam już 16 lat, kumpele wytykają mnie palcami, na cotygodniowych imprezkach, jak wszyscy chowają się do toalet, to ja nawet na petting nie mam szans. – Ale czy nie uważasz, że to trochę za wcześnie na takie sprawy,

czasem są one źródłem stresu. Łączymy się z uczennicą liceum, która pragnie pozostać anonimowa i która tak przeraziła się pierwszego razu, że pogotowie zawiozło ją do szpitala. – Podobno tak krwawiłaś, że pogotowie cię zabrało. A co nasz ginekolog na to? – To są sprawy, do których trzeba dojrzeć, wymagają czasu, czulego partnera... Co ksiądz na to? Nie wierzy ksiądz w seks przed ślubem? Uczennice nie wierzą już w seks po ślubie? O, widzimy na pasku, ile mejli od widzów, padają ostre słowa. Dziękujemy, czas nas goni, a pogodynka już się niecierpliwi, łączymy się z pogodynką”.

Audycja typu Powierzchnowa. Radio XYZ. Eksperti marketingowi ustalili, iż człowiek XXI wieku nie jest w stanie śledzić jednego wątku dłużej niż cztery minuty. Dlatego dziennikarz kategorycznie nie może mówić długo na jeden temat, żadnych kazań, jest demokracja i najważniejszy jest głos klienta – konsument audycji nasz pan.

„Cześć, ciepłutko witam was, dziś porozmawiamy o ciepłej bieliźnie. Pan Henryk z Mławy pisze, że przetrwał zimę bez kalessonów. O, a pani Teresa twierdzi, że pomimo iż babcia siłą wkładała jej w czasach przedszkolnych rajstopki, to ona co najwyżej dwa razy w roku pończoszki założy. W «Gazecie Polskiej» czytamy o losie zamkniętych zakładów włókienniczych w Żyrardowie. Kiedyś produkowano tu polskie kalessony, ale niestety kupili i zmodernizowali zakłady Francuzi, po czym okazało się, że francuska bielizna jest do niczego. Polecam państwu ten artykuł. Wrócimy do rozmowy, piszcie do nas mejle, esemesy, a może wygracie zestaw jogurtów i pralkę, a teraz piosenka z płyty koncertu Bumiwersal. Cudny kawałek, wiem, że najpierw wam się średnio podobał, ale wystarczyło, byśmy go zagrali piętnaście razy, i od razu przypadł wam do gustu”.

Zniewolone media zepchnęły dziennikarzy pod ziemię. Pod ziemię zapadli się wkrótce cenzorzy. Dziś wolne media sprawiły, że uprawiając ten zawód, często mam ochotę zapaść się pod ziemię.

Kolej rzeczy

Ostatnio pewien czterolatek zapytał mnie: „Czy Pan Bóg ma adidasy?”. Zwykle nie pisuję o dzieciach na łamach naszego miesięcznika, bo są tylko dodatkiem do dorosłych. Dodatkami zaś zajmują się znawcy z działu mody. Tym razem jednak zrobię wyjątek, gdyż nie sądziłam, że osoba, która jeszcze przed chwilą wchodziła na stojąco pod szafę, zacznie poruszać sprawy tak ostateczne jak stan obuwia w przestworzach niebieskich. Uczni wcióż zadają sobie pytanie: „Z czego składa się wszechświat?”, a przecież sklepienia boskich szaf mogą być pełne sportowych trampek.

– Pan Bóg może mieć tyle adidasów, ile zechce – odparłam. – Szczególnie że produkcja odbywa się w Chinach i jest o niebo tańsza.

– A co się z nimi stanie? – drażył temat mój rozmówca. – No, bo moje adidas, jak są za małe, dostaje Julka. A jak Mati wyjechał do Francji, to dostałem całego Scoobiego, bo on zapomniał.

– Sądzisz, że Bóg się wyprowadzi albo że rośnie mu stopa, albo po prostu chętnie rozmnaża adidas i sypie nimi z nieba? – Tak.

Co powiedziec dziecku, które stawia nas przed pytaniem ostatecznym? Oklepane: Jak będziesz grzeczny, to Bóg uwzględni i ciebie na liście gratisowych adidasów? Jeśli powiem, że Pan Bóg nie ma butów, bo ich nie potrzebuje, to może być ryzykowne. – W Biblii dla dzieci widziałem Jezusa w sandałach. Nieźle się wpakowałam. Rozmowa o adidasach sprowokowała mnie do myśli, co się dzieje z przedmiotami, które nas otaczają. Czy w gorączce wymieniania wszystkiego na nowe nie zatarł się w nas sentyment do przedmiotów. „Misją człowieka na Ziemi jest pamiętanie. Pamiętać, by pamiętać”, pisze Henry Miller we wzruszającym eseju o latach, w których żył we Francji. Z tęsknotą wspomina stare fotele w hotelikach, w których pomieszkiwał. Fotele, które trzymały się kupy dzięki drutom, gwoździom, paskom. Te fotele były dla niego świadectwem czyjejs tożsamości. Dla nas na skalę narodową pewnie takie znaczenie może mieć fortepian Chopina, dom w Stawisku, obrączka pani Marii Kaczyńskiej. Ale prywatnie, czy nie tęsknią Państwo za przedmiotami, których się pozbyliście?

Mam kumpla, od którego w takim tempie uciekała narzeczona harcerka, że zostawiła najcenniejsze przedmioty. Namiot! Bidon! Torbę *à la* chlebak. – Nie odesłałeś jej tego? – Nie, uciekła z jakimś typem do Australii. Z namiotu regularnie korzystam – wyjaśnił kolega. – Z innymi kobietami sypiasz w jej namiocie? – To co, po każdej pannie mam wyrzucać materac? – Kolega prezentuje istic schopenhauerowski brak utopii. – Chcesz tę torbę? – spytał mnie, widząc zachwyt w moim oczach. Ze strachu jakoś nie wzięłam, ale w sumie czego się bałam? Że ta harcmistrzyni gdzieś mnie spotka i spuści łomot za to, że paruję z jej wintydzowym chlebakiem, którego mi nigdy nie dała? Na studiach rzucił mnie pewien student grafiki. Ponieważ bał się rzucić mnie wprost, to jakoś naokoło rzucił, czyli bez uprzedzenia wystawił ze swojego pokoju akademickiego. W siatce umieścił aparat fotograficzny, trochę ubrań, ale też kubek do kawy z napisem „Texas Pawn i Brokers 1991”, który błędnie mnie przypisał. Mam ten kubek do dziś, uwielbiam go, trudno określić dlaczego. Czy przypomina mi o tym, że większość ludzi na początku znajomości kryje się za maską? Ież ludzi po rozstaniach z niegdyś uwielbianymi partnerami twierdzi, iż byli z „wariatem” lub „jakąś wiedźmą”. A może po prostu wyblakły już

napis „Texas” (od setek myć w zmywarce) kojarzy mi się z południem USA i szeryfami, którzy w dzieciństwie mi imponowali. Być szeryfem, mieć wielki kubek i trzaskać kajdankami. Marzenie. Niestety tragiczne katastrofy, które zdarzają się na Ziemi często, prowokują mnie do myślenia o przedmiotach. Czy ja wiem, które przedmioty są szczególnie bliskie mojej rodzinie? Na 20. urodziny dostałam od przyjaciół kupioną w antykwariacie złotą obrączkę z kamyczkiem, wewnątrz wygrawerowano obce inicjały i przedwojenną datę! Jest piękna, noszę ją często. Czy to nie mylące, gdy rzeczy po innych trafiają do nas? Czy mamy prawo je nosić bez ich woli? Czy jakiś przedmiot odmienił kiedyś Państwa życie w sferze niematerialnej? Mnie się to zdarzyło. Mój narzeczony odziedziczył w spadku po babci kryształowy półmisek na jajka. Kryształy były całe lata niemodne, a Krzysztof Teodor Toeplitz genialnie wyśmiał te cacka w jednym z odcinków *Czterdziestolatka*. – Ja się zaopiekuję tym półmiskiem, coś mnie wzięło na jego widok – powiedziała narzeczonemu gotowemu wystawić półmisek na Allegro. Symbolizował świat bardzo mi odległy. Moja rodzina nie lubiła kryształów. Nikt u nas nie przepada za jajkami, a tym bardziej nie podawało się u nas jaj podczas imprezek, wódeczek czy uroczystych przyjęć. Jego babcia zapewne używała go podczas świąt wielkanocnych, których ja przy stole nigdy nie obchodziłam. Ale dwa lata temu poczułam pragnienie wypełnienia pustki tego półmiska (choć jego dawnej właścicielki nawet nie znałam). Zorganizowałam w domu Wielkanoc, od kumpla wzięłam przepis na jaja faszerowane. Półmisek zrobił furorę. Jaja też. Niedawno znajoma chciała kupić ode mnie tę rzecz. Za żadne skarby. Przedmioty może są bez sensu, ale zgadzam się z Henrym Millerem, że nadawanie im sensu nie jest bez sensu. Dzięki nim łatwiej pamiętać, by pamiętać.

Popcorn

Dzieci nie są *glam*. Nie są *glamour*. Nosi się je dużo gorzej niż broszkę z brylantami, którą te zachłanne istoty mogą nam tylko wyrwać, robiąc dziurę w bluzce. Poza tym, gdy w jednej ręce trzymamy srebrnego iPhone'a, a w drugiej torebunię od Batyckiego, to po prostu dziecka nie da się nigdzie włożyć ani wkomponować. Choć wielu rodziców utrzymuje, iż dzieci ich odmładzają, śmiem twierdzić, że dziecko postarza. Odmładzając się, wymieniamy naszych partnerów co jakiś czas na młodszych, a dziecko niestety wciąż pozostaje to samo, tylko jak na złość coraz starsze, i psuje nam cały wyretuszowany obrazek. Rozumiem koleżanki i kolegów mających dzieci, którzy udają, że dzieci nie mają. Nie jest to łatwa sztuka. Dziecko nie tylko odstrasza i tak w dzisiejszych czasach nieśmiały playboyów, ale niczym słoma z butów wychodzi w niespodziewanych momentach. I najważniejsze: człowiek bezdzietny nie jest narażony na rozmowy o dzieciach, które to rozmowy potrafią zdominować niejeden elegancki wieczór. Człowiek bezdzietny zostanie przez rozmówcę zapytany o wpływ fotografii Cindy Sherman na świat mody, a człowiek dzietny zapewne usłyszy: „Co twój ortopeda radzi w sprawie pierwszych bucików?”. Tymczasem ja lubię rozmowy o dzieciach, bo pod ich przykrywką buzują sekretne lęki i fantazje. Nagle odzywają się dotąd milczące osoby, osoby, które na inne tematy niż dzieci nie mają nic do powiedzenia. Jasne, czasem szkoda, że się odezwały, ale bywa sporo niespodzianek. Pewien milczący jak głaz mąż fotografki uważanej za genialną opowiedział mi o dzienniku, który od kilku lat prowadzi dla swej córki. Ojciec ten dokumentuje życie swego dziecka, zbiera pamiątki, pukle włosów, opaskę szpitalną, pierwszy becik, fotografuje namiętnie, zdjęcia opatruje komentarzem, układa w ciekawe kolaże. W sumie cały projekt okazał się dużo ciekawszy niż banalne reklamowe billboardy, z których słynie gadatliwa żona. Podczas gdy żona natarczywie promuje się, wciskając na przyjęciu zaproszenia na własny wernisaż, mąż tworzy dzieło, które może przyćmi misterne działania Gerharda Richtera. Spytałam, czy w dzienniku, który będzie miał czytelniczkę, a więc nie jest tajnym dziennikiem, stać autora na szczerość. Wszak dzieci potrafią w rodzicach wyzwać prócz miłości nienawiść, znużenie, nudę. Obarcza się je winą za to, że zamiast poświęcać się pracy i zabawie, miksujemy im kleiki. Czy pisze córce o tym? Rozpętała się dyskusja o szczerości dzienników. Czyż każdy dziennik nie jest tak naprawdę rodzajem fikcji? Cytowano Kafkę i Manna, dopóki jakaś bezdzietna osoba nie przerwała nam, mówiąc: „A wy tylko o dzieciach i o dzieciach”. Bezdzietny wśród dzietnych czuje się jak niepijący wśród pijących – wolny od kajdan nałogu, ale poza kręgiem. W dobie popkultury i powszechnej dostępności mediów wielu rodziców czuje się zagubionych. Oni mieli tylko *Teleranek i Dobranockę*, a teraz, jak mają wybierać programy dla swoich pociech spośród zalewu szmelcu? „Ostatnio obejrzałem z synem wszystkie *Dobranocki*, od poniedziałku do piątku. To straszne, jest tylko jedna, w której nie ma przemocy, nawet w *Kreciku* się biją” – zwierza się kolega. „Wydaje mi się, że przez takie bajki mój syn włożył młodszej siostrze palec w oko” – psychologizuje kolejny rozmówca. Zdarzają się ambitni rodzice, którzy wychowują pociechy bez telewizora. Przestrzegam przed tą metodą, drodzy Państwo! Autorka tego tekstu jest ofiarą takich właśnie rodziców.

Przyczyniło się to do wielu nieszczęść w moim dzieciństwie. Dzieciństwo bez popcornu jest dzieciństwem samotności i wykluczenia. Gdy cała klasa omawiała kolejne odcinki *07 zgłoś się*, nie wiedziałam, o czym mówią. Gdy koledzy na plecach flamastrami rysowali logo AC/DC, nie byłam w stanie odcyfrować tych hieroglifów. Na podwórku koleżanki założyły zeszyt, do którego wklejały zdjęcia Aniołków Charliego wycięte z pisma „Świat Młodych”. Dla mnie były to po prostu zdjęcia obcych pań, stałam poza kręgiem, byłam niewtajemniczona.

Rodzice zaszczyli mi miłość do sportu, ale co z tego, że zdobyli dla mnie plakat złotowłosego Stefana Edberga, jeśli wtedy liczył się tylko George Michael z Wham. O takiej muzyce w domowym zbiorze winyli (dzieciństwo bez nowego sprzętu elektronicznego, bo przecież stary jeszcze działa!) nie było mowy, czyż Louis Armstrong i Miles Davis i tak nie są lepsi? „Nie oglądałaś *07 zgłoś się*? – pyta mnie dziś pewien troskliwy tatuś pozwalający dziecku oglądać bajki tylko w niedzielę. – Bo ja dzięki temu serialowi po raz pierwszy widziałem nagą kobietę. Fantazjowałem po każdym odcinku!”. Wszystkie seriale z dzieciństwa musiałam obejrzeć jako dorosła kobieta, ale to już nie to samo, brak emocji, oglądasz na zimno. Udało mi się w dzieciństwie zobaczyć tylko *Czterech pancernych i psa*, bo puszczała to akurat w czasie, gdy siedzieliśmy po lekcjach w świetlicy. „Przez ten serial lubię małe wnętrza i kajuty statków – mówi kolega – bo oni tam wciąż razem w tym ciasnym czołgu”. Mnie *Czterej pancerni* kojarzą się z męskością i majsterkowaniem. Mężczyzna, który nie boi się okazać ciepła i przywiązania w stosunku do męskich przyjaciół. Facet, który bez przerwy kręci jakąś korbą, naprawia sprzęt, lutuje, czyści ze smaru i z rdzy – to typ zaradnego i ciepłego pancernego. W życiu dorosłym nieźle się rozczarowałam, bo współcześni narcyzowie kochają głównie siebie, rąk sobie nie brudzą, bo szkoda psuć manikiur, i marzą o pustym stumetrowym wnętrzu, a nie czołgu pełnym towarzyszy radzieckich.

Czy seriale z dzieciństwa formują nasze zachowanie? Nawet specjaliści nie są co do tego zgodni. Jednak składają się pewnie na zbiorową pamięć. „To dobrze dorastać bez telewizora, dzięki temu człowiek ma inny, świeży punkt widzenia”, analizują rodzice. Tylko czy jedenastolatek marzy o świeżym punkcie widzenia, czy raczej o świeżym popcornie? Warto oglądać seriale i paplać o dzieciach – to nader pouczające formy tracenia czasu.

Jestem przeciw

Moją tezę opieram, drodzy rodacy, na realiach życia przeciętnej trzydziestoletniej Europejki środkowowschodniej. Każdej z nas należy się jak najwcześniejsza emerytura. W obecności dwóch magistrów z Urzędu Statystycznego oraz pani prezes Adrianny Pieniążek z firmy doradczej Global Citizen wylosowałam zawodowy życiorys jednej z setek tysięcy współczesnych Polek. Upadek muru berlińskiego zastał tę 17-latkę w nieogrzewanym, wilgotnym tramwaju. Obywatelka będąca uczennicą Liceum im. Gottwalda przysypiała ze zmęczenia. Jak co dzień wstała o 5 rano, by przed szkołą zdążyć na trening drużyny siatkarskiej do klubu Orzeł. Teraz po szkole pędzi na prywatne lekcje angielskiego, gdyż znajomość rosyjskiego szlifowana w tym prestiżowym liceum w przyszłości nie wystarczy. Choć to dopiero październik, dziewczyna jest już wycieńczona, całe wakacje przepracowała w smażalni Złota Rybka w Gąskach. Jeśli zrobi postępy w angielskim, najbliższe wakacje spędzi, kręcąc lody w brytyjskiej lodziarni. Pracę musiała rozpocząć w wieku 16 lat, rodziców bowiem nie stać na korepetycje i wyjazdy na kursy językowe. Bez dobrych wyników w nauce nie dostanie się na studia i obciachu sobie narobi. A obciach w życiu nastoletniej damy jest większą tragedią niż niejedno trzęsienie ziemi w Peru. Dyskoteki, płyty Kultu, koncerty Republiki, wypad do Jarocina, artykuły monopolowe na wagarach to wszystko podstawa, aby w szkole przetrwać. No i fatalaszki. Rodzice naiwnie myślą, że jak jej kupili parę kozaków na jesień, to wystarczy. Raz już ją koleżanki wyśmiały od brudasek za to, że codziennie w tych samych ciuchach łązi. Wiadomo, że dobry but modeluje nogę. Jak nie będzie o siebie dbać, to Robert czy inny pies z kulawą nogą na nią nie zerknie. A przecież myślą z Robertem o wspólnym wypadzie na narty, bo inaczej to nie da rady wspólnie spać. A zakonnica przecież nie ma zamiaru zostać. Wkraczając w wiek studencki i okres reform Balcerowicza, przeciętna obywatelka jest już zatem po przejściach. Kilka nieudanych związków, zdrowie i portfel nadwyrężone lekami antykoncepcyjnymi, za które dziwnym trafem płaci zawsze obywatelka, a nie obywatel. Ponoć w zamierzonych czasach kobiety na studiach nie pracowały, tylko studiowały i to za darmo. To dziś brzmi równie fantastycznie jak legenda o Warsie i Sawie. Dziś za każdą powtórkę egzaminu trzeba suto zapłacić. Studentka jest tak zestresowana, że stara się dociągnąć do piątku, aby wreszcie uderzyć w miasto. Po pięciu latach i napisaniu lub zakupieniu za ciężko zarobione pieniądze pracy magisterskiej obywatelka jest już mocno wymiętoszona. I wkracza w trzeci etap kariery zawodowej. Aby firma ją zatrudniła, musi być młoda, doświadczona, bezdzietna. Aby taką formę utrzymać, ta rzekomo młoda kobieta zatrudnia kręgarza z Mongolii (od pracy wysiadł jej kręgosłup), trenera osobistego, no i opiekuje się narzeczonym. Wieczorami po skończeniu swojej pracy kobieta pomaga partnerowi rozkręcać jego firmę (drugi etat), zajmuje się domem (trzeci etat). Dwutygodniowy urlop spędza, malując ich nowe mieszkanko, gdyż budowlańcy wyjechali do Szwecji, a jej partner nie ma głowy do spraw przyziemnych (remont to czwarty etat). Ilość pracy doprowadza obywatelkę Europejkę do takiego poziomu stresu, iż musi dodatkowo zarobić na pobyt w sanatorium. Doraźne leczenie nie pomaga i pod czterdziestkę obywatelka jest już zawodowo pijącą alkoholizką po dwóch rozwodach, kilkunastu nieudanych związkach (najwierniejszy okazał się związek z Klubem AA i mecenasem), co najmniej czterech zmianach miejsca pracy i z jednym samotnym dzieckiem. Sukcesy firmy, którą założyła, już jej nie cieszą, bo przed zaśnięciem myśli o zwolnieniach, które będzie musiała przeprowadzić, i o swoim dziecku, które zna jej twarz głównie z fotografii. Jestem za wcześniejszymi emeryturami, zdarza mi się bowiem mijać moją osiedlową bibliotekę i wypożyczalnię publiczną czynną w godzinach między 10.00 a 19.00 od poniedziałku do piątku. Jeszcze ani razu nie zdarzyło mi się w tych godzinach nie być zajętą. Biblioteka świeci pustkami. Korzystają z niej nieliczni

studenci oraz eleganckie staruszki, które wiosną i latem wertują książki na ławce przed budynkiem. Ich widok wzbudza we mnie zazdrość większą niż ta, którą dymi Otello. Jestem za wcześniejszą emeryturą, bo chcę mieć czas poznać twórczość Jamesa Schuylera, pisać haiku do szuflady, odwiedzać publiczne czytelnie w moim mieście, udzielać się społecznie w radzie miejskiej, działać charytatywnie na rzecz zwierząt, grać *online* w kanastę, obejrzeć w starych albumach arcydzieła japońskiej sztuki drzeworytu, nauczyć się robić suflety, popłynąć z przyjaciółkami na Bornholm, przespać się w latarni morskiej. Chcę zdążyć zaprzyjaźnić się z moim wnukiem bądź wnukami kolegi, pokazać mu na starych cyfrowych fotografiach świat po upadku muru berlińskiego, świat aut hybrydowych i konserwantów. Chcę wreszcie mieć czas na bycie elegancką starszą panią i nosić fioletowe szale z jedwabiu oraz białe rękawiczki. Jako statystyczna wdowa na emeryturze chcę marzyć o kolejnej namiętnej miłości lub cieszyć się nowym mężczyzną. Wolę być biedną emerytką w publicznej wypożyczalni, niż paść na zawał zamknięta w klitce oszklonego open spejsu. Jeśli praca jest jedyną przyjemnością w naszym życiu, to niech koniec zastanie nas w biegu. Jeśli prócz wytwarzania i konsumowania znamy jeszcze inne przyjemności w życiu, to bądźmy przeciw wydłużaniu wieku emerytalnego. Nie chcę, abyśmy chorowali na wieczność. Nie muszę wiecznie pracować, by udowodnić, iż jestem wiecznie młoda. System pierze mi mózg, lansując ideał uśmiechniętej sześćdziesięciolatki fruującej z laptopem od jednej korporacji do drugiej. To ja chyba wolę mieć brudny mózg.

Tanio popsuję,
czyli z życia mojego



Wiem, że są felietoniści uporczywie powracający do pisania o swoich dzieciach, mężach, żonach czy nawet ogródkach. Moje życie prywatne nigdy nie było ustabilizowane, kolebie się niczym łajba, a ja bezskutecznie staram się znaleźć wygodną pozycję. Jest to niewykonalne niczym zasypianie na zepsutym falującym i bulgocącym łóżku wodnym, które w dodatku czasami kompletnie się zapada zalewając sąsiadów. Dlatego owszem, czasami piszę o życiu prywatnym, ale unikam tego tematu, bo felieton to kreacja, a nie dziennik intymny. Raczej chronię swoją prywatność i prywatność bliskich. I dlatego, że nie mam się czym chwalić. W stanach zupełnego rozpadu całą naszą rodzinę ratuje mój brat Łukasz, znakomity psycholog, który jest postacią autentyczną.

Poza tym wszelkie podobieństwo występujących tu osób jest nieprzypadkowe.

Obraza majestatu

Ostatnio byłam świadkiem, jak pewien wątlý nastolatek zapewniał mamuszkę, że owszem, cieszy się, że pojedzie na pierwszy w życiu obóz. Ale oczywiście pojedzie tam z tatusiem, tak? Rozbrojona mamusia, rzecz jasna, nie odważyła się zesłać dziecka na jakąś Syberię, tylko zdecydowała, że będzie kwoczyć mu przez całe lato. Nie wiem, czy to dobrze świadczy o moich rodzicach, ale ja uwielbiałam kolonie, a pierwsze zaliczyłam w wieku lat ośmiu w kurorcie zwanym Nieporęt. W roli deptaka ścieżka nad rzeczką, w roli stadionu klepisko ze sznurkiem markującym siatkę do siatkówki, w roli zrównoważonej diety chleb z dżemem i krówki ciągutki. W sali spało, niczym w szpitalu polowym, dwadzieścia dziewcząt i, o zgrozo, jedna jedyna opiekunka. Prezerwatyw było w bród. Nie z maszyny, tylko z peerelowskiego kiosku na rogu. Starsi koledzy szybko nauczyli mnie sztuki wybuchania. Pokazali, że fajowo jest napełnić gumkę wodą z rzeki, zrobić taki balonik, a następnie z hukiem rozbić go nad głową koleżanki. Choć już wtedy w Polsce nie stosowano wychowania seksualnego, to wystarczyły dwa pobyty na koloniach i wszystko wiedziałam. Po latach, w dobie AIDS, wyładowałam na studiach na obowiązkowej pogadance o antykoncepcji. Para aktywistów z fundacji prozdrowotnej wparowała do sali ze świecącym nowością odlewem penisa. Nastąpiło wyjaśnianie, co jest co, a potem pokaz zakładania prezerwatyw. Studentki kretyńsko chichotały i na pytanie, kto pierwszy podejździe do plastikowego penisa, by nauczyć się skutecznego zakładania wdzianka, zgłosiła się garstka osób (pisząca te słowa, rzecz jasna, też). Reszta ewidentnie nie jeździła na kolonie. Na koloniach okazywało się, że połowa nauki wyciągnięta z domu nie ma zastosowania w życiu społecznym. Na przykład obrażanie się. Matka parę razy powtórzyła mi formułkę o tym, że obrażają się tylko pensjonarki, i myślałam, że tak niemieszczkańskie maniery mają wszyscy obywatele. Tymczasem na koloniach migiem obraziło się na mnie kilka dziewczuszek. Trzy za to, że zamiast oglądać chłopców grających w siatkę, sama z nimi gram. Inne, bo nie wykazywałam zainteresowania ich pamiętniczkami z wpisami od osób, które ledwo poznały przy kanapce z dżemem. Dziś wiem, że człowiek, który się nie obraża, jest okaleczony towarzysko, nie wie bowiem, jak grać w tę jałową grę. Obrażeni stoją w kącie, udają, że cię nie widzą, nadymają usta niby po pięciu botoksach, podają jak nasz prezydent nogę na przywitanie. Obrażeni nie zapraszają do siebie, bo ich ktoś tam kiedyś na coś nie zaprosił. W Polsce obrażają się dzieci i dorośli każdej płci, geje, lesbijki, nowalijki, wszyscy jak popadnie. Dla tych popaprańców, którzy nie chcą tego robić, powinny powstać warsztaty obrażania się, tak jak kursy asertywności czy oddychania do góry nogami. Czy dać obrażonemu spokój, by się ponadymał i pęknął? Czy też pomówić poważnie i od serca, aby się wyzalił? Napraszać się z przeprosinami trzy, pięć, dwadzieścia razy? Niezadawanie się z ludźmi obrażalskimi grozi w naszym kraju samotnością, gdyż tu wszyscy są pensjonarkami. Stąd tak mało u nas prawdziwych mężów i żon stanu. Jeśli się nie obrażasz, mogą przypiąć ci łatkę konformisty bądź wazeliniarza. Krajobrazu na koloniach nie zakłócali wtedy jeszcze wyznawcy feminizmu, więc nikt nas nie maltretował pogadankami o niebezpieczeństwie łupu-cupu na kozuchu już na pierwszej randce ani nie wręczał koszulek z napisem „No means no”. Dziękuję za to, że zdążyłam stracić cnotę przed nastaniem feminizmu, bo gdybym im uwierzyła, mogłabym być do dziś dziewicą. Czasem budzę się w nocy zrana potem z tą koszmarną myślą. Tylu chłopców, tak mało czasu, a tu żaden jeszcze niewykorzystany... Sen mara. Podobało mi się zwykle trzech chłopców naraz, więc aby ciągnąć równocześnie za te trzy sznurki, zmuszona byłam odwlekać decyzję i każdemu wciskać bajkę o tym, że *No means maybe*. Jednak dna nie sięgnęłam, swoją dumę kobiecą wyuczoną w domu miałam. Gołą gombrowiczowską łydka chętnie wywijałam, ale tylko po to, by zwabić upatrzoną ofiarę. Na koloniach w Giżycku podobali mi się Maciek, Grześ i pewna Magda, ale żeby obnażyć się przed pozostałymi

uczestnikami? Nigdy. Tymczasem atrakcją kolonii okazały się wybory miss. Tego było dla mnie za dużo. Na pokazie zamiast w kostiumie kąpielowym wystąpiłam przebrana za faceta. Organizatorka wyborów obraziła się na mnie, na moją mamusię i tatusia też. Kolonie to też pierwsze nieetyczne zachowania w biznesie. Po co rodzice wmawiali mi, że dżentelmeni w towarzystwie nie rozmawiają o pieniądzach? Już pierwszego dnia wszyscy przechwalali się zapasem drogocennych pierniczków, batonów i innych zasobów. Sytuacja ta szokuje mnie do dzisiaj, kiedy to podczas balang opowiada się, kto ile zarobił, lub pyta mnie wprost, ile mi płacą. I po co w czasach szkolnych ojciec najpierw ustalał ze mną stawkę za pastowanie butów, a gdy but był zrobiony na „glanc”, wypłacał mi tę kwotę? Na koloniach dorabiałam, pisząc dzieciom hurtowo pocztówki do rodzin. Gdy po negocjacjach i napisaniu arcydzieła wyciągałam rękę po zapłatę, miny koleżanek wykrzywił grymas irytacji skutkujący zerwaniem współpracy. Szkoda, że kolonijne reguły gry panują na co dzień i żeby od nich odpocząć, trzeba mieszkać na bezludnej wyspie.

Do napisania tego felietonu natchnęła mnie w 2010 roku atmosfera na Krakowskim Przedmieściu, kiedy to po katastrofie w Smoleńsku wszyscy na wszystkich się obrazili, palono kukły, Warszawie chciano jeszcze kilka wielkich krzyży dostawić w centrum. I wyzywano się co sił w pięściach. Zaproszony do udziału w pracach Rady Bezpieczeństwa Narodowego Jarosław Kaczyński stwierdził iż „prezydent Bronisław Komorowski nie jest partnerem do rozmowy”. A pamiętają Państwo słynne zdanie: „Panu to ja mogę co najwyżej nogę podać”, ogłoszone podczas debaty przez Lecha Wałęsę do prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego?

Zniechęta

Pomarańczowy, plastikowy, z okrągłą tarczą. Oraz długim, czarnym i skręconym sznurem. Żaden najczulej hodowany pejs nie dorównał mu długością, sprężystością i lokami. Mam na myśli sznur zwany kablem, który odchodził od pomarańczowego cacka, cudu myśli technologicznej lat osiemdziesiątych, aparatu telefonicznego z fabryki Marcina Kasprzaka. W domu mieliśmy dwa. Jeden w przedpokoju, drugi stał na biurku taty. Gdy dzwonili do mnie koledzy z klasy, którzy chcieli pożyczyć zeszyt, ale i, jak to mawiał mój tata, absztyfikanci, rzecz jasna, trafiali najpierw na tatę. „Tak, słuuuucham”, monotonnym, acz niepozabawionym ledwo słyszalnej zaczepności głosem telefonu odbierał ojciec. Ktokolwiek dzwonił, musiał od razu poczuć się jak petent. Gdy dzwonił kolega z klasy, rozmowa mogła przybrać następujący przebieg: Pan Domu, Redaktor, Bywalec, zwany dalej Panem Danielem: „Taaaak, słucham?”. Jarek, kolega z klasy szóstej A, na osiedlu Dymińska niewyróżniający się specjalnymi umiejętnościami w grze w piłkę, zwany dalej Kolegą: „Mogę z Agatą?”. Pan Daniel: „Proszę zadzwonić później i się przedstawić”. Na tym rozmowa się kończyła, gdyż Pan Daniel odkładał słuchawkę. Programowo nie rozmawiał z ludźmi, którzy dzwoniąc, nie przedstawiali się, co automatycznie kasowało piętnastu kolegów z klasy, pozostawiając w grze trzech absztyfikantów. Dziś ośmiolatka ma już swój ajfon, więc flirtować może spod koldry, z tramwaju, paplając albo wysyłając swe zdjęcia, buźki, serduszka. O ile tatuś zapłaci za dodatkowe minuty. Złośliwym, oj przepaszam, miałam na myśli troskliwym, tatusiom trudno nawet namierzyć, z kim córki się kontaktują i czy absztyfikant przeszedł już mutację.

W zniechęcaniu absztyfikantów tatusiom często nie ustępują mamusie. Moja matula na przykład nie odkładała słuchawki, a wręcz nawet lubiła sobie pogawędzić z dzwoniącymi do córki Bartusiem czy Michasiem. Telefon nie służył jej do załatwiania spraw, ale był zastępczą formą pogawędki przy piwie z bliźnim. U matki bywałam dużo rzadziej, jednak część koleżanek i kolegów miała i tamten numer telefonu. Gdy jej się nie chciało, bo na przykład barometr niekorzystny, matka w ogóle nie odbierała telefonu, czekała, aż odbierze Gosposia, Pani Helenka. Helenka po odebraniu na cały głos krzyczała: „Pani! Dzwoni Kazio”. Wtedy albo następowało ostentacyjne: „Aaaa, jak Kazio, to niech Helena powie, że nie ma nas w domu”, co oczywiście biedny Kazio słyszał z drugiej strony przewodu. Albo życzliwe: „Już podnoszę”. Należało się bowiem unieść z otomany pełnej papierów, zapisków, krówek i podnieść słuchawkę z widełek. „Kazio, no czeeeeść. Tu Agnieszka. Jak było na tej geografii? Zaliczyliście tę kartkówkę z wydobycia rudy żelaza? Agata mówiła że to zołza ta ruda. To znaczy ruda pani od geografii, a nie ruda żelaza zołza”. No i tak potrafiła gawędzić dobre dziesięć minut, zanim Kazio dowiedział się, czy mnie w ogóle zastał w domu. Puenta mogła wyglądać następująco: Matka: „A ty gonisz Agatę? No przecież stoi tu obok”. Albo jeśli Kazio nie zdał egzaminu na absztyfikanta, następowało zaskakujące: „A co mogę dla ciebie, Kazimierzu, zrobić? Szukasz Agaty? Poszła z Pawłem na tenisa, wróci po północy”.

Kiedy absztyfikantom udawało się po wielu trudach wjechać na rumaku do mych rodzinnych mieszkań, złośliwości były delikatniejsze. Jakby rodzice uznali, że skoro absztyfikant zasłużył na wizytę domową, to jest już gotów do rozmowy na poważnie i życzliwe przyjęcie. Gdy udawało mi się z kolegą posiedzieć nad lekcjami czy wręcz odwrotnie, popatrzeć na siebie i podyszeć z pożądania, tatuś nagle włączał się do rozmowy, najczęściej sugerując rychłe wyjście absztyfikanta: „No cóż, miło było pana widzieć. Oby olimpiada młodzieży poszła wam lepiej. Agata musi bardziej się skupić, a nie rozglądać po trybunach. A w wakacje, gdzie planuje pan

podjąć pracę? Uczęszcza pan na koło szachowe? Wybiera się pan na medycynę czy filozofię?”. Matka nie miała tak sztywnych oczekiwań. Artysta Cygan grający na akordeonie i mieszkający w taborze spodobał jej się bardziej niż prymus z koła szachowego. Mimo to delikatne złośliwości wymykały jej się jakby niechcący. Kolegę, który był wybitnym fotografem w szkole, miał swą ciemnię i budował prototypy aparatów, gdy wreszcie przybył do mnie na wieczorną randkę, poprosiła: „Panie kolego, pan jest taki techniczny, niech mi pan nastawi antenę w telewizorze”. Przez lata chłopak wierzył, że jest artystą... Wszystkie kompleksy wyszły mu na twarz wielkimi rumieńcami wściekłości. Oto został upupiony na oczach koleżanki z klasy. Jej mama mówi, że jest „tylko” techniczny. Dziś na szczęście jest znanym operatorem, nie dał się ostatecznie upuścić.

Czekam, aż mój syn będzie miał lat trzynaście i pierwsze flamy zaczną nawiedzać mój dom. Szykuję zestaw własnych technik zniechęcających. Telefon komórkowy oczywiście kupię mu dopiero na studiach, a stacjonarnego z domu już się pozbyłam.

Pudło

Nicnierobienie sprzyja poczuciu winy. Posiedziałby człowiek w parku i pogapiłby się na wyświechtaną dryfującą kaczkę, ale zaległy bizneslancz albo esej o świetności okresu piastowskiego na Dolnym Śląsku nie dają spokoju. „Muszę wziąć się do roboty. Taki Nietzsche to jeszcze przed trzydziestką został profesorem, a Woody Allen kręci film corocznie, a koleżanka ze studiów już postawiła drugą willę w Aninie, mimo że jest zawsze w ciąży i uczy się hebrajskiego”. Są szczęśliwcy, którzy pasożytują w hedonistycznym wyuzdaniu, a ich superego jest doszczętnie uśpione. Dobrze że Freud tego nie widzi. Moje superego niestety czuwa. Nie pozwala mi oglądać telewizji. Podczas gdy instynkt ciągnie do kanapy, superego kładzie się mi na drodze w rejtanowskim rozchełście i krzyczy: „Nawet o tym nie myśl! Telewizja to opium dla mas”. Co innego, gdy się rozchoruję. Grypa to jedyny luksus, na który może sobie pozwolić współczesny pracoholik. W czasach gdy nikt nas nie pyta „kim pan/pani jest?”, tylko „co pan/pani robi?”, marnowanie czasu i nihilizm są wstydlive. Hurra, mam chrypkę charczącą mocniej niż Tom Waits! Już leżę przed pudłem telewizora.

Zaczynam od Jedyńki. Film brytyjski: mąż trzyma żonę za włosy i wali jej głową o podłogę, a potem biczuje sam siebie. Nie mam do takich filmów zdrowia, nawet jak nie jestem chora. Dwójka: na murawie drużyna peruwiańska przeżywa kryzys w starciu z Japonią. Błyskotliwość dryblerów mnie nie rusza, bo Peru i Japonia nie są w Polsce. Żeby chociaż sędzia był Polakiem albo komentatorzy potrafili mówić po polsku... Polsat: transmisja koncertu Bregovicia. Polską zawładnęła moda na tak zwaną muzykę folkową. Chyba chodzi o to, że bierzemy piękną ludową piosnkę, na przykład *W Dunaju, we wodejce*, po czym wkładamy ją do komputera, miksujemy, dodajemy trochę Hollywoodu, cymbały zastępujemy perkusją, Rzeszowskie Pogórze przerabiamy na Burger Kinga, nalepiamy na to designerską fotografię, kręcimy teledysk *à la* montaż amerykański i mamy superprodukt polegający na samym opakowaniu. Folkowe opakowanie, tylko w środku nie ma folkloru. Następny kanał to Animal Planet dla miłośników fauny. Nad rozpłatanym psem pochyla się weterynarz z wielkimi szczypcami i górniczym światłem na głowie. Lubię zwierzątka, ale nie na tyle, by oglądać je od środka. Dotarłam do Eurosportu, mojego ulubionego kanału. I tu rozczarowanie – golf. Nudniejsze od golfa w telewizji są tylko poezja góralska Kasprowicza i wizyta siedleckiego kuzyna kuzynki z Kanady (jest komiwojażerem odkurzaczy z Toronto). Ziewam już przy pierwszej chorągiewce i nawet nie mam tej frajdy, co ci faceci w drogich kaszkietach, którzy przy okazji pojeżdżą sobie meleksami po trawce.

Muzyczny kanał MTV – trzeba czasem spojrzeć, żeby zobaczyć ostatnie osiągnięcia młodzieży. Łyknęłam uprzednio melatoninę, bo kamera zawsze tak w MTV huśta, że choroba morska gwarantowana. Nerwowo szukałam narracji w teledysku, ale cała historia polegała na tym, że młodzieniec w czadowych trampkach szukał w pokoju na zabałaganionej podłodze komiksu, a jak go znalazł, to przełączyłam na francuską telewizję. Jak wiemy, Francja ma kompleks Niemiec, więc zamiast przyjemnie pretensjonalnego francuskiego romansidła (typu: on w używanym kaszmirowym swetrze i intelektualnych sztruksach kocha ją, ona dużo pali i przy okazji kocha się też z sąsiadem, profesorem i byłym narzeczonym, ale to nic, bo jest taka subtelna, efemeryczna, a buźkę ma dziecięcą) leciał dokumentalny film niemiecki. Jak tylko mignął mi nieskazitelnie umundurowany tors jeszcze trzeźwego Göringa, pstryk pilotem. Ludzie, ja mam grypkę, a wy mi tu przemoc, Peru, nazizm. Może w RTL będzie coś lekkiego, optymistycznego, mądrego. Nici. Jak to w RTL: przeżuty dziesięcioletni kryminal, czyli biegnie

kobieta w bluzce z ramionami wypchanymi poduszkami (czy Państwa nauczycielka chemii też takie nosiła?), rajstopach, plisach i białych adidasach, strzelając do faceta, który jest głupszy i wolniejszy, bo to początek ery politycznej poprawności.

Żeby odzyskać wiarę w świat, łyknęłam rutinoskorbin. Zostało mi cierpliwości na dwa programy. Moda na talk-show opanowała całą telewizję. W Polsacie 2 trafiłam na trzy półnagie panny wijące się w akrobatycznych pozach, próbujące zadawać młodzieżowe pytania i smacznie puentować odpowiedzi gości. Panny płały w łóżku, co usprawiedliwia niski poziom programu (łóżko nie było piętrowe). Reżyserowi programu radzę, żeby panny rozebrał do rosołu. „*Mówili mu przyjaciele / Czemu jesteś takie cięły?! Z kobietami trzeba twardo, / A nie cackać się z pulardą*”. Boy podpisuje się pod moją radą. Oglądalność programu wzrośnie, bo widz nie będzie musiał słuchać dyrdymałów, tylko zobaczy inteligencję pań dziennikarek w pełnym blasku, goście zaś będą się pchać pannom do łóżka drzwiami i oknami. I jeszcze zapłacą.

Ostatnia ma próba telewizyjna okazała się kolejnym pudłem. Czy jest tak: im więcej kanałów, tym mniej programów? Program telewizji Naszej to zwieńczenie całego mojego doświadczenia telewizyjnego. Leciało w nim nic. Nasza wieczorami prezentuje coś *à la* film Andy’ego Warhola, pod tytułem *Sleep*, filmując róg ulicy Chmielnej i Brackiej. Przez cztery sekundy to mnie bawiło, bo niedaleko mieszka moja księgowa i myślałam, że może zobacze, jak wyprowadza moje PIT-y na wieczorny spacer, ale już spała. Ja też.

Poniewierka

Picie wódki to ciężka praca. Należę do ludzi traktujących swoją pracę poważnie, tak więc podchodzę i do upijania się. Nie jestem jednak ani pracoholiczką, ani alkoholiczką. W przypadku pijackich swawoli jest to praca połączona z przyjemnością, czyli to, co najlepsze dla mężczyzny i kobiety. Myślę, że każdemu z nas zdarzyło się mieć w życiu kaca giganta i każdy z nas leżał następnego dnia po zmonopolizowaniu się, jęcząc: „Boże, po co, po co, po co?”. No właśnie, oto jest pytanie: czy warto strasznie się upić, by cały następny dzień cierpieć i mieć ten dzień właściwie wymazany z życiorysu? Otóż warto. Jestem kaca warta. Kac potraktowany sumiennie, z godnością, ale i poczuciem humoru może stać się integralną, a zatem równie cenną częścią samego upicia się. Jeśli nie ma kaca, znaczy: piliśmy na marne.

W swym naładowanym grafiku wyszukuję dwa dni, które przeznaczam na poniewierkę. W ten sposób unikam kaca moralnego. W dniu imprezy (nie piję w samotności, bo boję się, że skończę jak Scott Fitzgerald), budząc się rano, już zastanawiam się, na jaki alkohol mam humor. Wybór trunku uzależniam od kilku czynników: pogody, nastroju, towarzystwa oraz ogólnego stanu zdrowia. Zimą w pobliskim spożywczaku kupuję gorzką żołądkową zawiniętą w gustowny biały papier śniadaniowy, wiosną są to wina wytrawne w ilości astronomicznej, ale kupione taniej w hurtowni, latem damskie głupekowate drogie drinki, jesienią zwykła woda bez owijania w bawełnę. Przed wyjściem przygotowuję mieszkanie w ten sposób, by zataczając się, bezkolizyjnie dotrzeć potem do łóżka. Zostawiam światło w przedpokoju, karmię kota na zapas, wyłączam telefon, żeby nie bolała głowa od porannych dzwonek, usuwam wszystko ze stolika nocnego, łącznie z secesyjną lampą, by podczas sięgania po wodę gazowaną nic nie stracić. Jem porządny domowy posiłek na podkładkę, by upić się powoli i dostojnie, a nie po dwóch haustach – bez brylującej konwersacji i flirtujących min – paść na kanapę w gościach. Z domu wychodzę z alkoholem, dowodem osobistym (w razie izby wytrzeźwień lepiej być zidentyfikowaną obywatelką) i pieniędzmi tylko na taksówkę. Po dotarciu na imprezę uprzedzam gospodynię, że przyszedłam tu dla przyjemności i w związku z tym mam zamiar się upić, a nie siedzieć smętnie w kącie, robić miny dziuni i komentować: „Och, nie, nie, ja dziękuję, jestem autem”. Dalszej części nie będę opisywać, bo jak się pije, to każdy Polak wie.

Jesteśmy w domu. Ja i mój przysły kac. Przed walnięciem się na łóżko: woda, aspiryna, magnez, witamina, woda, jeden but, jeśli jest siła, drugi but, ściąganie skarpet nie jest obowiązkowe. Pierwszy horror następuje dopiero po pierwszym przebudzeniu się, czyli zwykle około godziny 11. Jest to ból nie do opisania, kręci się w głowie, bo to faza pierwsza, ta między kacem *per se* a jeszcze byciem pijanym. Łeb ciężki jak Encyklopedia PWN. W sypialni, bez ogródek, nieprzyjemny odór oparów alkoholowych. Straszna próba hartu ducha i ciała: pierwsze wstawanie. Wstaję metodą na czworaka, żeby mniej bolało. Przewracam się na brzuch, podpieram na łokciach, potem zginam nogi w kolanach, jedną ręką łapię za stolik (ha, ha, nic nie spada) i podciągam się na nim. I dalej już posuwam się po ścianach, otwieram okno, toczę się do łazienki, gdzie oddaję się odświeżająco-higienicznym procedurom, czyszcząc swój organizm. Taki detoks przed dalszym kimaniem. Te trzy ruchy (obróć na brzuch, czworak, podciąg) opracowałam dzięki wieloletnim już treningom i gdybym prowadziła w naszej redakcji kącik fitnessu, to dałabym się sfotografować w rajtuzach i kostiumie. Po ablucjach idę z powrotem do łóżka. Teraz następuje faza druga, czyli faza Marcela Prousta. Pamiętamy wszyscy początek *W poszukiwaniu straconego czasu*, a w nim kilometrowy opis zasypiania, snu i budzenia się w pokoiku w Combray: „Zasypiałem na nowo. Czasami miałem już tylko krótkie chwile

ocknienia: tyle, aby usłyszeć trzeszczenie wyschłej boazerii, aby otworzyć oczy, wlepić je w kalejdoskop mroku i – dzięki chwilowemu błyskowi świadomości...”. U mnie trzeszczy klepka, wtedy nadchodzi mnie chwilowe błyski świadomości: wracają sceny pijackie, poklepywanie kumpla, dolewanie, strzępki dialogu: „Nie, stara panna to nie to samo co stary kawaler”. Powoli uprzytamniam sobie: jestem już trzeźwa, teraz to już tylko leżenie odłogiem i leczenie kaca. I cieszenie się z tego kaca. Dzwonię do przyjaciół, przechwalamy się kacami: „Żyjesz? Z trudem? Jeszcze w domu się skułaś?”. Prawdziwą przyjaźń poznaje się w kacu. Czy o mnie pamiętają, czy też dzwonią po ocknięciu się i wyjściu z fazy Prousta?

Godzina 16. Początek fazy staropolskiej. Czyli nadchodzi mnie przeraźliwy głód, ochota na coś polskiego i tłustego. Kiszki marsza grają. Czuję się patriotycznie i zdrowo. Kacowi nie wolno się poddać, nigdy cały dzień nie zostaję w domu, bo to grozi deprechą i rozmemłaniem. Babcia zawsze się o mnie martwiła, że w ciągu dnia nic na ciepło nie jem. A tu proszę bardzo: orzeźwiający spacerkiem do pobliskiego barku Dukat na żur z jajem i ruskie przysmażane. Bez piwa, nie wierzę w browar na kaca. Ja mam alkoholowstręt. Po jedzeniu mam poczucie, że coś osiągnęłam i czas się położyć. Następnego dnia rano czuję się świeżo i rzucam się do normalnego życia z poczuciem solidnie spełnionego obowiązku.

Tapeta

W siłowni spotkałam nieletnią jazzwomankę. Teraz muzycy jazzowi nie palą, nie piją, nie siedzą w katakumbach, a w klubach nie można już nic sobie wciągnąć, muzycy bowiem ulegli wyścigowi szczurów i każdy chce wygrać nagrodę Grammy lub stypendium dla szesnastolatka w szkole w Darmstadt. Wskazówki mego szwajcarskiego zegarka po babci dochodziły do 9.15 rano, za oknem unosiła się szara mgła, ciśnienie w stolicy spadło do kostek. Byłam w szoku. – Co ty tutaj robisz? Myślałam, że muzycy albo rano odsypiają koncert, albo jeszcze koncert kontynuują, grając kolejny set, albo uczą się w szkole. – Zdumienie było obopólne. – Myślałam, że ludzie pióra rano śpią na kacu albo leżą i patrząc w sufit, poszukują tematu – odparła rezolutnie. Sytuacja niezręczna, obie czułyśmy się jak przyłapano na gorącym uczynku, choć uczynek nie był gorący. Nieletnią jazzwomankę poznałam na kursach tenisowych, na których to dorabiam sobie do pensji dziennikarskiej. Trener tenisa zarabia w tym kraju dużo lepiej niż harujący od rana do wieczoru redaktor. W czasach kultu ciała pracę fizyczną ceni się wyżej niż umysłową. Ciało 16-letniej jazzwomanki warte było kultu. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że znów okazało się, że na świecie wszystko jest odwrotnie, niż mi się wydaje, że powinno być. Nastolatki nie są takie, jakie myślałam, że są. Okresu nastoletstwa nie znam z autopsji, gdyż nie miałam na nie czasu jako kujon oraz zawodnik CWKS Legia Warszawa. Owszem, raz zagrałam w kapsle, ale szybko przerzuciłam się na granie w lidze, wieczory spędzałam w Kabarecie pod Egidą, gdzie pracował mój ojciec, który nie chciał zostawiać mnie samej w domu, ze strachu, że wypiję mu cały barek. Nie miałam żadnego muzycznego idola, ponieważ rodzina nie miała telewizora ani adapteru, a w aucie marki Łada nie było radia. Kolacje jadałam albo w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, gdzie pozwalano mi przeglądać kolorowe pisma z Zachodu, albo w jedynej restauracji orientalnej Szanghaj, gdzie prócz parawanów z bambusa nie było nic orientalnego, a w karcie widniał schabowy. Mój pierwszy narzeczony miał 185 cm wzrostu, był po maturze, miał dzinsy marki Levi's, ponieważ jako mistrz Polski w tenisie ziemnym grywał regularnie w NRF-ie, drugi był starym malutkim synem wybitnego tłumacza z francuskiego i uświadomił mnie, czytając z języczkiem Baudelaire'a. Popołudnia spędzałam w towarzystwie nauczycielki gry na fortepianie, panny K., a nie na podwórku, czy gdzie to nastolatki wtedy bywały. Byłam od urodzenia głucha jak pień, popołudnia te były więc gorsze niż *Kolonia karna* Kafki. W tym czasie inne osoby w moim wieku były nastolatkami i robiły coś zupełnie innego. A myślałam, że każda z nas ma tak samo jak ja. Tego dowiedziałam się właśnie od nieletniej jazzwomanki na moich zajęciach tenisowych. Otóż po treningu dziewczęta wymieniały się prasą. Nigdy nie czytam prasy, ponieważ z góry wiem, co jest w niej napisane. Czarne piszą na czarno, czerwone na czerwono, zielone na zielono. Ale prasa dla nastolatek jest fascynująca! Dziewczęta pożyczyły mi pismo „Fun” oraz pismo „Popcorn”. Na okładce pisma „Fun” nastolatka z pełnym bależem, tapetą podkładu i wyczyszczonymi u dentysty białymi zębami. Wygląda na trzydziestolatkę pragnącą stać się sobowtórem jakiejś dziwni serialowej. Wewnątrz zajmujące tematy dla nastolatek: „Kontakt wzrokowy to podstawa”, „Grunt to niezła nawijka”. Proponowane tu słownictwo w ustach piętnastolatki na pewno zauroczy niejednego kafara w siłowni czy pralni pieniędzy. Na pierwszych stronach prasy dla nastolatek obowiązkowo fascynujące informacje z życia telefonu komórkowego, propozycje różnych tapet upiększających wyświetlacz, kolaże esemesów graficznych idealnych dla „fajnej laski”, na przykład „Lecę na ciebie” albo „Masz do wykorzystania 100 całusków”. Dla nastolatek, które wolą muzykę niż współczesną grafikę, cała kolumna dzwonek, które uatrakcyjnią dzwoniącą torbę szkolną, na przykład „Dzwoni debil, dzwoni debil” albo „Halo! Ja pierdę”. Zastanawiam się nad prenumeratą „Fun”, tyle ciekawych artykułów i felietonów z życia odgłosów komórek. Może

jednak zdecyduję się na pismo „Popcorn”, w którym na jednej stronie przeciętnie znajduje się 10 artykułów, każdy w ramce. „Popcorn” proponuje też „materiały” o psychologii. Na stronie 60 test, a w nim typowe psychologiczne pytanie dla 14-latki: „Jak często robisz przecinkę w swojej garderobie?”. Słowo „przecinka” godne jest bufetowej ze sklepu garmazeryjnego lat 80. Z obu pism wynika, że głównym problemem w życiu nastolatki jest to, jak zrobić mężczyźnie przyjemność, jak w wieku 15 lat wyglądać na umęczoną pracownicę pigalaka, jak mieć maniery godne królowej Elżbiety z pierdzącą torebką, którą zafundować muszą rodzice. I zamiast książek czytać wyświetlacze komórek. W sumie pocieszające: nagle widzę, że dorośli niepotrzebnie tęsknią za młodością. Jej smak jest tak odpychający jak nieświeży popcorn w oparach funu.

Mężczyźni są jacyś romantyczni

W tytule, rzecz jasna, piję do ostatniego filmu Marka Koterskiego *Baby są jakieś inne*. Jestem nim zachwycona i jak tylko będę miała wolny wieczór, to obejrzę go na pewno po raz drugi. Podobało mi się w nim prawie wszystko. Zdjęcia, muzyka, wokalistki, aranże, historia, a raczej jej brak, żółwie tempo, aktorzy, kostiumy. *Baby są jakieś inne* to film drogi, który na przekór gatunkowi unika spektakularnych plenerów. Co za pięknie zrealizowany przewrotny pomysł! U Koterskiego nie ma mgieł bieszczadzkich, sarenek mazurskich czy wydm kaszubskich. Jedynymi „plenerami” są wnętrza byle jakiego samochodu, poboczne gminnej asfaltówki, oświetlone mlecznymi latarniami dającymi lekko oniryczny efekt. Dwóch kolegów jedzie nie wiadomo skąd, nie wiadomo dokąd i w niewiadomym celu. Ci panowie, nie licząc ich oryginalnej polszczyzny, są przeciętnymi czterdziestolatkami, najprawdopodobniej mężami i tatusiami. Ich kostiumy pozbawione są atrybutów – nie są w oficerkach, fularach czy ciuszkach od Jil Sander, tylko w bluzach z sieciówek. Nie wiadomo też, co ich łączy. Czy chodzili razem na studia? Poznali się w filmie? Bohaterowie są co prawda przez cały film nierozłączni, lecz siedzą równolegle, nie zaś wspólnie, praktycznie nie wymieniają spojrzeń. Nie da się ich zaszufladkować – i to natychmiast budzi empatię i niezaspokojoną do końca ciekawość. Pomimo że film ten jest intencjonalnie przegadany, to jego siła leży w tym, że ani bohater, ani widz niczego nie jest pewien. Czy oni się w życiu wykołują, czy wrócą do pionu? Czy jadą ku niechybnej katastrofie? Czy może jadą, aby określić na nowo, kim jest współczesny polski facet? Zagubionym maminsynkiem, ojcem rodziny, niepoprawnym romantykiem, łysiejącym playboyem, sfrustrowanym impotentem, a może ofiarą przebojowych, wręcz wulgarnych, egoistycznych i dominujących kobiet? Cudowne jest to, że Koterski sportretował męczyznę gadułę. W kulturowym stereotypie od lat spotykamy męczyznę w typie milczącego człowieka czynu. U Koterskiego panowie nawet nie włączają radia, gdyż sami gadają bez przerwy, a z tego gadania nic nie wynika.

Przydrożny pejzaż w *Babach* zdobią wyłącznie gigantyczne billboardy. Na co dzień straszą nas gigantycznymi fotografiami wyprzedawanej wieprzowiny w markecie albo fotami czerwonych gigastaników kryjących gigabiusty. U Koterskiego przydrożny billboard widziany nocą staje się drugim ekranem, na którym nasi nocni jeźdźcy widzą projekcje własnych marzeń o pięknej, życzliwej im, rzecz jasna, kobiecie... Wzruszyło mnie to, że płynąca z ust panów krytyka skierowana przeciwko różnym typom kobiet odkrywa bezkresną samotność obu męczyzn. I jakże zrozumiała tęsknotę za ideałem kobiety promowanym w kulturze lat 60. Film przeszywa „komediowo-szopenowa” romantyczna muzyka. Melodyjne tematy śpiewane słodkimi kobiecymi głosami podkreślają tę tęsknotę za wczesną Barbarą Kwiatkowską, za kloszowatą spódnicą, nóżką w czółenku, za kobietą gotową spędzić noc z niewinnym czarodziejem, który imponował jej ciasnym poddaszem i znajomością jazzu, a nie kasą, furą i komorą. Mężczyźni Koterskiego nie godzą się na świat pełen kobiet w typie Angeli Merkel i Lary Croft. Nie godzą się na świat, w którym oni muszą być zielonymi szerszeniami w typie Bruce’a Lee. Tęskno im za kobietą, która czeka na nich „z pieczenią mazurską jesienią”. Te sceny z billboardami zdają się mówić – kobieta na billboardzie nie musi być traktowana w kategoriach feministycznego dyskursu. Może być ekspresją męskich tęsknot, pragnień za dawno obśmianym, zabronionym przez feminizm archetypem kobiecości. To, że cały film rozgrywa się nocą, sprzyja wsłuchaniu się w rozmowę między panami, która bardziej przypomina równoległe monologi dwóch sfrustrowanych polskich męczyzn. Monologizujący Konrad u Mickiewicza pytał: *Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha / obejmie okiem*

wszystkie promienie jej ducha. Bohater Koterskiego nawet nie liczy na to, że jego samotnej pieśni wysłuchają ukochana kobieta czy terapeuta. O Polskę walczyć przestał, teraz walczy tylko o to, by nie spaść z drabiny społecznej i rodzinnej. Drugi pasażer, antykordian, na szczycie Mont Blanc nigdy nie był. Szczyt jego możliwości to zapewne trzecie piętro bez windy z siatkami pełnymi zakupów dla wiecznie niezadowolonej żony, która nie jest puchem marnym, ale wręcz przeciwnie – bije go. Lecz z jego wizji romantycznych i z jego oczu cocker spaniela wnioskujemy, że trzeba mu „nowych skrzydeł, nowych dróg” i że choć telepie się po drogach fordem focusem, to drzemie w nim Kolumb, który chciałby na „nieznane wpłynąć oceany z myślą smutną i z sercem rozbitym”. *Baby są jakieś inne* to film o sercowych rozbitkach. Choć w pierwszej chwili może doprowadzić nas do nerwowego rechotu albo znużenia, to jeden z najpiękniejszych romantycznych filmów, jakie ostatnio widziałam. Zakochałam się, rzecz jasna, w aktorach grających główne role, reżyserze, operatorze i smakowitej nieletniej z billboardu. Dziewczyny, bądźcie dobre dla mężczyzn na zimę, nie tresujcie ich jak psów i nie ziewajcie na ich widok.

Tanio popsuję

Miesięcznik „Twój STYL” nie pomieściłby listy spraw, o których zapomniałam. Zapomniałam wyrobić dziecku paszport. Choć regularnie się badam, to często zapominam wrócić po wyniki (to może ze strachu?). Zapomniałam pójść do teatru, bilety kupiłam dwa tygodnie wcześniej. Teatry powinny uruchomić przypomnienie przez esemes. Tak robi mój gabinet dentystyczny, za co moje zęby są mu wdzięczne. Na urodziny mojej kochanej ciocibabci Tuli przysłałam, owszem, punktualnie, z kwiatami, ale... dzień później. Na szczęście Tula jest damą i pocieszała mnie, że „nic się nie stało, wczoraj było dwadzieścia pięć osób, nie mogłybyśmy sobie spokojnie pogadać”. Błąd popełniają marki typu Bilobil czy Buerlecytyna. Wśród dwudziesto- i trzydziestolatków na pewno sprzedawałyby się lepiej niż wśród pokolenia naszych dziadków. Mam znajomego, który wyszedł z dzieckiem na sanki, a potem przyciągnął do domu puste sanki. Ten koszmar śni mi się po nocach. Na razie dziecka nie zgubiłam, ale sanki, owszem, gdzieś posiałam. Zapomniałam za to, że przyjaciel miał urodziny. Po czasie przemogłam się i zadzwoniłam, by nadrobić tę wpadkę: „Kochany M., twoje urodziny były trzy tygodnie temu. Jestem burakiem, dzwonię teraz z życzeniami”. „Owszem, jesteś buraczka, chodźmy na herbatę, zgarzę cię, powiedz, gdzie i kiedy”. Kumpel przyjechał po mnie swoją cytryną, czyli srebrzystym Citroenem. Jak dawno nikt po mnie nie przyjeżdżał! Od kiedy każda kobieta jeździ autem lub rowerem, w ogóle zapomnieliśmy smak „bycia zgarniętą” oraz odprowadzaną pod drzwi. Herbatę piorunem zamieniłam na rum, wszak mój rycerz mnie podrzuci. Bycie zgarniętą owocuje tym, że można wyjść bez torebki, co jest najbardziej elegancką formą bywania. Pierwszą godzinę rozmawialiśmy o samochodach, gdyż to nasze wspólne hobby. Jak to jest, że gdy pragniemy kupić sobie niepraktyczne, ale radosne auto, wszyscy doradzają nam na odwrót? A gdy chcemy praktyczne kombi, to sugerują nam coś bardziej sexy, na przykład mazdę miata? Czy Państwu też wszyscy doradzają na odwrót? Zdecydowaliście się na diesla, to psują wam tę ideę, mówiąc, że benzyna jest szybsza i cenowo taka sama. Chcecie automatyczną skrzynię biegów, to tak zwani psuje doradczycy drwią, że macie chyba grubą portfel. Najgorzej mamy, jeśli chcemy spełnić marzenie o kabrioletcie. „Moje ciotki do dziś nie mogą zaleczyć zapalenia zatok, od kiedy przewiozłem je moim saabem kabrio. Pomimo że były w chustkach”, tak doradzał mi pewien diler, gdy uparłam się na kabriolet. „Proszę pana, ale ja mam kryzys wieku średniego. Nie chcę praktycznego auta, tylko z otwieranym dachem”. Jegomość dalej szedł w zaparte i proponował mi terenówkę, „to dla pań o wiele bezpieczniejsze”. Uciekłam pieszo.

Doradca psuj grasuje wszędzie, szczególnie w finansach od czasu ostatniego kryzysu. „Przykro mi, ale nie wolno mi używać słowa «polecam»”, taką nowość zaserwował mi ostatnio sprzedawca w banku. Aha, czyli pan tylko klika i informuje, tak? To ja mogę sobie sama posprawdzać oferty i wykresy w necie. Doradcę psują zastąpił w czasach pokryzysowych finansowy doradca mumia z miną sfinksa. Nic się od niego nie dowiesz. Drugą godzinę rozmawialiśmy o tym, jakie dobro narodowe doradcy psuje mogą zepsuć. Zepsuto już doszczętnie media publiczne. Po co grać Lutosławskiego, Łapińskiego i Pendereckiego. Polscy kompozytorzy na Madagaskar. Trzecią godzinę rozmawialiśmy o doradcach sercowych i licznych problemach w związkach. Czy w czasach, gdy ludzie żyją sto lat, pojęcie „związek trwały” jest aktualne? Czy staż 15-letni to już związek trwały, czy jednak tylko związek aż do śmierci jest trwały? Przydaliby się pozytywni doradczycy, bo w życiu prywatnym też niekiedy samemu trudno sobie dać radę. Czasem marzę o swataniu. Komputerowe serwisy sercowe nie przejmą doszczętnie ich roli. Obejrzałam niedawno na DVD film Yasujiro Ozu *Koniec lata*.

Akcja filmu toczy się w Japonii w 1961 roku. Rodzina stara się wydać za mąż dwie siostry. Swat dziarsko negocjuje, aż furczy. Czy to nie jest wygodne? Pomaga nam znaleźć partnera, filtruje go na przedwstępnych spotkaniach, pomaga odtrącić, jeśli przedstawiony kandydat nam nie pasuje, jednak nikogo nam nie wmusza. Co się stało z takimi doradcami niepsujami? W 2010 roku coraz więcej wokół konsultantów, a w efekcie coraz więcej decyzji musimy dokonywać w samotności. Wtem knajpa, w której siedzieliśmy z kumplem, zaczęła się zapełniać tłumem miłych ludzi. Zsunęli stoliki, przywitali się z nami. To zebranie Polskiego Związku Wędkarskiego. Rozmowy wokół kipiwały. Doradzano sobie, jaki spławik na jaką rybę. „Niech pani kupuje sumy. Mięso ryb drapieżnych jest dużo smaczniejsze – radził mi pewien wędkarz. – Polecam łowiska nad Zegrzem, blisko i fajna atmosfera”. Jeden z wędkarzy na kartce rozrysowywał koledze, jak poprawić konstrukcję pewnego kołowrotka. Wspaniała atmosfera, szkoda że w urzędach państwowych, sklepach, bankach i instytucjach z takim sercem się nie doradza. „Niech się pani zapisze do Polskiego Związku Wędkarskiego. Jesteśmy największym związkiem w Polsce!”, zachęcał mnie pan, pokazując mi w komórce zdjęcie wielkiej ryby. Ale czy jest lepiej niż w PZPN? „Na pewno. U nas nie ma co kraść, już wszystko rozkradli”, radował się. Może to jest jakiś pomysł dla osób, które tak jak my z kolegą M. potrzebują czasem w życiu konstruktywnej porady.

To cudownie, naprawdę!

Pamiętam, kiedy moja najbliższa przyjaciółka podzieliła się ze mną tą radosną wiadomością. Wychodzi za mąż za pewnego biofizyka z kręconymi włosami, który jest tym jedynym, miłością jej życia. Zna ją tak dobrze, że wiedział, iż musi się oświadczyć w jej ulubionej brasserii nad dwupiętrowym półmiskiem owoców morza, ale bez tych małych ślimaczków, które trzeba wyjmować wykałaczką (moi drodzy stali Czytelnicy pamiętaj – przyjaciółka mieszka we Francji). „Każdy głupi wie, że lubisz owoce morza, to takie banalne, mieszczańskie, to burżuj jakiś, wkrada się do serca przez żołądek”, powiedziałam.

O Boże, ta wieść była bardziej gorzka od pitego właśnie przez nas dwie pastelowego campari z wodą sodową (przyjaciółka zamawia takie świństwo i ja z poświęcenia dla niej to pijam). Była sobota, początek wspólnego wrześniowego weekendu, na który do mnie przyjechała. Co za klęska. Poczułam się, jak to opisuje, *toutes proportions gardées*, Kazimierz Brandys w *Mieście niepokonanym* – niespodziewanie kończy się młodzieńcza sielanka, a przecież nic na to nie wskazywało. „Warszawa rozciągała się gwarnie i kolorowo”, wspomina Brandys. Dziewczęta wracają znad rzeki, pod markizami gęsty skwar. Koniec flirtów? Teraz będzie liczył się tylko jej mąż, zamknie ją w twierdzy uczucia! Będzie do mnie czasem mejlowo słał zaproszenia w stylu: „Zapraszamy Was, drodzy przyjaciele, do naszej letniej dachy bla, bla, bla”. Ja jestem ja, a ona nie jest już ona, tylko ona jest teraz w liczbie mnogiej. „Bo my lubimy śmiać się z Jacques’a Tatiego, bo my myślimy o sprzedaniu mojego auta”. A ja? Co będzie ze mną? Widać minę miałam nietęgą, gdy tą hiobową wieścią przyjaciółka we mnie gruchnęła. Zaczęła się tłumaczyć, a następnie mnie pocieszać. „Wiesz, że nigdy nie lubiłam sportów indywidualnych, ja się dobrze czuję w drużynie, a rodzina to taka superzgrana drużyna. Polubisz Paula, jest bystry, ma analityczny umysł, nie jest takim biofizykiem, co to tylko protony bada, zna się na renesansowym malarstwie lepiej od nas. – To nietrudno, niedawno wciskałaś mi że Rogier van der Weyden był Niemcem”, odszczeknęłam. Potem jednak wygłosiłam pełną formułkę, jak to cudownie, że znalazła partnera, przyjaciela, co to zaserwuje jej seks życia przez następne 40 lat i szklankę herbaty na starość, gdy on będzie łysy, a ona siwa. Cudownie, naprawdę, cieszę się z Twojej radości.

Minęło kilka lat. I jest cudownie, naprawdę. Dwa razy w roku odwiedzam ich i jest lepiej, niż było przed ślubem. Mąż okazał się tym brakującym elementem w naszej przyjaźni. Dzięki niemu ona nie próbuje ze mnie zrobić ratującej planetę wegeterianki, gdyż jego hobby to doroczne jesienne polowania. Dzięki niemu ona pije mniej szampana, więc nie usypia przy stole podczas ciekawej debaty na temat nowej książki Alaina de Bottona. Mąż z poczucia winy, że niejako pozbawił mnie monopolu na przyjaciółkę, po rycersku stara się odkupić swój grzech. Wozi nas samochodem, abyśmy nie musiały parkować w centrum. Mąż wkłada rzeczy do zmywarki po kolacji, filetuje mi rybę, bo jako biofizyk jest bardzo dokładny. Zimą podaje mi sztuczne futro zaraz potem, gdy ubierze swoją osobistą żonę. Mąż mi nadskakuje, bo się boi, że na damskich wakacjach w Rzymie (na które odwozi nas na lotnisko) nie dopilnuję jego żony i wyswatam ją z jakimś umiśnionym makaroniarzem zroszonym Aqua di Parmą. Mąż bierze na siebie doradzanie w sprawie czterdziestej pary butów, czego ja nie znosiłam ostentacyjnie, stojąc na zewnątrz sklepu. Gdy przyjaciółka wychodzi i zostawia nas samych przed telewizorem (ona gardzi piłkarską ligą), czuję się z mężem wygodnie. On mnie nie pociąga, a ja go odpycham i jest pysznie. Mam z kim siedzieć na kanapie i oglądać piłkę. Wielką zaletą męża jest to, że mogę napawać się atmosferą mężowatości, ale nie jest to mój mąż! W dodatku jest to mąż, którego

widuję dość rzadko, więc akurat ten mi się nie znudzi. Gdy nocują u mnie w domu, jego kapcie Birkenstocka nie straszą mnie swą poczciwością. Gorzej, jeśli on jej się znudzi. Co będzie ze mną? „A jak poznasz kogoś innego? Zanim wyszłaś za niego, miałaś czternaście wielkich miłości – pytam zaniepokojona. – Miałaś opinię, delikatnie mówiąc, niestałej. Przed rewolucją hipisowską uznano by cię za kobietę nieprzyzwoitą. – Wiesz, że jestem zalatana, nie mam na to czasu, poza tym planujemy zaciążyć”. Cudownie. Będę ciocią. Ciocia to jeszcze lepsze niż mama. Dużo radości, mało odpowiedzialności. Nauczę ich dzieci polskiego, zdobędą dzięki temu światowe rynki pracy z palcem w uchu. Przylecą na Wielkanoc, pokażę francuskim dzieciom, jak się pisanki w cebulowym wywarze robi. Mam nadzieję, że ponura wizja bycia rozwódką to nie jest plan na przyszłość mej przyjaciółki. Bo gorszy od męża przyjaciółki jest chyba tylko kolejny mąż przyjaciółki. Tego bym nie przeżyła.

Niepotrzebnie panikujesz, jeśli twoja ukochana przyjaciółka wychodzi za mąż. To tylko ślub. Chwilowy pożar w łędźwiach i mózgu. Pociuszające są najnowsze fakty: „Zdecydowanie zwiększa się liczba rozwodów wśród osób w wieku średnim i starszych. W 2011 roku rozpadło się ponad 17 tysięcy par ze stażem małżeńskim wynoszącym 20 i więcej lat. Trzykrotnie więcej niż w 1990”.

Może to wina tak zwanego coacha? Od kilku lat ludzie padają ofiarą znachorów psychologicznych. Pojawił się *coaching*. *Coach* to doradca, który udaje po trosze mędrca chińskiego, a po trosze psychologa z uprawnieniami, lecz nie jest ani tym, ani tym. Po prostu ma dar przekonywającej nawijki, robi ładne prezentacje w Excellu i zna kilka cytatów z Ericha Fromma, Karen Horney i Steve’a Jobsa. Taki *coach* wmówi ci, że możesz żyć lepiej. Niechybnie osiągniesz to, rzucając obecne stanowisko i męża safandulę, który stanowi balast, a w dodatku nie docenia twej animy, o animusie nie wspominając. Ponieważ każdy mężczyzna czuje się co najmniej jak Małysz albo Lewandowski i on chętnie wynajmie sobie prywatnego *coacha*, by go szkolił. Wyjdzie z tych szkoleń, że dziećmi lepiej zaopiekuje się mamusia, a on powinien wyruszyć w ekowłóczęgę po Syberii na rowerze, by się oczyścić z toksyn.

A może winne są kobiety, które po kilkunastu latach spędzonych z mężczyznami życia uznały, że w sumie lepiej dogadują się z... kobietami. W domu zawsze dzieci będą zaopiekowane, każda coś upichci, posprząta, cellulitisu kryć nie trzeba będzie, szpilkami można się wymieniać. I kolczykami! Po co wydawać fortunę na sukienkę od Ani Kuczyńskiej co rok, jeśli można kupić jeden „look” na kilka pań i nosić go na zmianę. Zobaczycie. Rozwodów będzie coraz więcej, bo panie zaczną decydować się na metodę „Heart Break Hotel”. Wynajmować we trzy albo cztery dom w miłej dzielnicy, jedną nianię, jednego ogrodnika. Tanio, ekologicznie i przyjemnie. A jak dzieci w tej samej szkole się umieści, to i *car pool* zadziała. Na zmianę jednym autem do szkoły będzie się młodzież podrzucać. Rozwódka nie musi być samotna. Może pójść do świeckiego klasztoru, w którym zamiast leżeć krzyżem będzie leżeć i saczyć drinki z parasolką. Rosnąca solidarność pań to zła wiadomość dla mężczyzn. Mężczyźni bowiem rzadko decydują się na kohabitację. Trzech facetów w jednej willi z ogrodem? Opalają się na leżakach? To na pewno gejowska sodomia i gomoria.

Poziom psa

Dlaczego podkoszulek zawsze przylepia mi się do pleców i widać na nim spocone plamy, dlaczego od sandałów robią mi się bąble i moje seksowne buciki giną pod naporem plastrów i opatrunków odparzeniowych? Dlaczego srebrne klapki są srebrne tylko do pierwszego prowadzenia w nich auta (wiem, wiem, nie wolno prowadzić w klapkach, ale ja jadę tylko na rzut beretem)? Jest pewien typ ludzi, do niego należę i ja, którzy starają się wyglądać dobrze, ale ich dramatyczne próby nie wróżą powodzenia. A drugi typ ludzki, któremu zazdroszczę, to typ idealnie higieniczny, dystyngowany, zapachowy, powabny. Oglądają się za takim osobnikiem lub osobniczką na ulicy. Za mną nikt się nie ogląda, czasem policja na mnie macha lizakiem.

Ten podział na kategorie zaczyna się już w piaskownicy. Pochodzę z prowincjonalnego miasteczka Falenica, gdzie piaskownica była centrum rozrywki. Ja dłużałam w piachu starą łyżką do zupy, ubrana w używane stroje po starszych dzieciach, a obok mnie konstruował zamki za pomocą przyrządów specjalistycznych typu foremki pewien blondyn ubrany w granatowe szorty w kant, uprasowaną koszulę z krótkimi rękawkami, a wśród jego lśniących włosów połyskiwał matematycznie wymierzony przedziałek. Dziś mój sąsiad z piaskownicy jest zapewne człowiekiem sukcesu, robi sobie maski z serum, w organizerze pismem technicznym notuje terminy spotkań, ekran komputera przeciera antykurzową szmateczką, a w 30-stopniowym upale nosi dwurzędowy garnitur i czarne buty, które codziennie rano pastuje na glanc. Czystość i szyk nie zależą wcale od pieniędzy, tylko od genów i wychowania. Nie wyobrażam sobie, żeby na przykład pani Beata Tyszkiewicz pozbawiona nagle wszystkich dochodów (odpukać) stała się czupiradłem parującym w spódnicy, na której widać ślady kociej sierści. Prawdziwa dama jest damą nawet w tramwaju. Ojciec mój genialnym felietonistą jest, ale cierpi na owo schorzenie rozbabrania ubranieowego. Otóż tata, choćby założył nie wiadomo co, i tak to coś wygląda, jakby było kupione w latach 70. Niewytłumaczalna moc, żywcem z serialu science fiction *Z Archiwum X*, przemienia jego zamszowe buty w stylu nowoangielsko-weekendowym na kapciowate mokasyny nadające się tylko do heblowania starego czółna nadbużańskiego. Osoby niedopracowane stylistycznie są też same sobie winne. Tata wyznaje zasadę, że jak jakaś rzecz jeszcze funkcjonuje, to nie warto kupować na jej miejsce nowej. – Tato, może poszlibyśmy wybrać dla ciebie nowe oprawki do optyka? – A co, córeczko, są złamane? – Nie, tato, chyba byś przez nie widział, że są złamane, ale mają już 30 lat. – No to co? Mój zegarek dostałem od wujka w 1950 roku i jeszcze działa. – No tak, tato, ale te okulary wyglądają jak telewizory. Tylko generał Jaruzelski jeszcze takie nosi. Ale on przynajmniej nawiązuje do filmu *Men in Black*. Jeśli już tatę się przekabaci, to i tak kupi sobie takie same, tylko nowe.

Zbliżyć się do ideału blondyna z piaskownicy to moja nowa idea. Skonsultowałam się z eleganckimi przyjaciółkami, które doradziły mi, żebym zamiast kupować jedną rzecz od Sasa do Lasa, obkupiła się od stóp do głowy. Uzbrojona w pensję udałam się do centrum handlowego, bo tak się teraz mówi na sklepy. Przeobrażanie się w osobę zadbaną okazało się doświadczeniem traumatycznym. Parking podziemny w Galerii M. to pierwszy orzech do zgryzienia. Wjeżdżam z ulicy i wita mnie napis: „Poziom 2B”. Jak to 2B, skoro jestem po prostu na parterze? Sunę dalej, parkuję na poziomie 3B (w normalnym języku na pierwszym piętrze) i wszędzie widzę zakazy ruchu pieszych. Jak więc mam wyjść z auta w celu stania się damą? I jak do niego wrócić? Czy auto samo wróci do domu? Przy windzie wita mnie kolejny napis: „Pamiętaj, tu zaparkowałeś samochód. Poziom psa (*rysunek psa*) 3B”. Widzę, że w sklepie tym damy traktuje się jak debilki. Po pierwsze nie jestem z tym parkingiem na ty, po drugie nie jestem rodzaju

męskiego, po trzecie nie mam demencji i chyba wiem, że zaparkowałam na poziomie 3B, po czwarte od czasu ukończenia zerówki nie porozumiewam się pismem obrazkowym.

Po wyjściu z windy odwiedziłam każdy sklep i za każdym razem obsługa ważąca 45 kilogramów przy wzroście 170 centymetrów uzbrojona w specjalne małe słuchawki śledziła mnie, przesuając się dziesięć kroków za mną. Gdy podchodziłam dotknąć spodni, słuchawkowa anorektyczka za mną. Ja w stronę bluzek. Ona w stronę bluzek. Brakowało im tylko takich maskujących drzewek wojskowych przyczepionych do czoła. I już zółza poprawia źle odłożony przez mnie spodnie i cały czas spiskującym szeptem nadaje do reszty anorektyczek, że ja jeszcze nic nie ukradłam. Warunki do kupowania były równie ciężkie, co ceny. Dziś nawet podkoszulek, czyli około dwóch metrów kwadratowych bawełny, kosztuje ponad 100 złotych. Obrażona skończyłam w sklepie spożywczym, gdzie kupiłam mrożoną kaczkę i udałyśmy się do auta. Wchodzę do windy, przy której widnieje napis: „Tą windą dotrzesz na każdy poziom Galerii”. Chcę nacisnąć na naszego psa 3B, ale jest tylko przycisk psa 3A. Poczułam się jak debilka z kaczką, a nie jak dama z łasiczką, gdyż na poziomie psa 3A rzeczywiście nie było mojego auta. Błądziłam z kaczką w rozpaczy, aż dojrzałyśmy napis: „Jesteś na poziomie psa 3A. Jest jeszcze poziom psa 3B”. Żeby być damą, trzeba być na poziomie. Co najmniej na poziomie Galerii M. Jeszcze muszę do tego poziomu dojrzeć. Blondas z piaskownicy na pewno trafiłby do psa 3B. Czy geny determinują na całe życie?

Twarda gruszka

Osoby ćwiczące w siłowni (na siłowni?) pójda do nieba. Wbiegną do nieba lekkim truchtem w obcisłych termodynamicznych majtasach z najnowszej kolekcji Adidasa. Być może triumfalnie wjadą do nieba na rowerku odmierzającym puls (czy w niebie jest puls?) albo przekroczą bramy królestwa niebieskiego, płynąc kajakiem – czwórkami do nieba szli. Fitness bowiem to czyścić na Ziemi. Każdy, kto uprawia fitness, wie, o co biega. Dla niewtajemniczonych parę słów wyjaśnienia. Fitness jest to rodzaj pokuty poprzez sport, samobiczowania w zamknięciu, o wodzie, ale bez chleba, w takt głośnego łomotu uznawanego za muzykę. Fitness nie ma nic wspólnego ze szkolnym wuefem, przez to bowiem, że wuef jest przedmiotem obowiązkowym, co druga osoba się z niego zwalnia, powołując się na miesięczkę lub inne kalectwo. WF, w odróżnieniu od fitnessu, jest darmowy. Nawet jeśli uczeń jest bananowym dzieckiem pobierającym nauki w szkole prywatnej, to wszak kopie piłkę i mnoży tabliczkę mnożenia za pieniądze rodziców, czyli za darmo. I często na darmo. Tymczasem miesięczna opłata za fitness, na przykład w warszawskim klubie, w którym mnie katują, wynosi około 200 złotych. To więcej niż abonament za Neostradę, więcej niż trzy tomy Prousta. Nie lepiej pobiegać w parku i podciągać się na drzewie? Bywalcy fitnessowego czyścica są tu dobrowolnie i na dodatek płacą za swoje męczeństwo!

Świątynią fitnessu jest siłownia. Siłownia jest w kształcie klocka i mieści się w rażąco odpychającym miejscu, na przykład przy centrum handlowym, gdzie kobiety z dziećmi taranują cię wózkami obciążonym żywym bobasem i mrożoną tołpygą, a zdesperowani mężczyźni taszczyący przyrządy ogrodnicze poszukują swoich toyot na parkingu. Innym uroczym miejscem dla siłowni jest suterena bloku lub sala na 12. piętrze szklanego biurowca – smakowitego kąska dla już zacierającego swoje macki Osamy bin Laden. Jestem pewna, że jeśli Osama we mnie trafi (a nie jest łatwo, bom ruchliwa), to będę właśnie leżeć na macie podczas fitnessu i kręcić w powietrzu kółka nogami obciążonymi opaskami z piachem. Umrzeć w takiej pozycji – jakie to upokarzające. Na ścianach siłowni zamiast bizantyjskiej mozaiki zamocowane są lustra. W lustrach tych odbijają się nasza nadwaga i braki w urodzie. Trzeba doprowadzić się do wymaganej przez media oraz kardiologów postury. Podskakujesz Ty, podskakują Twoje getry i adidasy, a wraz z tym wszystkim podskakują trzy podbródki, cellulitis, miażdżycy, a to wszystko widzą wszyscy towarzysze tej niedoli. Nasza wina, nasza wina, nasza bardzo wielka wina: za dużo węglowodanów, za mało sałatek i wody. Za dużo czekolady i golonek, za mało ruchu. Z czyścica mogą nas wypuścić, dopiero gdy nasz pośladek jest niczym gruszka przed sezonem: kształtny i twardy jak kamień.

Dorota, Ania, Jacek, gdy tak podążają do autobusu okutani w zimowe czapki, wyglądają na normalnych ludzi. Tymczasem to nawiedzone roboty, terminatorzy ze sztucznie przyklejonym uśmiechem, zaprojektowani, by nas niszczyć, czyli trenerzy fitnessu. Ich mięśnie trójgłowe swą jędrnością rozszarpują spodenki, zadyszka (która mnie łapie już na schodach do siłowni) jest słowem, które nie mieści się w ich słowniku. Trenerzy fitnessu, by uśpić naszą czujność, stosują inny sposób liczenia, liczą od końca i bez końca. Przypuśćmy, że jesteśmy w fazie rozciągania. Trenerka, nie uroniwszy ani jednej kropli potu, już złożyła się wpół, głową dotyka kolan, dłonie ściskają najnowsze adidasy za czubki w miłosnym uścisku i w tej pozycji przygląda mi się, wrednie się uśmiecha i liczy: 9, 8, 7... Patrzy na mnie i, suka jedna, rzuca: – Nie uginamy kolanek, o właśnie, gdzie ja to byłam, 5, 4, 3... i druga noga... trzy-ma-my, oddy-cha-my, chamy, chamy...

Fitness jest skonstruowany tak, byśmy czcili wyłącznie ciało, a zapomnieli o duszy. Z głośników w siłowniach wydobywa się dudniąca „muzyka” nastawiona na tysiąc decybeli, jest tu głośniejsza niż na budowie, a nie ma obowiązku chodzenia w tłumiących hałas słuchawkach. Żeby jeszcze głośno puszczali arie w wykonaniu barytonów, a w tle repertuar orkiestry lipskiej. To by nawet pasowało do podnoszenia ciężarów, a i naród by się edukował. Ćwicząc brzuszki, można by studiować zastosowanie kontrapunktu.

Maszyny fitnessowe przeliczają życie na kalorie. Pączek jest stworzeniem doskonałym? Równy samemu sobie pilnujący swych granic? Tak też myślałam, zanim poznałam pana od fitnessu. Teraz pączek to dla mnie potwór o tysiącu kaloriach. Trenerzy fitnessu to jedyni mężczyźni, którzy mogą doprowadzić mnie do łez. Z bólu. Gdy zwiększają obciążenie na jednej z tych maszyn do tortur, mam ochotę wybuchnąć płaczem: nad swym życiem durnym i nad wszystkimi fitnesskami, które myślą, że robiąc sto brzuszków dziennie, wygrają wyścig z czasem. Bo nie chodzi wszak o samo posiadanie twardej gruszki zamiast tyłka. Chodzi o oszukanie czasu. To nie tylko rodzaj pokuty, ale cena za dłuższą młodość. I sposób na zbudowanie harmonogramu dnia: po pracy fitness, przed pracą fitness. Byle dalej od Prousta.

Na szczęście czyściec to okres przejściowy. Cierpiąc katusze, można marzyć o zimnym żywcu w zmrożonym kuflu. Natychmiast po wyjściu z siłowni rzucam się na sześciopak browaru albo mknę do pubu. Fitness to detox, bar to retox i tak w kółko aż do śmierci.

Przepraszam Państwa, ale pozwolę sobie w tym miejscu na prywatną uwagę. Pragnę podziękować trenerowi Sławkowi, że katuje mnie w sali gimnastycznej już tyle lat. Choć prócz mnie ma on wiele zawodniczek, więc o monogamii trudno tu mówić, lecz faktem jest, że jesteśmy sobie wierni dekadę. Na dobre i na złe. Sławkowe powiedzonko, które wykrzykuje on bez grama empatii: „Powstań, powstań, tak nie zostań”, stało się moim mottem życiowym. Przeczytałam tysiące książek, ale lepszej maksymy życiowej nie znalazłam. Ani razu nie spóźnił się na trening i ani razu go nie odwołał. Bez ciebie, Sławku, mój kręgosłup miałby kształt makaronu fassili.

Odrzucona

Wracając z poczty, zastanawiałam się, na co umrę. Po co w ogóle byłam na tej poczcie? Aby zadzwonić. Smartfon mi się rozładował, ale przypomniało mi się: nic to, gdyż oto na wypadek takiej sytuacji kartę telefoniczną w portfelu noszę, kartę jakiś czas temu nabytą drogą kupna na poczcie właśnie. Taką kartę, co to do automatu telefonicznego się wpycha. Wcześniej na monety się dzwoniło, co sprytniejsi koledzy to nawet z rodziną z Chicago potrafili godzinę z budki rozmawiać. Umiejętnie jedną jedyną monetą zapychając szczelinę w automacie. Pocięszam się, nie martw się Agata, widzisz, jaka jesteś zabezpieczona na wypadek wylogowania ze świata cyfrowego. Nie będzie sieć komórkowa pluła ci w twarz, tyś uzbrojona w kartę. Na poczcie niespodzianka. A kuku, budki nie ma. Szukam w środku, wiecie może na ścianie wisi? Szukam przed pocztą – takiego automatu na nóżce. Czyżby w chowanym się ze mną na tej mojej poczcie bawili? Za drzewo budkę schowali? Do panienki z okienka zaglądam, „Gdzie budka”, pytam. „Jaka budka?”, patrzy rudowłosa pracownica Poczty Polskiej na mnie spojrzeniem człowieka, który zobaczył jaskiniowca. Jaskiniowczynię, kobietę pierwotną wymachującą kartą do aparatu telefonicznego niczym dzidą. Czuję, że robię z siebie idiotkę, jeszcze przed chwilą duma mnie rozpierała, że taka zorganizowana jestem, że kartę mam niezgubioną w portfelu, że nie uzależniam się od ładowarek i sieci. Aż tu nagle słyszę pogardliwe: „Przecież poczta od dawna z telekomunikacją już nie pracuje”. „Przecież”, to słówko boli jak prztyczek w nos. Niedojda ze mnie, niezgrabna, do piachu ze mną, nie nadażam, no przecież już nie współpracują, no to przecież fakt powszechnie znany, nawet w Rwandzie każdy dzieciak wie, że poczta z telekomunikacją już od dawna nie są razem. Czyli że nie ma telefonu na poczcie. „A gdzieś w okolicy?” – pytam roztrzęsiona. „O, nie... Kiedyś na placu były chyba, ale już dawno nie ma. „Ale ja kartę mam telefoniczną, niech pani zobaczy”. Ruda bierze kartę ode mnie z litości. Patrzy na mnie jak na osobę, która przez przypadek wyszła z ośrodka dla chorych na galopującą sklerozę. „Przecież ta karta jest od 2010 roku nieważna”, pokazuje mi napis na karcie i zerka już zniecierpliwiona na kolejkę osób za mną. „Dziś każdy ma komórkę”, tłumaczy mi. Chowam moją dzidę zawstydzona z powrotem do torebki. Każdy ma. Każdy wie. Każdy jest non stop zalogowany, a ty kretynko nie, urywasz się, durna emerytko, ze smyczy. I jak teraz się odnajdziesz w kosmosie?

Boże, czyli zamiast budek telefonicznych powinny być w całym mieście wypożyczalnie ładowarek. Nie masz komórki – nie żyjesz. Nie ma cię na fejsie, nie dostaniesz pracy, kadrowi cię nie znajdą we wszechświecie. Przecież wszyscy bezszmerowo zaakceptowali, że real naśladuje twój obraz wykreowany w sieci. Zostanę ostatnim rozbitkiem na Ziemi, będę błąkać się po planecie, dysząc i szepcząc: gdzie jest budka, mam przecież kartę, gdzie jest budka. Aż umrę. Niezalogowana. W jakiejś kupie nieposegregowanych śmieci.

Czuję, że rozjeżdżam się, nie nadażam, wlokę się z poczty, myślę, jak ten mój koniec będzie wyglądał? Autorzy ery Witkacego i Gombrowicza, jak wynika z licznych dzienników, borykali się z egzemą i tryprem. Z *Brzeziny* dowiadujemy się, jak to gruźlica eliminowała kolejnych śmiertelników. Ozdobne spluwaczki są chlubą licznych muzeów porcelany. Z czasów studenckich z kolei pamiętam awantury o budowę centrum leczniczego dla chorych na AIDS. Żadna wieś, żadne miasteczko, żadna dzielnica nie chciała mieć u siebie szpitala dla chorych na AIDS. Każdy chory to jakiś wypaczony narkoman albo gej, albo dziwka, myślano. My, ludzie moralnie czyści, ludzie grzeczni, dopasowani do norm społecznych, my jesteśmy czyści i żadnego AIDS-a nie podłapiemy. To była i jest choroba mojego pokolenia. No, ale na AIDS już

jestem za stara, za mało zabawowa, za rzadko krążą nade mną pielęgniary z brudnymi strzykawami. Nie liczę już na AIDS. Lata dziewięćdziesiąte dwudziestego wieku – to była moda na anoreksję. Moja przyjaciółka z klubu tenisowego próbowała żyć na kawie cappuccino z mlekiem sojowym na wynos. Po zejściu z kortu wchodziła jeszcze na steper i sęczyła sobie ten napój, wdrapując się na setne piętro jakiegoś Kilimandżaro. Taka kawa to przecież ciepły posiłek. Na nic zdała się terapia rodzinna. Na wynos prócz kawy zapakowane zostały ważące 40 kilo kości po przyjaciółce. Na anoreksję się nie przekreślę. Za bardzo lubię kotlet schabowy.

Może umrę powalona niewidzialną ręką rynku. Śmierć na wolnym rynku, który wywalczyły mi kobiety „Solidarności”. Podobno kapitalizm wykańcza moich rówieśników w całej Europie. Nie wytrzymują ciśnienia. W ramach „optymalizacji” zwolnieni, a potem dwa lata, trzy, cztery lata bez pracy, bez umowy śmieciowej nawet. A kredyt na mieszkanie śni się im po nocach. Znajomi dyrektorzy teatrów z worami pod oczami, siwymi włosami myślą o tym, jakby tu nie zamknąć teatru, nie zwolnić wszystkich aktorów i garderobianych, grać sztuki z obsadą większą niż w monodramie. Tną koszty do kości. Po co oświetleniowiec? Reżyser może być jednocześnie mistrzem oświetlenia, choreografem, scenografem. Bez suflera. Jak się zapomni tekstu, to widzowie wygooglują. Niekapitalistyczny ten Szekspir, niegospodarny. Po co trzech elfów w *Śnie nocy letniej*, trzy wiedźmy w *Makbecie*? Zmniejszymy mu obsadę. Zresztą, jak rzekł ostatnio mój redakcyjny kolega: „Po co tyle teatrów? Jeśli nie utrzymują się z biletów, to po co ma podatnik dopłacać?”. A jak się teatry pozamykają, no to dramatu nie będzie... Komедii też nie. Ja na zawal z powodu biedy nie umrę. Bieda mi niestraszna. Oddam wszystko bankowi i wrócę na garnuszek mamusi i tatusia, potem może syn coś mi w formie jałmużny do czapki wrzuci. W końcu lubię atmosferę rodzinną, wszyscy w jednej izbie, minimalizm jest *trendy*. A może do kibicu mnie wezmą w Izrealu. Taki powrót, ileż można tu się w diasporze tulać po tym niedokończonym moście w Mszanie.

Depresja i uzależnienia – to kosi nas równo. Ponoć depresja to gruźlica naszych czasów. Próbowałam palić, starałam się, ale nie mogę, naprawdę. Środki psychogenne tak szybko odchodzą, że nie spieszę ich nawet próbować. Ciągłe coś nowego jest nierejestrowane albo rejestrowane. Ponoć nawet od pigułek na odchudzanie można niezłej jazdy dostać. Z talentem do uzależnień trzeba się urodzić – mnie Bozia nie dała.

Umrę z odrzucenia, a nie odurzenia. Ręce będą mi się trzęsły, grzebać będę w torebce w poszukiwaniu ładowarki niczym tlenu, moje ego skurczy się niczym wyschnięty orzech włoski, mojej śmierci nikt nie zalajkuje. A po drugiej stronie buzować będzie wesoły rój połączonych ze sobą, cyfrowo odmłodzonych zorganizowanych obywateli, którzy przecież wiedzą, z kim współpracuje telekomunikacja.

Felieton ten wzbudził wyjątkowo silne reakcje. Zapamiętałam dwie reakcje. Dostałam mejl od oburzonej pracowniczki poczty. Że nieładnie wyrażam się o zawsze uprzejmych urzędnikach pocztowych. Oczywiście redakcja wezwała mnie na dywanik i wyciągnęła wobec mnie odpowiednie konsekwencje. Zesłano mnie na prace przymusowe przy budowie Kanału Białomorsko-Bałtyckiego, skąd nigdy nie powróciłam, a bliscy dotąd szukają moich zgrabnych szczątków.

Napisała do mnie również na ślicznej papeterii z kwiatkiem pewna pani z Gliwic, która pocieszała mnie, że ona w ogóle nie ma telefonu komórkowego, pomimo że wnuczka jej takowy

kupiła i krzyczy na nią, żeby z tegoż urzędnika korzystała.

Ostatni posiłek

W filmach o karze śmierci zawsze najbardziej pasjonował mnie ostatni posiłek. Nie wiem, czy minister Ziobro zajął już stanowisko w tej sprawie, pewnie tak, bo reprezentuje ugrupowanie, które gilotynę uważa za złoty środek na cięcie. Kosztów oczywiście. A mnie zawsze martwiły koszty związane z zachciankami skazańców. Jeśli skazana postanowi, że rytuał ostatniego posiłku będzie formą powrotu do dzieciństwa czy podróżą sentymentalną w czasy młodości studenckiej, to pół biedy. Zakładając, że kaci pracują do 16, mamy do czynienia z późnym lunchem lub obiadem. W moim przypadku byłby to: sok malinowy z wodą sodową, rozciapczany widelcem świeży pomidor z dodatkiem cukru (wynalazek mojej niani), kajzerka z rzodkiewką, a na deser wyrób czekoladopodobny. To menu dziecięce. Jeżeli powrót do lat studenckich, to: kanister piwa o kolorze słomkowym bez piany, skrzydełka kurczaka w panierce twardszej od zbroi rycerza z czasów Henryka Walezego, pizza o średnicy Place de la Concorde. To już są jakieś koszty dla naczelnika więzienia – cała bieda, a nie pół biedy. Najdroższy wariant przewiduje, że ostatni posiłek jest dla skazanej ziszczeniem marzeń o smakach, o których tylko czytała u Balzaka, leżąc latami na pryczy: jajka z truflami, ostrygi i szampan, wędzona szynka z dzika, suflet z grejpfruta i calvados. I cygaro. Rytuał jedzenia to jedyny rytuał, który wielu z nas pielęgnuje w pustym świeckim życiu.

Antropolog nie miałby ze mnie żadnego pożytku, odkopując mój szkielet zachowany dzięki konserwantom w idealnym stanie. Znalazłby w moim otoczeniu kilka skorup teflonowych i chipy komputerowe, ale mało narzędzi używanych w obrzędach. Na tę ubogość w rytuały zwróciłam uwagę w szkole podstawowej, kiedy przerabialiśmy legendę o królu Popielu i scenę postrzyżyn. W średniowieczu obcięcie włosów było dla chłopca przekroczeniem magicznej granicy, tego dnia wręczano mu pierwszy łuk czy jakąś minidzidę model dziecięcy. Tymczasem gdy mój ojciec w podstawówce prowadził mnie co parę miesięcy do fryzjerki, to ani cała dzielnica nie zbierała się wokół, ani menu nie zmieniało się na świąteczne, a w dodatku trzeba było przyjść do fryzjera z własnym szamponem, bo za Gierka nie było szamponów dla dzieci. Mistrzami kultywowania rytuałów świeckich są Amerykanie. Na 4 lipca całe miasta wylegają do parku i już od południa czekają na fajerwerki z okazji Dnia Niepodległości, i grillują wszystko, co się da, od mięsa przez cebule po cukierki. Każdy mecz drużyn szkolnych jest wydarzeniem: mundurki, cheerleaderki, hymn. W moim Liceum Zamoyskiego nie było żadnych rozgrywek. Wprost przeciwnie, dziewczęta walczyły głównie o zwolnienie z WF-u. W Harvardzie każdy nowy rocznik ogląda przymusowo melodramat *Love Story*, który dzieje się właśnie na terenie tego uniwerku, a film komentują z offu koleżdy z ostatniego roku, strasznie z niego szydząc: „O, widzicie, w naszych akademikach tak szerokich łóżek nie ma” albo „Nie myślcie, że w naszej drużynie hokejowej grają takie łamagi”. Każdy klub studencki czy bractwo ma rytuał wprowadzający. Klub literacki wymaga od członków żółtodziobów przedstawienia referatu, a następnie pół roku pracy w kuchni przy przyrządzaniu ciasteczek i herbatek dla profesorów i starszych członków. Na Uniwersytecie Warszawskim nikt nikogo w nic nie wprowadzał, co najwyżej w błąd, a herbatę to sobie kupisz w kebabie u Turka. Znajoma Wietnamka opowiadała mi, że u niej w miasteczku jest taka tradycja, że gdy kobieta urodzi, to wieczorem przy pierwszej pełni od narodzin dziecka u młodej mamy zbierają się sąsiadki. Najstarsza dziękuje 12 matkom niebiańskim za to, że na świat zesłały nowe dziecko, kobiety wspólnie szyją w ofierze ubranka dla 12 matek niebiańskich i szykują dla nich poczęstunek. Parę lat temu urodziła moja sąsiadka, znana wokalistka. Żadne sąsiadki się nie cieszyły ani nie przyleciały z posiłkiem, tylko kilku paparazzich okupowało osiedle. Pozostają na szczęście rytuały rodzinne, choć dziś rodzina często

trzy razy się rozsypuje i przybiera nowe konstelacje niczym w kalejdoskopie. Ledwie opanujesz jeden rytuał z pierwszym tatuśkiem, już nadciąga nowy tatuś, lepszy model, z nowym rytuałem. Mimo to ja uwielbiałam, gdy pierwszy, oryginalny i jedyny ojciec zabierał mnie ze sobą na korty tenisowe Legii i podczas deblowych pojedynków pozwalał mi podawać piłki. Ostatnio na zebraniu gminy żydowskiej rabin cieszył się, bo od 1985 roku odbyła się w Warszawie więcej niż jedna bar micwa. W konsumpcyjnym laickim świecie mocno trzymają się tylko rytuały wokół jedzenia: sałatka jarzynowa u cioci, rodzinny obiad w centrum handlowym, papieros w przerwie w pracy, przed jedzeniem, po seksie. Rytuał powrotu z biura po 11 godzinach pracy, odłożenie torebki jedną ręką i chwycenie szklanki z whisky drugą. Z tęsknoty za rytuałami nie dziwi mnie popularność pseudoreligijnych sekt piorących nasze mózgi i kieszenie. Chcielibyśmy być częścią czegoś, a musimy być samowystarczalni. Chcielibyśmy się pobujać w hamaku kojącej powtarzalności, ale niestety, trzeba być wciąż gotowym, że zbliża się Armagedon. A za nim kolejny. I kolejny.

Chodzi o łóżko

Pamiętam, kiedy pierwszy raz zrozumiałam, że łóżko jest najważniejsze. Jeśli sprawy łóżkowe nie układają się, to człowiekowi nie będzie wiodło się w pracy, nie zdobędzie sławy, nie będzie o siebie dbał, tylko nosił gałgany, w pustej lodówce trzymał jedynie flaszkę i wysuszoną cytrynę. Zrozumiałam to w drugiej klasie liceum podczas wycieczki szkolnej do NRD. Tego objawienia doznałam, zwiedzając dom Johanna Wolfganga Goethego w Weimarze, a konkretnie, gdy stłoczyliśmy się u wezłowia łoża Poety, na którym to łożu Wielki Klasyk wyzionął ducha, ale zanim wyzionął, to splodził (prócz potomstwa) *Fausta*. Podczas wycieczki dowiedziałam się masę ciekawych rzeczy o Goethem, który oprócz tego, że napisał najśpiwniejsze wiersze tamtych czasów, był po prostu rewelacyjnym gościem. Interesował się wszystkim, od teorii barw po rośliny egzotyczne, był urzędnikiem, ojcem, kochankiem, kolekcjonerem sztuki, salonowcem, był zdrowy jak ryba i pracowity jak mrówka w odróżnieniu od naszych maminsynków i mięczaków (Słowacki, Mickiewicz, Krasiński). Od kiedy ujrzałam łóżko Goethego, żaden mężczyzna nie jest w stanie stanąć na wysokości Johanna. Jego łóżko to było niby nic, klabzdrowate, przykryte burą kapą, a jednak i spał, i pracował na nim, a nawet zaprojektował drugie podobne, tylko składane wpół, by z nim podróżować. Montowano je z tyłu dylizansu. Od tego czasu wciąż analizuję sprawy łóżkowe. Goethe w łóżku dokończył *Fausta*. A Państwo, co w nim robią? Zapewne głównie śpią. Statystycznie rzecz ujmując, przesypiamy jedną trzecią życia! Tym bardziej sprawy łóżkowe jawią się jako ważne. Nieraz było mi koszmarnie w łóżku. W podstawówce łóżko o mały figiel nie zrobiło ze mnie wafla pischingera, ponieważ na koloniach w sali, w której stało 20 łóżek polowych, rzuciłam się wycieńczona grą w szczypiorniaka na jedno z nich, a ono złożyło się w scyzoryk. Zmiażdżyłam cały pilnie schowany pod łóżkiem zapas pierników katarzynek. Dziwne rzeczy ludzie pod łóżkiem trzymają, na przykład mój znajomy ma specjalne szuflady, w których trzyma korespondencję. Wyparł swą przeszłość aż pod siebie i żonę, śnią nie wiem o czym, ale to, co pod spodem łóżka to temat dla psychoterapeuty. Nie jestem królem Stasiem, ale spałam kiedyś na wodzie. Bynajmniej nie w pałacu. Na turnieju tenisowym w Bytomiu nocowaliśmy w hotelu górniczym. Z powodu siarczystego mrozu nie działało ogrzewanie, ale działały karaluchy, które laziły po podłodze wkoło i wesoło. Bałam się zasnąć, żeby nie wpełzły mi pod kołdrę, zwłaszcza że jeszcze przez niedopatrzenie dziewczicą była. Koledzy z drużyny poratowali mnie, wstawiając każdą nogę łóżka w wiadra, miednice itp. z wodą, coby człapiący w stronę mej cnoty karaluch utopił się w fosie. Rano pobudka, sprawdzam cnotę, potem wiadra, a w nich piękna instalacja artystyczna: nieruchome karaluchy w na pół zlodowaciałej wodzie. Wspomniałam o samych sytuacjach spania grupowego. Co jest bardziej naturalne, spanie razem czy osobno? Nie wiadomo, bo kultura tak wcisnęła nam się do pościeli, że sami już nie umiemy decydować. Kiedyś pół rodziny spało w jednej izbie, do tego pies i gęś bez konserwantów. Teraz każdy ma swoje designerskie łóżko wodne. Ostatnio pewien człowiek sukcesu pokazał mi elektryczną nianię! Nie jest to męski wibrator, tylko rodzaj nadajnika używanego przez rodziców państw zachodniej cywilizacji do nasłuchiwania, czy ich dziecko oddycha przez sen lub czy ich oby nie wzywa, gdy ci właśnie pluszczą się w jacuzzi. – To wy nie śpicie ani nie kąpicie się z dzieckiem? – pytam. Okazuje się, że po to ma się dzieci, by następnie wystawić je do oddzielnego pokoju. – A czy odwracacie to urządzenie w drugą stronę, tak żeby dziecko mogło uczestniczyć w waszych rozmowach, oddechach, pluskaniu? Jako bananowe dziecko też spałam sama we własnym pokoju, dlatego moje życie erotyczne jest pasmem klęsk i dlatego nie zrobiłam kariery. Przyzwyczaiałam się, że moje łóżko to mój wszechświat. Laptop, dwie zmiany dresów, termofor, pudełka z pizzą, albumy ze zdjęciami, w szparach kolekcja biżuterii, leki. Muszę spać w ciszy, wiercę się w nocy po całej

tafli jak po cyferblacie, więc po prostu nie ma tu miejsca dla nikogo, chyba że śpi jak umarły i jest przezroczysty jak gruźlik. Dziś ktoś w łóżku traktowany jest jak intruz, w najlepszym wypadku jak gość, ale jednak jakby obcy. Może należy wrócić do czasów, gdy prywatność nie istniała, bo zamożny mieszczuch jej nie wymyślił? W książce profesor Meredith Small wyczytałam, że Japończycy zawsze śpią z dzieckiem w jednym łóżku, a w Paragwaju sprawy łóżkowe rozwiązano w jeszcze inny sposób. Monogamia nie jest obowiązkowa, sypia się, z kim, kiedy i na czymkolwiek dusza zapragnie, matki nie wiedzą, kto jest ojcem dziecka, dzieci nie śpią osobno, tylko na kupie. Dzieckiem opiekuje się wybrany ojciec chrzestny, pępowinę przecina ojciec zastępczy i dziecko przyzwyczajają się do towarzystwa i tego, że opiekuje się nim akurat ten, kto może pomóc mamie. Takie mniej kliniczne metody łóżkowe być może sprawiają, że człowiek umie spać w każdych warunkach, a w łóżku bywa mniej egoistyczny. Może lepszy w grach zespołowych? Wystarczyła chwila przy łóżku Goethego, a taka kawalkada myśli o wpływie tego, jak śpimy, na nasze życie zaprzęta me ciało i umysł! Chwila ta trwa i jest piękna.

Zachód słońca

Chciałabym cokolwiek robić regularnie, ale po pierwsze mi nie wychodzi, a po drugie nie wiem, co by to miało być. W podstawówce regularnie pakowałam przed snem tornister, by rano po omacku niczego nie zapomnieć. To jedyna, jak na razie, czynność, którą naprawdę latami wykonywałam regularnie. Menstruacja wszak się nie liczy, gdyż ona nam się wykonuje, a nie my ją. Przez osiem lat sprawdzałam plan lekcji, łądowałam zeszyty, książki, cyrkle, linijki i inne koszmarnie przyrządy do licznych przegródek skajowego tornistra z odbłaskami. Wraz z modą na Jarocin i festiwal tornistry zostały wyparte przez plecaki. Wielbiciele Edwarda Stachury nosili skórzane torby listonoszki. Wtedy nie wymyślono ekologii i noszenie na ramieniu trupa z cielątka uważano za bardzo męskie. Były to czasy po stanie wojennym. Regularnie na agrafce przeczepiałam sobie szkolną tarczę z puchówki na kożuszek, z kożuszką na bluzę i tak w koło Macieju. Bez tarczy uczeń mógł zapomnieć, w jakiej szkole ustawiają go pod linijkę, a milicjant nie wiedział, dokąd mnie odsyłać z wagarów. Ale do czego ja właściwie prę z tą regularnością? Wizyta wuja Maćka ze Szwecji i rozmowa o szwedzkich wakacjach przypomniła mi początkowe sceny filmu *Ofiarowanie* Andrieja Tarkowskiego. Teraz panuje taki rusofilizm, że nie muszę Państwu szczegółowo przypominać. Tylko tak pobieżnie. Leci to tak, że pięćdziesięcioletni gadatliwy mądrałiński spaceruje wśród bajecznie pustej wyspy na odludziu i swymi filozoficznymi tyradami zamęcza, kogo popadnie. Raz popadnie na wnuka, raz na byłą żonę, raz na listonosza, który pewnie coś symbolizuje (posłaniec z zaświatów?), choć listonosz o tym nie wie, ale my wiemy, bo to Tarkowski. Cudowny nastrój, ujęcia dłuższe niż mur berliński. Zapamiętałam fragment, w którym bohater formułuje mniej więcej taką myśl: świat byłby na pewno lepszy, gdyby codziennie każdy z nas wykonywał regularnie jakąś prostą czynność, nawet jeśli ta czynność byłaby nieefektywna. Choćby pisanie patykami po nadmorskiej plaży. Piękny koncept, bo taki na przekór. Na przekór pragmatyzmowi. Zwykle regularność kojarzy się z praktycznością. Regularnie napełniamy wiadro ze studni, by mieć wodę. Regularnie wymieniamy opony, by nie mieć wypadku. Regularnie jeździmy do pracy, aby mieć na rachunki. Jaką czynność Państwo by sobie wymyślili? Coś, co by się nie znudziło, a nawet z czasem może nasiąkłoby sensem. Ale coś oryginalnego, a nie na przykład jogę, którą ktoś wymyślił, a my powielamy ten streczing kręgosłupa, napełniając go znaczeniem. Rytuały, które lubię obserwować, to rozgrzewka przed meczem tenisowym i strojenie instrumentów przed koncertem. Z fizjologicznego punktu widzenia rozgrzewka ta jest niepotrzebna, zawodnicy wchodząc na kort, są dawno rozgrzani, a nawet spoceni. Znają kort jak własną kieszeń.

Nie chodzi o to. Chodzi o takie ostatnie chwile na ocenienie sytuacji, zebranie myśli, skupienie się na danej chwili. Stadion wycisza się. Ostatnie szeleszczenie kanapką, wyłączenie telefonu, szepty kochanków, ostatnie znaki trenerów do wychowanków. Jednak codzienna gimnastyka w życiu powszednim to koncept, na który brak mi chęci. Dzień to nie mecz, życie to nie starcie z przeciwnikiem – nie chcę tak myśleć. Na instrumencie nie gram. Rytuały gastronomiczne? Codzienne jedzenie jabłka albo picie takiego samego drinka? Odgłos kostek lodu, wyjmowanie z barku tej samej szklanki. Banalne. Uzależniające. Poza tym w jedzeniu najbardziej cenię niespodziankę. Prawie nigdy nie gotuję tych samych potraw, szukam przepisów, włączę się po domach i knajpkach. Niedawno przeglądałam piękne zdjęcia Warszawy. Na jednym z nich fragment architektury na tle morelowego nieba. Właśnie, dlaczego we własnym mieście regularnie nie zachwykam się zachodami słońca? Przypomniały mi się wspomnienia Susanny Heschel, córki rabina Abrahama Joshuy Heschela, która we wstępie do słynnej książki ojca *Szabat* pisze o tym, jak co wieczór w piątek po zapaleniu świec w jadalni

wraz z rodziną przechodzili do salonu, którego okna wychodziły na rzekę Hudson, i wspólnie zachwycali się nadchodzącym zachodem słońca. Fantastyczne! Dobry pomysł, ale nie dla mnie. Sens szabat to nie polecany dziś namiętnie przez sprzedawców holizmu sposób na wyciszenie i oczyszczenie, sprytny „bajer” rabinów na zdrowie psychiczne, to nie sposób na pielęgnację rodziny. To błogosławienie ziół, modlitwa, to dopełnienie budowania cywilizacji. Na rytuał religijny nie jestem gotowa, czy byłoby to śpiewanie Wed, czy nieużywanie pieniędzy w szabat – wszystko jedno, byłoby to niekompletne, bo nie stanowiłoby części systemu. To może chociaż rytuał cielesny? Obserwuję kobiety w klubie, które wcieranie wszelkich wynalazków we włosy i w ciało mają opanowane niczym rytuał. Na to szkoda mi czasu. A może seksualny? W każdy wieczór z pełnią smarujemy się olejkiem Jacek i Agatka i uprawiamy seks tantryczny. To by się mogło stać obowiązkiem, a wtedy słaba radocha. Może regularne karmienie zwierząt? Ale czy to nie postarza? Jak na razie to regularnie spłacam kredyt, nic poza tym.

Proszę o przepis na mądry i łatwy w obsłudze, niedrogi, niegroźny dla bliźnich rytuał.

Puchar nieprzechodni

Oto 75. urodziny mojego Taty. Nic dwa razy się nie zdarza, tym bardziej nurtuje mnie pytanie: co dać tacie na taką rocznicę? Książkę? No nie, to gorszy pomysł, niż gdybym siedmiolatce podarowała praktyczne kalesony termiczne zamiast longboardu. Ojciec nie nadąża z czytaniem, bo świat zasypuje go książkami: przyjaciele, rodzina, znajomi autorzy liczący na blurby. Do żoliborskiej biblioteki oddaje książki, których w tym życiu już przeczytać nie zdąży, albo te, do których już nie zechce wrócić. Audiobooka też mu nie kupię, bo choć tata ma odtwarzacz CD w aucie, to nigdy nie pamięta, w którym momencie powieści wysiadł z samochodu, kończąc jej słuchanie. Papierowej zakładki nie wsuniesz do audiobooka, a elektroniczną trudno zauważyć. Zwierzył mi się kiedyś, że z *Wojny i pokoju* pamięta tylko pierwsze kilka stron – wciąż mu się włączają, gdy startuje samochód. Nie będę taty zmuszać do czytania więcej, choć on zmuszał mnie w dzieciństwie. „Pokaż, ile dziś przeczytałaś. Tylko tyle?”. Miałam tajny układ z gosposią Bronią. Bronia czytała lektury za mnie. W czasie gdy ziemniaki dochodziły, ona wertowała *Karolcię* i *Tytusa*, a potem odsączając zawartość garnka, streszczała mi, co się w książce działo, na wypadek gdyby ojciec mnie sprawdzał. „Co tam u Karolci, córeczko?”, pyta tata po wejściu do domu. „Wyobraź sobie tato, że Karolcia latała taksówką w powietrzu”, recytuję ja, perfekcyjnie „zbriefowana”, przez Bronię.

Może zamiast książki dam tacie zegarek? Nie, po co mu zegarek, jeśli jeden już ma, dostał go sześćdziesiąt lat temu od swojego wuja. Zegarek nie chce się popsuć ani zwolnić czasu. „Mam zegarek, po co mi nowy”. „Mam oprawki do okularów, po co mi nowe”. Podaż nie czyni popytu, jeśli jest się Danielem. „Tłuszcz się Passentów nie trzyma”, mówi mój znajomy z Ukrainy. Niedosyt to ulubiony stan brzucha i duszy taty. Neony z napisem „promocja” gasną na jego widok – szkoda prądu. On nigdy nic nie kupił, jeśli NAPRAWDĘ tego nie potrzebował. Ostatnio z moim przyszywanym bratem wspominaliśmy, jak tata upominał nas, abyśmy nie wyrzucali chleba. „Wyobraźcie sobie, drogie dzieci, że mój kolega Marian jada wyłącznie suche pieczywo. Bardzo zdrowe na zęby”. Kilka lat temu udało się ojca namówić na nową kurtkę puchową, bo od połowy lat 80. chodził w tej, którą uszyła mu krawcowa, specjalistka od puchu, od wagi piórkowej. Puchówki szły się wtedy u prywatniarzy w podwórkowych szwalniach. Od tamtego czasu trudno coś mu podarować.

Zwolnić tempa nie chce zegarek taty ani sam jubilat. Chodzi ten Passent od redakcji do redakcji jak nakręcony. Złośliwy redaktor, nie chce przejść na emeryturę, choć Tusk już mu pozwala. Ten nasz rodzinny „złóg gierkowski”, jak nazwałby go Jerzy Targalski, wybitny publicysta i menedżer mediów, zabiera pracę rzeszom młodych felietonistów. Blokują wielkie talenty polskiego dziennikarstwa, które kwitną od Dębek po Gliwice – w blokach startowych sapią setki wytrawnych stylistów na miarę Kisiela, a start blokuje im pracoholik Passent.

Co kupić tacie na 75. urodziny? Szukam podpowiedzi w „Twoim STYLU”, bo choć w Polsce tylu dzentelmenów, gierojów, światowej sławy reżyserów, co to nawet Szkocję rzucili na kolana, kapitalnych kapitanów, holistycznych biznesmenów, kochających tatusiów, wypolerowanych konserwatystów, to z męskich magazynów na rynku mamy tylko „Playboya”. Tu raczej gadżetem jest kobieta, a tych wokół ojca nigdy nie brakuje i nie brakowało. Kobiet znaczy się, a nie gadżetów.

A może coś z ekwipunku sportowego? Narty? Nie, narty ma, są takie długie, że dach nad

stadionem narodowym by się nad nimi nie domknął. Tata dostał je używane pewnie ze trzydzieści lat temu. Passent na carvingach? To chyba nie będzie możliwe. W tym roku odmówił wakacji narciarskich z powodu dysku. Nie chodzi o dysk komputerowy, ale kręgosłupowy. Wyskakuje mu na muldach. A może flaszkę czegoś wykwinnego mu kupię? No, ale jeśli 75 lat człowiek nie pił, to już chyba nie zacznie. A może właśnie zacznie? Czyż 75 lat to nie jest idealny wiek, aby rozpocząć poniewierkę? Spanie na kacu do obiadu – przecież dzieci nie ma w domu, a szefowi w pracy można nabimbać przez telefon, jak zadzwoni z wyrzutami. Żonę można współzależnić bez poczucia winy – w tym wieku wszystkie chwytły dozwolone. Osiągnęli już wszystko. Może poproszę Korę o namiar i zamówię Tacie na urodziny kilka kilogramów ziół? Do tego rum kubański i będzie wiódł życie *à la* Ernest Hemingway. Znając jego wstręt do bachanaliów, prezenty skonsumowałiby znajomi. Gdyby Absolut wypuścił flaszkę „Absolut Passent”, byłaby ona wielkości naparstka i rozcińczona colą.

A może auto? Jeździ toyotą pojemność 1,4. Może ekscelencja przesiadłby się do długiego jak krokodyl citroena albo jakiejś sportowej bestii z Bawarii. Niejeden, pozał się Boże, prezes wożony jest po mieście czarnym audi – to może i tacie załatwimy takie udogodnienie? Zamiast szofera przyjemna blond szoferka za kółkiem. Zimą grzałaby siedzenia, żeby pan redaktor miał ciepło w pupę, a latem chłodziłaby wnętrze, by się mózg felietonisty nie przegrzał? Auto też odpada, bo garaż rodzice mają z czasów późnego Gierka – tak wąski, że tylko auta wielkości fiata punto się w nim mieszczą. To może wykupię mu cykl masaży w SPA? Też nie. Tata całe życie wolał sam ćwiczyć, z masaży drwi – „Przy masażu najbardziej korzysta masażysta. Bo to on się rusza”. To może sztukę jakąś mu zakupię? Oj, lepiej nie, bo gust ma dobry, a na Wojciecha Fangora czy Dominika Lejmana nie zdążę zbierać funduszy.

Zamiast tacie coś dawać, powinnam mu coś odjąć. Odjąć stresów i zmartwień. Zacznę suszyć włosy i nosić ciepłe barchanowe majty, by się nie martwił, że córka się przeziębi. Niesforenego wnuka przerobię na sforenego. Brunatnych siepaczy prawicy przemaluję na tęczowo. Zabiorę mu smutne wspomnienia i na ich miejsce wstawimy same wspomnienia chwil radosnych. Pamiętasz, Tato, jak we Władysławowie przez cały pobyt miałam anginę i z nudów uczyłeś mnie pracować skarpetki w umywalce? Fajnie było. Pamiętasz, jak byliśmy wspólnie na walce bokserskiej na stadionie Gwardii? Pamiętasz, jak w Berlinie przegoniłam cię po archiwum Bauhausu, zanim zdążyłeś zostawić walizkę w hotelu? Pamiętasz, jak kilka tygodni temu ciocia Jadzia witała Ciebie i twoje wnuki w filharmonii? Pamiętasz, jaki pyszny „pastel de choco” w Chile robiła Marta?

A może najlepszym prezentem byłby puchar? Puchar dla Najlepszego Taty PRL i Trzeciej RP. Puchar dla Najlepszego Taty pod Słońcem i Księżycem. Kochany Tato, ponieważ wciąż jesteś młodym, początkującym dziennikarzem, to nagrody cię omijają. Nie dla Ciebie Wiktory i Traktory; nie dla ciebie Paszporty. Ale trudno, nie każdy może mieć udane życie zawodowe. Pocziesz się, że masz za to rodzinę. Idę zamówić puchar. I nie będzie to puchar przechodni.

Kto pani to zrobił

Spis treści

Okładka Karta tytułowa 12 zdań od autorki BABA W FUTRZE, CZYLI Z ŻYCIA POLAKA
*** Zombie w borowinie Żucie, ach żucie Potrójna dziewczica Kto to pani zrobił? Twierdza
kawalera Baba w futrze Żucie z marudą Songwriter Hotel Lambert Idolka Rzut młotem Wikt
i opierunek Tata pomocnik Bitą śmietanką PASOŻYTKA, CZYLI Z ŻYCIA WARSZAWKI ***
To za mało Pasożytko Kompleks osiedli Kto ma gorzej? SZEHEREZADA Z MOKRĄ
SZMATĄ, CZYLI Z ŻYCIA KOSMOPOLITKI *** Nie mam kasy Instytut Zadłużonych Słodka
Francja Szofer czy szoferka W hordzie Szeherezada z mokrą szmatą Jenny Bzykanie Komu, bo
idę do domu DOŚWIADCZONA DZIEWICA, CZYLI Z ŻYCIA MATKI, ŻONY I KOCHANKI
*** Buntownik bez portfela Myślę o udanych związkach Halo, tu ptasie radio Sahara Ojciec we
mgłę Kryzysowy mąż Złota rączka Dobra jakość Doświadczona dziewczica Wytrzymałość Wyścigi
bękartów Żona idealna Moja przyszła ex MĘŻCZYŻNA W LUFCIKU, CZYLI Z ŻYCIA
MYŚLICIELKI *** Gorąco polecam Hejnał Wstyd, czyli srom Regulamin Do kąta
Jednorazówka Ja też często nie rozumiem lektur Cztery tysiące kobiet Trenerka drugiej klasy
Zdrowa samotność Nagość Mężczyzna w lufciku Nieobecny Krzew ozdobny Zarządzanie
czasem Błyskawicznie wolne Kolej rzeczy Popcorn Jestem przeciw TANIO POPSUJĘ, CZYLI
Z ŻYCIA MOJEGO *** Obraza majestatu Zniechęta Pudło Poniewierka Tapeta Mężczyźni są
jacyś romantyczni Tanio popsuję To cudownie, naprawdę! Poziom psa Twarda gruszka
Odrzucona Ostatni posiłek Chodzi o łóżko Zachód słońca Puchar nieprzechodni Karta redakcyjna